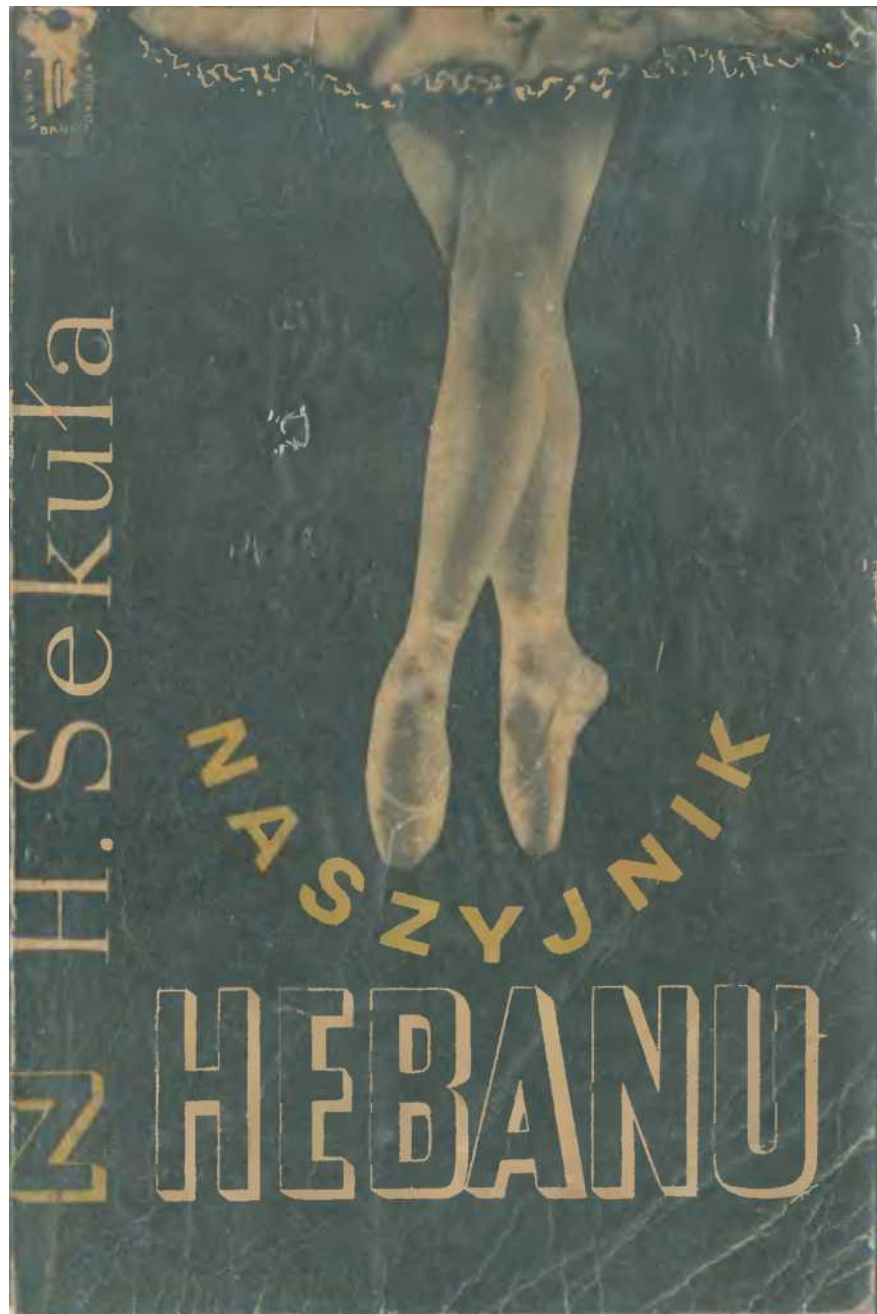


H. Sekuła

NASZYJNIK

HEBANU



Helena Sekuła

Naszyjnik

Z

h e b a n u

i



ISKBY. WARSZAWA. 1967

Okladkę projektował MIECZYSLAW
KOWALCZYK
Wydanie I

1.

Primabalerina

— Raz, dwa, trzy...

Na tę komendę wyciągają się dwie męskie dłonie uzbrojone w pistolety. Rozlega się suchy trzask iglic. Strzajny nie padają.

— Raz, dwa, trzy... — liczy niski głos. W głębokim półmroku widoczna jest tylko sylwetka prowadzącego ćwiczenia. Mężczyzna stoi w najdalszym rogu niskiej piwnicy oświetlonej słabą żarówką.

— ...cztery, pięć, sześć... — mężczyzna liczy szybko, dobitnie.

Po każdej wymienionej prz^z niego cyfrze dwa prawie równoczesne odgłosy naciskanych spustów, dwie iglice opadają na nie istniejące naboje.

Charakterystyczne trzaski rozlegają się nie wcześniej i nie później, lecz w ułamek sekundy po rozkazie wj^danym przez niski, monotony głos. •

— ...siedem...

Jednoczesny stuk iglic.

— Magazynek! — ostry akcent na ostatniej sylabie.

Dwie pary dłoni błyskawicznie wyciągają puste magazynki z pistoletów.

Ruch rąk do kieszeni kurtek.

Jeden — średniego wzrostu, z szeroką, mocno sklepioną klatką piersiową, ubrany w kurtkę z brązowego ortalionu, gęsto pikowaną w „kołderkę” —

prosto przecięte kieszenie. Drugi — wysoki, smukły, czarna kurtka z podniszczonego zamszu — kieszenie umieszczone blisko zapięcia, cięte ukośnie.

Szybki, pewny ruch dłoni i z kieszeni czarnej kurtki ukazują się następny, także pusty magazynek. Sprawny ruch nadgarstka lewej ręki. Odgłos wsuwania w rękojeść pistoletu nowego magazynka.

Mężczyzna prov/adzający ćwiczenie zerka na zegarek. Fosforyzująca wskazówka stopera mknie po czarnej tarczy odmierzając ułamki sekundy.

Ten w brązowej kurtce równie zgrabnie wymienia magazynek, ruchy ma płynne, pewne, ale czynność ta trwa o kilka drgnięć wskazówki dłużej.

Człowiek ze stoperem jest niezadowolony.

— Powtórzyc! — chwila przerwy. — Magazynek! — znów ostry, nagłacy akcent wgniata ostatnią sylabę w ciszę piwnicy.

Precyzyjne ruchy dłoni obu ćwiczących. Mknąca wskazówka stopera, szcęk wymienianych magazynków.

— Raz, dwa, trzy...

Obaj mężczyźni posłusznie, karnie, wielokrotnie powtarzają te same czynności.

— Przerwa na papierosa — ^oznajmia ten ze stoperem.

Czarna i brązowa kurtka odkładają pistolety, zapasowe magazynki. Wyjmują papierosy, szukają zapalek — nikt nie przerywa milczenia.

— Czarny, daj tarczę — rozkazuje mężczyzna ze stoperem i wydmuchuje kłęb dymu, który niebieską chmurą leniwie rozpełza się pod stropem piwnicy.

Mężczyzna w czarnej kurtce zawiesza tarczę na ścianie. Drugi, w brązowym ortalionie, bierze przygotowane inne pistolety, otwiera blaszane pudełko.

— Szef, jaki kolor? — zwraca się do mężczyzny, który prowadził ćwiczenia.

— Jak zwykle, Jakub, żółte — odpowiada Szef.

Jakub podaje mu blaszany straszak i otwarte pudełko ze

stalowymi loftkami, zakończonymi puszystymi, żółtymi kitkami.

— Czerwone — ten drugi wyciąga loftki z pudełka i nabija pistolet, z jakiego chłopcy strzelają na strzelnicach, próbując sprawności oka i dłoni wśród huśtawek, karuzeli i diabelskich młynów.

Jakub przysuwa do siebie pudełko pełne szafirowych loftek.

Teraz wszyscy trzej stają na zakreślonej przez Szefa kredą linii pod przeciwległą ścianą i już bez komendy strzelają loftkami. Słychać tylko nierównomierne trzaski spustów straszaków, świst wystrzelonych loftek i pac! pac!... kolorowe kitki nieruchomieją na dysku tarczy.

Niebawem środek tarczy pokrywa trójkolorowa mozaika abstrakcyjnej kompozycji.

Przerywają strzelanie, idą do tarczy, wyciągają loftki.

— Szafirowa — mówi z leciutką naganą Szef i wyciąga szafirowy pędzelek z linii oznaczonej numerem dziewięć.

— Bez przesady — wzrusza ramionami Jakub. — A w ogóle mógłbyś dać silniejszą żarówkę. Przecież tu zupełnie ciemno.

— Tam — Szef mocno akcentuje to słowo — nie będzie jaśniej.

— Osobiście nie życzyłbym sobie — wtrąca Czarny.

Wracają na miejsca zakreślone kredową linią. Znowu słychać tylko świst loftek i ich pacnięcia o tarczę. Teraz mężczyźni przybierają najróżniejsze pozycje. Strzelają stojąc na jednej nodze, w bardzo szerokim rozkroku, z dłonią pod barkiem drugiej ręki, z półobrotu, przerzucają pistolety do lewej ręki, gwałtownie przykucają lub nienaturalnie skręcają tułowiem.

— Dość — Szef przerywa strzelanie. Dokładnie bada rozmieszczenie wstrzelonych w tarczę loftek. Tym razem nie tylko szafirowe siedzą poza dziesiątką, ale żaden z kolorowych pędzelków nie przekroczył linii dziewięć.

— Nieźle — stwierdza Szef.

— To jednak teoria — wzdycha Jakub. — Dziecinna zabawa.

— Nie taka znowu dziecinna — oponuje Szef. — Przypomnij sobie, jak trafiałeś loftkami pół roku temu.

— To było dawno... — mówi niechętnie Jakub. — Trzeba by jednak pomyśleć o ostrym strzelaniu. Już nie pamiętam, kiedy to robiłem...

— To dobrze, że nie pamiętasz — ucina Szef.

— On ma rację — wtrąca Czarny. — Wyjechać gdzieś? Bo ja wiem... może do Białowieży albo w inną głuszę?

— Nie zgadzam się. Zbyt wielkie ryzyko.

— A tłumiki? — zastanawia się Jakub. — Można to urządzić tutaj. Tłumiki i worki z trocinami albo piaskiem? Jak myślisz?

— To już przedziej — odpowiada Szef. — Ale... dajmy spokój. Tłumiki też

mi się nie podobają. Wystarczy... strzelacie jak snajperzy — uśmiecha się lekko i spogląda na pokłuty łożkami środek tarczy.

— Tetenka odbija — zauważa Jakub.

— Wiesz o tym świetnie i wiesz, na ile odbija — SzeF jest zniecierpliwiony. — Myślałby kto, że masz strzelać do rzutków. Jakub i Czarny milltną.

— Gruntowna znajomość terenu — zmienia temat SzeF — zwyczajów przeciwnika, zaskoczenie i szybkość to nasze atuty. Niezawodne atuty — podkreśla. — Podaj plan — zwraca się do Czarnego. Sam włącza stojącą biurową lampę z meta- lov/ym abażurem.

Wszyscy trzej pochylają się nad rozpostartą mapą. Światło koncentruje się na obwiedzionym czerwoną linią wieloboku ulic.

— Radiowóz milicji objeżdża ten rejon w taki sposób — SzeF kreśli przerywaną linią trasę samochodu patrolowego. — Jeżeli po drodze nie ma interwencji, pojawia się w punkcie A co dziesięć, do piętnastu minut.

— To pewne? — raczej z przyzwyczajenia pyta Czarny.

— Wielomiesięczne obserwacje. Stuprocentowej pewności nikt ci nie da, takiej pewności nie ma i nie będzie — wyjaśnia SzeF. — Ale tylko wyjątkowo niekorzystny zbieg okoliczności może zmienić tę konfigurację...

— Wystarczy, żeby dostać w czapę — prycha Czarny.

— Z takim tozumowaniem — wzrusza ramionami SzeF — należy uprawiać warzywa, a nie...

— Nie zgrywaj się, Czarny, twoje gędzenie rozprasza — krzywi się Jakub.

— Niech gędzi — macha ręką SzeF. — Przy najlepiej opracowanym planie nie można wykluczyć ryzyka, oczywiście staram się to ryzyko zredukować do minimum. Ale trzeba pamiętać, zawsze pamiętać — podkreśla — że mogą się zdarzyć rzeczy nie przewidziane w żadnym planie.

— Na taką okoliczność masz spluwę i szybkie nogi — kończy Jakub spoglądając na Czarnego.

— Dwa patrole milicji, każdy po dwóch ludzi — dłoń SzeFa kropkuje zielonym długopisem drogi patrolujących milicjantów — nie zawsze mają podobne trasy. Można przyjąć, że jest pięć wariantów obchodu rejonu — zielone, gęste kropki długopisu układają się w splecione arabeski. — Wariant pierwszy: w punkcie A są na początku obchodu, następne warianty są bezkolizyjne dla nas. Pozostaje wariant piąty. Otóż patrol ten jest w punkcie A w ósmej minucie nieobecności w punkcie A radiowozu.

— Trzeba przyjąć wariant piąty — mówi Czarny.

— Jestem tego samego zdania — zgadza się SzeF.

— Oaiem minut na całą operację — stwierdza Jakub. — Kupa czasu —

dodaje z przekonaniem. ,

— To Ifrcale nie jest osiem minut — prostuje Szef. — Jest jeszcze dzielnicowy. Jego wędrówki mogą ująć tylko w jakiś ogólny, cholernie nieprecyzyjny schemat. Na tego faceta trzeba odliczyć trzy minuty.

— Pozostaje pięć minut — oblicza Czarny.

— Dwie minuty trzeba odrzucić na nieprzewidziane wypadki. Jakiś lotny patrol, uzbrojony mundurowy, niekoniecznie milicjant... — ciągnie Szef.

— Może być uzbrojony i niekoniecznie w mundurze — zauważa Jakub.

— Tego nie da się przewidzieć. Koszty zawodu — strzepuje palcami Szef.

— Na całą operację, licząc od początku akcji aż do znalezienia się poza terenem działania, pozostają trzy minuty — stwierdza Czarny.

— Tak, trzy minuty — powtarza Szef.

— Ważne, gdzie ustawisz samochód — Czarny znów pochyła się nad planem. — Jeżeli tutaj... — ołówkiem lekko nakreśla na planie krzyżyk.

— Dobre miejsce — zgadza się Jakub. — Odległość nie większa niż sto metrów. Otwarta przestrzeń, tylko że tu jest zakaz postoju...

— Właśnie — mówi Szef. — W naszej sytuacji muszę być lojalistą, cholernym lojalistą. Nie mogę ryzykować nieprzepisowego parkowania nawet na jedną minutę.

— Przecież przez całe trzy minuty teren wydaje się czysty od hintów — przypomina Czarny.

— A społeczni kontrolerzy, a ORMÓ, a... czort wie, jaka jeszcze społeczna organizacja? — wybrzydza się Szef.

— Cholernie uspołeczniony naród — wzdycha Czarny. — Rzeczywiście, macie rację. To miejsce nie wchodzi w rachubę. Tutaj — ołówek biegnie do następnego punktu — też nie byłoby źle... Jak tam wygląda oznakowanie? Gasną światła. Trzykrotnie brzmi gong. Nad salą potężnieją dźwięki intermezzo. Muzyka fascynuje zgromadzonych.

Wypełniona po brzegi sala nieruchomieje. Premierową publicznością, trudną, wymagającą, zblazowaną i kapryśną, włada teraz bez reszty zespół utalentowanych ludzi, widoczny jedynie dla pierwszych rzędów słuchaczy.

— To nie zwykły balet, to wydarzenie teatralne — powiedział w *foyer* podczas antraktu przed trzecim aktem znany krytyk. Krytyk? Wyrocznia krytyki. Właściwie instytucja. Znana ze swego dobrego smaku, wysokich wymagań artystycznych, znajomości przedmiotu i piekielnie ciętego pióra.

— Godna oprawa dla po trzykroć wspaniałej Róży Larst — wtrącił z namaszczeniem przeciętny krytyk, który również miał w^yrobiony smak, ale wyrażał się koturnowo, a pisał zawile i nudnie.

Róża Larst — to nazwisko było od kilku dni na ustach wszystkich ludzi, którzy mieli coś wspólnego z baletem. Mówili o niej zarówno choreografowie, krytycy, muzycy, kompozytorzy, jak i soliści baletov/i — ci ostatni z podziwem i zazdrością.

Róża Larst była sławną tancerką. Róża Larst była tak sławną tancerką, że miała już nawet swoją legendę.

Ludzie „dobrze poinformov/ani” opowiadali, że olśniewająca kariera Róży Larst wynikła z przypadku. Tym przypadkiem miał być fakt, że przed kilkunastu laty młoda, nikomu wówczas nie znana, ale bardzo piękna i śv/ietnie zapowiadająca się tancerka pokłóciła się z choreografem opery, w której występowała. Podobno choreograf — stary i bardzo brzydki, słowem dość oblesny staruszek, czynił dziewczynie jednoznaczne propozycje, których ona nie chciała zrozumieć.

Podobno pod wpływem intryg tego pana usunięto Różę z zespołu opery — po czym on ponawiał swe brzydkie propozycje. Dziewczyna nie dała się złamać i poczyniła starania, aby zaangażowano ją do któffejś z innych oper w kraju. Ale -stary, zły satyr miał wpływy we wszystkich operach i z maniakalną mściwością uniemożliwiał jej pracę w większości zespołów baletowych. Tak, że za sprawą tego pana Róża znalazła się bez możliwości pracy w swoim zawodzie.

A potem Róża wyjechała do Paryża. Kto jej w tym pomógł? — historia milczy. Podobno doskonalila swój kunszt u samego Lifara i zainteresowała swymi nieprzeciętnymi zdolnościami legendarną Pawłową. Jedno jest pewne, że Róża Larst zabłysła jako wybitna solistka w paryskiej..., później były *tournees* po całej Europie i obu Amerykach, wreszcie *engagement* na pierwszą solistkę londyńskiej...

Teraz Róża Larst była jedną z najwybitniejszych tancerek świata.

Do kraju przyjeżdżała tylko na urlopy. Wyszła tu zresztą za mąż za lekarza — neurochirurga, ale słynna diwa nigdy dotychczas podczas pobytów w ojczyźnie nie występowała na scenie. „Dobrze poinformowani” twierdzili, że Róża Larst ma żal za utrudnianie jej kariery w czasach młodości.

I oto od kilku tygodni Róża Larst była w Warszawie i po raz pierwszy występowała na scenie Teatru Opery i Baletu w podv.'ojuie<j roli Odetty, zakłetej w białego labędzia, i Odylii — córki czarnoksiężnika.

Kurtyna unosi się w górę. Na scenie pyszna sala w zamku księżnej. Schodzą się zaproszeni goście. Grzmi *fortissimo* orkiestra. Dźwięki fanfar, a później solo skrzypcowe zapowiada przybycie nowych gości.

To Rudowłosy, zły czarnoksiężnik, który na ten wieczór przemienił się w rycerza, wprowadza do książęcej komnaty swoją córkę — Odylię.

Róża Larst, w czarnych trykotach opinających wysmukłe ciało, wpływa na scenę...

Aiitrakt: szemrzą rozmowy, tłum wylewa się do *joyer*, wypełnia palarnię, bufet.

Satelici plasują się wokół znanego krytyka i chciwie łow/ią jego uwagi, celne sformułowania, aby jutro albo jeszcze dzisiaj, po premierze, podać je s w o i m satelitom jako własne.

Róża Larst stoi bez ruchu w rogu pustoszejącej sceny. Do twarzy ino przyklejony uśmiech. Na tle sztucznego przepychu dekoracji książęcego zamku ten uśmiech wygląda v/yjątkowo fałszywie. Pod grubą warstwą charakteryzacji jest blada — kropelki potu zawisły u nasady włosów.

Róża j«st rozpaczliwie, śmiertelnie przerażona.

Tancerka zna to uczucie i całą siłą woli stara się je opanować, obronić się przed nim, nie dopuścić, żeby ją ogarnęło — a nigdy nie potrafi tego dokonać.

Zna stany, które je poprzedzają, i wtedy już wie, że nieuchronnie przyjdzie to najgorsze; obrzydliw/y, lepki lęk... lęk, który trwa godzinami, by ustąpić miejsca skrajnej apatii.

Teraz, przed czwartym aktem, u szczytu sukcesu, sławna tancerka modli się prawie, aby lęk, skoro już przyszedł w takiej chwili, nie minął przed końcem spektaklu. Bo jeżeli minie, ogarnie ją stan wyczerpania, którego boi się jeszcze bardziej. Wie, że jeżeli zagarnie ją apatia, to... biały łabędź nie będzie umierał w czwartym akcie — Róża Larst nie dokończy przedstawienia.

Stara się myśleć o brawach, kwiatach, o nieklamanych zachwytach, o napięciu, z jakim czeka na jej solowe partie wypełniona wid^nia.

Trzy czwarte "snobów — przemyka zdradliwa myśl. — Papugi! Obecne moje sukcesy to renoma i blask zagranicznej sławy..., to reklama dobrego impresario. ^

Co oni wiedzą — myśli prawie z nienawiścią o bezimiennej widowni. — Nie, inaczej: czego oni j e s z c z e nie wiedzą, ale mogą się dowiedzieć w każdej chwili.

„Róża Larst się starzeje, Róża Larst się kończy” — wydaje jej się, że słyszy takie właśnie szept. A później: „To była wielka tancerka”.

Nie! — jeszcze nie teraz, jeszcze nie...

To nieprawda, to serce i nerwy — taką diagnozę postawił Jerzy. Przypomina sobie męża. Przepisał jej tę obrzydliwą miksturę. Trzeba połknąć to świństwo i przebrać się do ostatniego aktu — przytomnieje nieco.

Idzie w stronę garderoby. Irlzie lekkim, sprężystym krokiem, ale wydaje

jej się, że wszyscy widzą obolałe ścięgna, zwiotczałe mięśnie i to, że idzie na zmęczonych, kalekicli, starych nogach. Nie idzie — wlecze się — stara kobieta — była primabalerina.

Ogarnięta *nov/y*m nawrotem niehumanicznego przerażenia od- ruciułowo opiera się o coś i... przytomnie, zaciskając kurczowo dłoń na ramieniu jakiejś dziewczyny z *corps de ballet*.

Biały trykot, tiulowa króciutka spódniczka. Przybranie z piórek na gęstych, czarnych włosach. Piękna i bardzo młoda twarz. Wyraz zdziwienia w ogromnych oczach.

Róża zwalnia kurczowy ucisk ręki na ramieniu tamtej.

Ach! To ta mała z *Pas de Quatre* z drugiego aktu — przy- ‘pomina sobie. — Utalentowana — przemyka jej przez myśl. — Jeszcze nie doszlifowana technika, ale niewiele trzeba, aby mi dorównała, a może i przerosła mnie.

W tej chwili śmiertelnie nienawidzi tamtej.

— Jesteś gotowa do czwartego aktu? — słyszy swój własny, ciepły, życzliwy głos.

— Tak, proszę pani — odpowiada tamta tonem grzecznej dziewczynki, ale wyraz zdziwienia i zachłannej ciekawości nie znika z jej szeroko rozwartych oczu.

— Jak ci na imię?

— Joanna.

— Chodź do mojej garderoby, Joanno, ja też muszę się przebrać — lekko popycha ją przed sobą. — Porozmawiamy.

Powinna się czuć zaszczycona — myśli Róża. — Nie domyśla się chyba właściwych powodów tego zaproszenia. A ze mną jest już zupełnie źle, jeżeli nie zdaje sobie sprawy, o co opieram ręce.

W garderobie Róża szybko zdiera z siebie czarny trykot. Wspaniale naga staje pod prysznicem. Joanna spod przymkniętych powiek obserwuje ją w lustrze. Róża czuje na sobie ten wzrok. Drażni ją ta kontrola — zamyka spiesznie prysznic i spowita w kąpielowe prześcieradło rzuca się na fotel naprzeciw dziewczyny. Szuka zapalek, długo przypala papierosa; teraz zachłannie ciekawy wzrok dziewczyny czuje na swoich dłoniach. To ją męczy i denerwuje.

— Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Zakłopotane milczenie tamtej.

Wyrzista twarz — myśli Róża. — Nie potrafi ukryć nastroju. Poczekaj — mów w durhu do Joanny z gorzką satysfakcją — gdy będziesz miała tyle lat co ja, potrafisz ukryć każde wzruszenie, wszystkie uczucia.

— Pierwszy raz w życiu siedzę tak blisko jednej z największych

artystek — zacinając się odpowiada wreszcie Joanna i ciemny rumieniec ogarnia jej twarz, czoło, odkryte ramiona.

Pierwszy raz widzę cię tak blisko, Rózo Larst — myśli Joanna i jest bliska płaczu. — Pierwszy raz widzę swoją klęskę. Jaka byłam głupia. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka naprawdę jesteś. Wiedziałam, że jesteś bardzo utalentowana i bardzo sławna. Latanji wbijały mi to w świadomość film, telewizja, recenzje i zdjęcia w magazynach... Tak, wiedziałam, że jesteś jedną z największych tancerek wszystkich czasów, ale nie wiedziałam, że jesteś taka piękna i taka kobieca.

Róża uśmiecha się do dziewczyny. Pochlebia jej zachwyty tej małej tancereczki, może właśnie dlatego, że wyrażony jest kanciasto, chropowato. Nie, ta dziewczyna nie ma wprawy w mówieniu pochlebstw — ona mówi prawdę i ta prawda ją żenuje.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia — mówi Joanna.

Co z tego, że mam dwadzieścia lat? — myśli. — Przy wielkiej pracy może ci kiedyś dorównam jako tancerka. Ale przecież nie o scenę mi chodzi, nie zazdroścuję ci sławy, tylko... i tak przegram z tobą w tamtej walce.

Joanna w tej chwili serdecznie nienawidzi Róży. Róża Larst — kobiety.

— Gdzie skończyłaś szkołę? — pyta Róża.

— W Dziekance.

— Dawno?

— Dwa lata temu.

— Już dwa lata tańczysz w tym zespole?

— Rok.

— A co robiłaś poprzednio?

— Miałam rok praktyki w Moskwie.

— To świetna szkoła, doskonali, utalentowani wykładowcy.

— Tak, świetna — powtarza Joanna z niezrozumiałym dla Róży smutkiem.

— Kto teraz prowadzi w operze ćwiczenia z *corps de ballet*?

— Wujek.

— Kto? Jaki wujek? — nie rozumie Róża.

— Przepraszam, profesor Paweł Olecn — poprawia się Joanna. — Ale nie tylko on...

— Acli, te twój wujek? — dowiadyuje się Róża.

— Niezupełnie — wyjaśnia Joanna. — Przyjacieli ojca mówię o nim wujek, jest o tyle starszy ode mnie... — płacze się speszona. Nierozgarnięta, niemrawa dziewczyna — stwierdza Róża. — Nie, przy takiej inteligencji nie zostaje się łatwo primabaleriną, nawet jeżeli w operze ma się wujka.

— Czy masz w repertuarze opracowaną jakąś partię solową? — pyta bez zainteresowania Róża i wstaje. Swobodnie odrzuca miękką tkaninę i zaczyna się ubierać. Ta dziewczyna po prostu jest okropnie nieciekawa, ograniczona i nudna.

— Mam — ożywia się Joanna. Ton jej głosu powoduje, że Róża z zainteresowaniem odwraca głowę i patrzy przez moment na dziewczynę.

— Co masz opracowane najlepiej?

— Copelię i rolę... Odetty i Odylii — mówi nieśmiało. — Inne też... — dodaje skubiąc tiul spódniczki.

— Ambitny repertuar... Masz talent, ale trzeba dużo pracować — rzuca lekko Róża i widać, że Jest to już tylko zdawkowa uprzejmość.

— Przepraszam — w uchylonych drzwiach staje stary inspicjent. Skłania z szacunkiem głowę przed wielką tancerką.

— Pani Różo, proszę na scenę.

Spostrzegła niezdecydowanie stojącą Joannę — marszczy białe, krzaczaste brwi:

— Ty jeszcze tutaj? A kysz! Dziewczęta już dawno wyszły.

Gdy Róża Larst umiera na scenie jako biały łabędź-Odetta, zachwycona publiczność nie ma pojęcia, ile w tym umieraniu jest prawdy, osobistego dramatu primabaleriny.

W tej scenie Róża Larst przeszła samą siebie. „Na takie szczyty kunsztu nie wzniosła się nigdy dotąd” — napisze jutro prasa w kraju i za granicą.

Wyczerpana Róża gestem odprawia garderobiana.

— Nie przyjmuję nikogo — rozdrażnionym głosem akcentuje „nikogo”.

— Dobrze, proszę pani — garderobiana wychodzi, ale za drzwiami nie może powstrzymać się od wzruszenia ramionami.

Fochy, miny, toniki... Nieźle zmanierowana powrotem po tych zagranicach.

— N i k o g o — przedrzeźnia Różę. — A już wszyscy do ciebie lecą, uważaj tylko, jak wielbiciele w garderobie się nie pomieszczą. W którym wieku ty żyjesz? Przedstawienie skończone, brawa były, kwiaty dostałaś. Starczy. Komu przyjdzie do głowy pętać się po garderobach i po co? Ale jednak „przylecieli”, „pętali się”.

— Nie przyjmuje — informowała garderobiana. — Bardzo zmęczona. Takie napięcie wyczerpuje — usprawiedliwia —, ale jednak Różę, odprawiając kolejną osobę z kwitkiem.

Róża pali papierosa i bezmyślnie przygląda się swemu odbiciu w lustrze.

No, mógłby już ten Jerzy przyjechać po nią.

3 — Naszyjnik z hebanu

17

Pukanie i, nie czekając na zaproszenie, wślizguje się garderobiana.

— Szofer czeka na panią ■ — zawiadamia.

— To mój mąż.

— Kiedy nie mąż, tylko szofer — wyjaśnia garderobiana.

— Nie znasz mego męża — wzrusza ramionami Róża.

— Znam — mówi kobieta i nagle urywa.

— Skąd? — dziwi się Róża.

Garderobiana jest wyraźnie speszona. Gdyby Róża zwróciła na nią uwagę, niewątpliwie zastanowiłby ją ton i wyraz twarzy tamtej.

— To dobry doktor, wyleczył moją kuzynkę, a już była beznadziejna...

— opanowuje się garderobiana i coś tam mówi jeszcze o płacie mózgu, który dobry doktor usunął tej kuzynce.

Ale Róża już jej nie słucha.

— Podaj mi płaszcz — żąda.

— Pani się nie przebierze? — gorszy się garderobiana.

Róża ma jeszcze na sobie biały trykot z czwartego aktu.

— Nie chce mi się — mówi Róża. I już niecierpliwie: — Podaj mi płaszcz!

- Przynajmniej baletki trzeba zdjąć — perswaduje garderobiana jak kapryśnemu dziecku 1 przyklęka u stóp Róży. Narzuca jej na ramiona puszyste futro z szarych nurków.
- Pan profesor przeprasza, pan profesor ma operację — informuje kierowca.
- Przecież dzisiaj miałam premierę — mówi z głuchą pretensją Róża i reflektuje się. Co winien szofer, że Jerzy nie uważał za stosowne odłożyć swoich spraw.
- Chory człowiek nie może czekać — mówi z oburzeniem szofer i zerka w lustro na nie znaną żonę profesora Larsta — baletnicę. Nie przyszedł na premierę — rozmyśla Róża — Na moją pierwszą premierę w Warszawie. Tyle go i obchodzi moja sztuka.

w swoim egocentryzmie, wyczerpana nerwowo po spektaklu, nie jest w stanie pomyśleć, że nigdy przez piętnaście lat małżeństwa nie przyszło jej do głowy zainteresować się ważnością jego pracy, że na dobrą sprawę byłaby w kłopotcie, gdyby musiała wyjaśnić określenie: neurochirurg. Jerzy to lekarz, no, doktor medycyny — i to bez mała wszystko, co wie o jego zawodzie.

— Dokąd jedziemy?

— Do kliniki — Róża sama nie rozumie, dlaczego nagle chce jechać do kliniki. Nawet nie bardzo wie, gdzie to jest. No nic, szofer wie.

• Po co ja tam jadę? — dziwi się sobie. — Przecież wcale mi nie zależy na natychmiastowym widzeniu Jerzego. Jeszcze szpital? Brr — Róża organicznie nie znosi wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z chorobą.

— Jesteśmy — kierowca zatrzymuje wóz.

— Gdzie jesteśmy?

— Klinika.

— Ja wcale nie chcę tutaj. Proszę mnie zawieźć do domu.

— Chciała pani do profesora — szofer jest obrażony.

— Ale już nie chcę — Róża mówi szorstko, wyniośle.

Kierowca tylko przez szacunek dla profesora nie mówi

Róży, co o niej myśli.

Ale ma babę — współczuje Larstowi. — To po tych zagranicach tak jej się w głowie przewróciło. Ważna! — od machania nogami na scenie.

Wóz zatrzymuje się. Kierowca niechętnie otwiera przed Różą drzwiczki. Robi to w taki sposób, aby ona nie myślała, że otwieranie drzwiczek wozu przed pasażerami należy do jego obowiązków. Róża nie zwraca uwagi na szofera. Tak dokładnie zajęta jest sobą, że prawie niczego nie widzi. Rozdrażnienie narasta w niej do granic hysterii.

Między krawężnikiem a wozem jest przestrzeń pokryta brudnym, topiącym się śniegiem.

— Nie jestem bocianem — mówi wysokim, nieswoim głosem Róża — abym brodziła.

Kierowca polyka przekleństwo. Trzaska drzwiczkami i z furją liamuje bliżej krawężnika, aż opony ocierają się

o chodnik.

— Do widzenia i bardzo dziękuję — Róża mówi to machinalnie; jej ton jest miękki, serdeczny.

Mente kaptus — opiniuje szofer, zaskoczony tym uprzejmym pożegnaniem.

W ciepłym, oświetlonym i pustym hallu willi Róża zrzuca płaszcz i

snuje się po równie pustych, przegrzanych pokojach. Nie może sobie znaleźć miejsca. Musi się koniecznie czymś zająć. Ale czym? Uwagę jej przyciąga telefon.

— Proszę profesora Larsta — żąda.

— Pan profesor jest na sali operacyjnej — odpowiada głos

1 odkłada słuchawkę.

Różę ogarnia gniew, drżącymi palcami wykręca znowu numer kliniki.

— Mówi Róża Larst, L a r s t — skanduje nazwisko. — Proszę natychmiast profesora Larsta.

— Pan profesor ma operację — informuje ten sam głos. — Czy coś się stało, pani profesorowo? — Głos jest pełen szacunku i gotowości spełnienia wszystkich żądań Róży poza wywołaniem Larsta z sali operacyjnej.

— Nie, nie — opanowuje się Róża. — Jak będzie wolny, proszę powiedzieć, że dzwoniłam.

— Powiem, pani profesorowo... Dobranoc, pani profesorowo..

Pani profesorowo... Pani profesorowo... Co za idiotka... Kto teraz tak się zwraca do żon profesorów? Pani tancerzowo? — też można. Aha. Więc ja jestem tam tylko żoną. Żoną profesora Larsta? Gdy już będę „byłą tancerką”, tam też się nic nie zmieni? Zostanę profesorową. Ich nie interesuje balet? — Róża jest trochę zawiedziona. Mgliście zdaje sobie sprawę, że nie cały świat zna ją jako Różę Larst — tancerkę.

Schodzi na dół. Wolno przemierza stopnie schodów. Spozstrzega światło w pokoju syna. Dopiero w tej chwili przypomina sobie o jego istnieniu. Zawsze w takich momentach przypomnienia dziwi się trochę, że to jej syn. Fakt posiadania przez nią dziecka na co dzień tkwi na dalekim marginesie jej świadomości.

Niezdecydowana zatrzymuje się w pobliżu drzwi. Wejść? — oczywiście. Dzisiaj nie widziała go jeszcze. Ujmuje klamkę i stoi dalej. Zapukać? Jak się właściwie wchodzi do pokoju własnego dziecka? Nieznanego, własnego syna? Wchodzi wreszcie.

Chłopiec odkłada książkę i wstaje na powitanie matki. Leżał v/yciągnięty na tapczanie. Przygląda się jej i nie może ukryć przykrego zdziwienia.

Róża uśmiecha się do syna bezradnie — peszy i krępuje ją ten wyrośnięty chłopiec.

Jaki on zabawnie nieproporcjonalny — ocenia Róża.

Chłopak jest w tym wieku, kiedy ręce i nogi nie pasują do reszty ciała i poruszają się tak, jak gdyby właściciel nie bardzo panował nad ich odruchami.

Z tymi za dużymi i niezgrabnymi kończynami przypomina młodego

psiaka — uśmiecha się Róża.

Podchwytuje zdumione spojrzenie chłopaka i uświadamia sobie, że wciąż jeszcze ma na sobie białe trykoty i że nie zmyła charakterystyki.

— Dziwi cię mój wygląd? Nie przebrałam się jeszcze po spektaklu.

— Nie, mam — nieszczercze zaprzecza chłopak. To „mamo” brzmi w jego ustach obco, wymawiane jest jakby z odrobiną przymusu, pod kontrolą, aby nie użyć zwrotu: pani.

— Co dzisiaj robisz? ‘

— Byłem w szkole, potem na pływalni, na obiedzie z ojcem, bo gosposia miała pranie... — wylicza chłopiec.

Przy słowie „ojciec” Róża czuje ukłucie zazdrości; jak on to ciepło powiedział, pierwszy naturalny ton w tej całej rozmowie z nią.

— Nie przyszedłeś na premierę — mimo woli w głosie Róży brzmi wyrzut.

— Nie lubię baletu — chmurzy się chłopiec.

Róża przygryza usta — syn zorientował się, że wyrządził jej przykrość.

— Przepraszam cię, mam — całuje ją w rękę z obcą, nie chłopięcą galanterią. Głos mu się łamie, z basowych nut przechodzi w falset.

, Róża przez chwilę myśli, że to przez wzruszenie, z powodu tej niegrzecznej odpowiedzi.

Ależ, nie! — nareszcie pojmuję Róża. — Przecież on po prostu przechodzi mutację. Boże! Kiedy to wszystko się stało? Bohdan ma piętnaście lat! To jeszcze nie jest dorosły człowiek, ale już nie dziecko. Co ja wiem o moim synu? Przecież on ma już swoje życie, swoje pragnienia, swoje kłeski i ambicje, a ja o tym nie mam pojęcia. Ja — jego matka — jestem mu zupełnie obca.

— Byłaś wspaniała — przerywa jej myśli Bohdan.

— Niezręczny pochlebco. Tak nie trzeba.

— Widziałem cię w telewizji. Dawali czwarty akt — chłopak jest dotknięty tym posądzeniem. — Dawali cię w czwartym akcie — uściśla.

— Nie jesteś zadowolony z matki?

Chłopiec milczy przez chwilę, zakłopotany. Bawi się stronicami książki, którą trzyma w dłoniach.

— Wolałbym mieć zwyczajną matkę — mówi wreszcie nie podnosząc na nią oczu.

— Masz do mnie żal?

— Ależ nie. Mówię tylko, co bym wolał — broni się chłopiec.

— Każdy zawód wymaga wyrzeczeń — Róża karci się w duchu za ten banał. W tej chwili ogromnie jej zależy na tym, aby nie zrazić chłopca.

— Przecież ci nie przeszkadzamy, mammo.

- Kto to... my?
- No... ojciec i... ja — rumieni się chłopiec.
- Tak dziwnie ze mną mówisz — Róża jest zniechęcona i rozczulona obojętnością syna.

— Mamo — wybucha Bohdan — przecież ja cię wcale nie znam. Czy ty tego nie rozumiesz? Od takiego szczeniaka — pokazuje ruchem dłoni — wiem, że wielka tancerka Róża Larst to moja matka, że ta nieznajoma pani, raz w trykotach, raz w futrze, innym razem na przyjęciu w takiej sukni — dłonią zakreśla nie istniejący dekolt — to moja matka.

— Przecież przyjeżdżam do domu kilka razy w roku — broni się Róża.

— Przyjeżdżasz — gaśnie chłopak — ale... ale w dalszym ciągu pozostajesz dla mnie panią... z ilustracji w magazynach.

— Synku — szepcze Róża — jeżeli chcesz, zostanę...

Chłopak milczy. Nie zna i nie rozumie swojej matki. Ale jej ostatnie zdanie, ton głosu, porusza w nim coś, chyba litość dla niej. Odczuwa, że ona z jakichś nieodgadnionych dla niego powodów bardzo się męczy.

— Mamo, zrobisz, jak zechcesz — mówi z powagą dojrzałego człowieka. — Ja cię i tak kocham — wyznaje zawstydzony i zły na siebie za tę niemęską słabość.

Róża wychodzi od syna ze ściśniętym gardłem. Czuje straszną obcość i osamotnienie. Obcy jest ten dom. Obcy ten chłopiec — jej syn, i obcy mężczyzna, który jest jej mężem. Co ona o nich wie? Co wiedzą oni o niej? Mają swoje życie. Profesor ma operację... Bohdan czyta teorię kwantów — przypomina sobie tytuł książki, którą trzymał w dłoniach.

Teoria kwantów? Co to jest?... Einstein... To chyba za poważne dla niego.

Czyżbym przegrała życie? Nie mam domu ani rodziny — przecież to fikcja. Oni mnie po prostu tylko tolerują. Zdaje się, że już jest za późno, abym mogła wdrzeć się do tego

„ich” domu. Gdy byłam potrzebna, nie było mnie. Teraz już mnie nie potrzebują. Czy potrzebowali kiedykolwiek? Dziecko — tak. A mężczyzna?...

To pragnienie sławy pozbawiło mnie domu; co to jest ta moja sztuka? Ten dreszcz przed wejściem na scenę? Zabójczy, potworny wysiłek na tejże scenie? Brawa ludzi, którzy z widowni odchodzą gdzieś, do swoich spraw... do swoich domów? Bezimienna twarz widowni? Czyżbym życie poświęciła złudzeniom?

Pierwszy dzień miesiąca. Godzina dziewiętnasta trzydzieści. Dzielnicowy Urząd Polskiej Kasy Oszczędności. Największe nasilenie ruchu. Tłumy interesantów przelewają się z parteru na piętra.

Parter, osiem okienek. Pierv/sze piętro — dziesięć okienek. Drugie piętro... Przed okienkami szpaler zniecierpliwionych interesantów. W dłoniach kwity, książeczki PKO i przygotowane banknoty. Za czynsz, za telewizor, za ratę na samochód.

Podanie pieniędzy kasjerce, ostemplowane dowody wpłaty — reszta. Ruch dłoni kobiety w oszklonej łóży, kwit, reszta... ruchy monotonne jak taśma. Szelest banknotów, szcęk automatycznych szufladek, w których znikają pieniądze, pliki setek, pięćsetek. Dźwięk wydawanego bilonu.

Tak pracuje Urząd — na dwie zmiany — przez czternaście godzin dziennie. Ta Składnica Polskiej Kasy Oszczędności to kolos.

Szmer niezadowolenia wśród interesantów — osiem okienek na pierwszym piętrze przerwało pracę. Urzędniczki, oddzielone od reszty wnętrza szklanymi taflami z tabliczką „przerwa”, sortują banknoty — liczą. Wyglądają zagięte rogi, segregują i wyrównują profile ułożonych i podliczonych już paczelc pieniędzy. Pięćsetki osobno, setla oddzielnie. Mniejsze banknoty i bilon pozostają — brak czasu na ich posegregowanie. Ułożone w paczki — setki po dziesięć tysięcy, pięćsetki po pięćdziesiąt. Pozostało już tylko nałożenie banderoli i jeszcze jedno kontrolne liczenie. Znikają tabliczki z irytującym objaśnieniem „przerwa”. Okienka znowu wchłaniają banknoty. Druga zmiana kas przystępuje do obliczeii. ^ Szybciej! Interesanci się denerwują. Szybciej!

Kasa Główna. Trzech kontrolerów odbiera torby oznakowane cyframi okienek Składnicy. Cisza — tylko szelest banknotów migających w niezmordowanych dłoniach kontrolerów.

Okienko Nr 1 — zgadza się... Okienko Nr 2 — zgadza się... Okienko Nr 3 — pomyłka... pięćset złotych nadwyżki

w paczce...

Główny kontroler przedstawia raport kasowy dyrektorowi Składnicy Polskiej Kasy Oszczędności.

— Główny kontroler odwiezie pieniądze. Samochód pod wyjście ze

Składnicy. Strażnicy do ochrony przewozu — dysponuje dyrektor. W dyżurce na parterze dwóch strażników podnosi się od szachownicy. Sytuacja białych jest wyraźnie gorsza. Król białych pionów stracił ponad połowę swej armii. Goniec czarnych atakuje go z prawej flanki. Z lewej zagraża hetman. Sytuacja białego, prawie bezbronnego króla zdaje się być przesądzona.

Jeden z konwojentów zakłada pas z pistoletem, krytycznie ocenia sytuację na szachownicy. Grał czarnymi pionami.

— Poddaj się — proponuje.

— Wrócimy, to się zobaczy — krzywi się ten od białych.

— Je. =; teś przegrany — strażnik dociąga sprzączkę pasa.

Wychodzą z dyżurki na korytarz. Zatrzymują się obok windy. Tędy wyjdzie główny kontroler z workiem pieniędzy, który mają ochraniać. Zwykła rzecz — jak co dziei. Służba w dyżurce — skracanie czasu szachami. Czasem karty, książki, prasa... transport pieniędzy. Niekiedy jeden, innym razem kilka kursów. Nigdy z góry nie wiadomo, o której godzinie. Telefon z dyrekcji, jak teraz: Zwyczajna, nieskomplikowana procedura. Za pół godziny najdalej będą z powrotem i zasiądą do nie dokończonej partii szachów.

Kontroler wychodzi z windy na korytarz. Strażnik ujmuje zaplombowany worek — trochę waży. Trzy miliony w banknotach mają jednak swoją wymiarną wagę w kilogramach.

Nagle czerwona plama ognia drze w strzępy świadomość konwojenta. Nie bardzo rozumie, co się stało. Czuje tylko szarpnięcie worka, którego uchwyt odruchowo, bez udziału myśli zaciska w dłoni.

Strzał? Kto strzelał do mnie? — bardzo wolno napływa zdziwione pytanie. Osłabłe nagle ręce ledwo trzymają worek. Niezdolny utrzymać się na nogach, pada na posadzkę korytarza. Czuje przez ułamek sekundy, krótszy niż mgnienie, że coś ciepłego spływa mu po czole, a później gorący podmuch na szyi gasi na zawsze wszelkie doznania.

Zaczęta partia szachów zostanie niedokończona.

Zamaskowany bandyta, odcinający wyjście, trzyma w szachu tłum ludzi.

— Stanać twarzami do ściany! — Bandyta popiera to żądanie serią z broni maszynowej tuż nad głowami struchlałych interesantów. Biały pył tynku osypuje się na głowy bezbronnych, sterroryzowanych ludzi. Posłusznie przywierają do ścian, tulą się do nich, wciskają w zagłębienia narożników.

Drugi strażnik Urzędu Polskiej Kasy Oszczędności, znajdujący się na zewnątrz — już nie żyje. Leży przechylony przez maskę samochodu.

Trach, trach! — sypią się strzały. Konwojent pada obok windy. Bandyta strzela zimno, precyzyjnie, z refleksem. Wolno, bez zdenerwowania wycofuje się w pobliże drzwi.

Strzały padają bezustannie. Sypie się szkło z ekranów odgrad/.ających kasy od publiczności. Lecą odłamki tynku. Przerażone urzędniczki chowają się za drewniane obudowy kas.

— Napad, na pomoc... Milicja! — Główny kontroler przekrzykuje trzask strzałów i rzuca się — korzystając z chwili nieuwagi bandyty — w klatkę uchylonych drzwi windy. Odgłos zatraskiwanych drzwiczek — łoskot serii z broni maszynowej- po tych zamkniętych drzwiach. Ale oświetlone pudełko dźwigu unosi się już do góry ze skulonym przy samej podłodze kontrolerem. Jednak dwa pociski przebijają płaszczyznę drzwi i jak śmiercionośne, jadowite osy grzęzną w ciele człowieka.

Bandyta z workiem pieniędzy wybiega ze Składnicy Polskiej Kasy Oszczędności w tunel słabo oświetlonej ulicy. Drugi napastnik wycofuje się za nim, osłaniając odwrót. W zasięgu pistoletu — jak w magicznym kręgu — ludzie uwięzieni w Urzędzie są bezsilni. Nawet ulica jest bezbronna. Przechodnie przycupnęli w zagłębieniach murów, bram; ulica jest sterroryzowana.

Trzeci strażnik, zaalarmowany strzałami, przemagając sekundy paniki, nareszcie zbiega ze schodów. Naciska pedał „alarm” i jednocześnie drugi — zabezpieczający Składnicę.

Masywna pancerna krata opada z głuchym łoskotem. Pomieszczenia Urzędu są odizolowane od napastników — człowiek z ochrony Urzędu jednak orientuje się, że nie zamknął w pułapce bandytów. Strach opóźnił jego reakcję o sekundy.

Ile to trwało, wieczność czy moment? Później zostanie to skrupulatnie sprawdzone i obliczone.

W suchym raporcie milicyjnym podano: od pierwszych strzałów — które pozbawiły życia dwóch strażników i ciężko zraniły jednego konwojenta i głównego kontrolera — aż do wycofania się bandytów z pomieszczenia Urzędu upłynęło sześćdziesiąt sekund.

W sześćdziesiątej pierwszej sekundzie ożyli interesanci w Składnicy, ożyła ulica. Wydawało się wprost nieprawdopodobieństwem, że przed chwilą sypały się w tym domu pociski, że strzelano do ludzi. Gdyby nie zbroczona krwią posadzka, gdyby nie rumowisko szkła i tynku, trudno byłoby w to uwierzyć.

Narasta jęk syreny, za chwilę wtóruje jej druga, o nieco wyższym tonie. Głos syren zlewa się w jeden dźwięk, nabrzmiewa, potężnieje i prawie jednocześnie milknie.

Przed budynkiem Urzędu Polskiej Kasy Oszczędności zatrzymuje się milicyjny radiowóz i karetka pogotowia — nieodłączni towarzysze tego rodzaju wydarzeń. Za nimi nadjeżdża ambulans milicyjnej sJuzby technicznej z brygadą dochodzeniową, technikami kryminalistyki.

Służba porządkowa milicji ma teraz pełne ręce roboty. Z bram i zakamarków wyroili się przechodnie. Wszyscy chcą zobaczyć z bliska miejsce tragedii. Wszyscy coś widzieli, przynajmniej tak twierdzą, a większość „widziała lepiej”. Gwar i zamieszanie przeszkadza funkcjonariuszom.

Oficer dyżurny komendy miejskiej zarządza blokadę miasta. Świetlny plan — na stanowisku dowodzenia — otoczony jest różnokolorowym wieńcem rombów, kwadratów i prostokątów, peryferyjnych rejonów Warszawy.

•— Ścisła kontrola punktów wylotowych szos, dróg, autostrad! Ścisła kontrola dworców kolejowych, autobusowych, portów lotniczych! Penetracja ulic Warszawy, lokali, melin.

— Wszystkie punkty milicyjnej łączności pozostają na odbiorze...

— Ogłasza się ostre pogotowie dla wszystkich pracowni ków komendy miejskiej i podległych jej jednostek, bez względu na rodzaj funkcji funkcjonariuszy... Wszyscy na swoje stanowiska pracy... •

—' Uwaga, przekazuję pierwsze dane ustalone na podstawie pierwszych zeznań świadków... Rysopisów brak. Bandyci byli zamaskowani. Podaje szczegóły dotyczące sylwetek...

Major Andrzej Korosz — inspektor służby specjalnej Komendy Głównej Milicji, zabiera następną grupę świadków do pobliskiego budynku, gdzie ulokowała się ekipa dochodzeniowa.

Dwudziestu oficerów usiłuje, podobnie jak major Korosz, na gorąco zebrać wiadomości od tłumu ludzi, który chce świadczyć. Prędej, prędzej, póki wrażenia tych ludzi są świeże, niezatarte, póki ogarnięci emocją chcą mówić. Ludzie chcą mówić — bestialski wyczyn bandytów wzbudził powszechne oburzenie.

Naprzeciw majora siada niski, zażywny mężczyzna. Błyszczące oczy — wypieki na policzkach. Podniecony, gestykułuje.

— Imię, nazwisko, zawód, adres — inspektor dyktuje do magnetofonu dane z dowodu osobistego świadka.

Świadek poprawia krawat, kręci się niespokojnie.

— Co pan widział, proszę opowiedzieć, najdrobniejsze nawet szczegóły mogą być ważne.

— Akurat wpłaciłem na książeczkę ty.siać złotych... wpadło dwóch... no i strzelali...

Major ruchem głowy zachęca rozmówcę, aby podjął przerwana relację.

— ...panie... — wzrok świadka bezradnie zawisa na marynarce inspektora. — Proszę pana — poprawia się natychmiast — a ile było tych pieniędzy, pewno dużo? Sam wpłaciłem tysiąc złotych, a to przecież pierwszy, to ludzie płacili cały dzień... — wzrok płonie pożądlivą ciekawością.

— Miałem się od pana dowiedzieć szczegółów napadu, które podobno pan widział, każda minuta jest droga — perswaduje major.

— Więc było dwóch w maskach i obaj strzelali. Kazali wszystkim ludziom odwrócić się twarzami do ściany. No to się odwróciłem. Podobno zabili strażników i jeszcze kogoś... No, bez przerwy strzelali, kule latały mi nad głową, to cud, że jeszcze żyję... Proszę pana, a czy ci ranni żyją?

Inspektor czuje, że traci cierpliwość. Zaciska zęby. Typowy złodziej czasu! Jeszcze raz jednak próbuje dowiedzieć się od mężczyzny czegoś więcej niż to, że było dwóch w maskach i strzelali. Przecież ten człowiek znajdował się wówczas w pomieszczeniu Urzędu — nawet biorąc pod uwagę, że był śmiertelnie wystraszony, mógł coś zauważyć.

— Jeden był w czarnej kurtce — przypomina sobie wreszcie świadek.

— Jaka to była kurtka?

— Ano, chyba ze skóry. Nie, z zamszu — waha się mężczyzna.

— Więc ze skóry czy z zamszu? — dopytuje się inspektor.

— Chyba jednak z zamszu — decyduje świadek.

— Dziękuję panu — major podnosi się z krzesła.

Na okrągłej, tłustej twarzy mężczyzny maluje się wyraz zawodu i obrazy.

— Trudno wymagać, żebym pchał się ijod kule — kąciki grubych warg wyginają się ironicznie w dół.

— Ja tylko wymagam, aby niepotrzebnie nie zabierał mi pan czasu — nie wytrzymuje major.

Lekkie pukanie do drzwi. Wchodzi kobieta w szarym futrze.

— Chciałam jak najszybciej złożyć zeznanie...

Z korytarza dobiegają niezadowolone głosy:

— Tu jest kolejka, my też czekamy... Nam się też śpieszy... —

warszawski ludek w żadnej sytuacji nie daruje tym, co chcą być pierwsi.

Inspektor myśli, że zna skądś twarz tej kobiety. Musiał gdzieś ją widzieć.

— Za godzinę rozpoczyna się spektakl, w którym występuję... — prędko wyjaśnia kobieta. — Nie mogę się spóźnić. Rozumiem, że wobec tej tragedii wszystko inne wydaje się nieważne... Jeżeli teraz nie może pan mnie wysłuchać, to proszę, tu jest mój adres i numer telefonu...

— Róża Larst — przypomina sobie nagle major i łapie się na tym, że wymówił głośno nazwisko tej kobiety. —

Pani Róża Larst — poprawia się. — Widziałem panią w telewizji — wyjaśnia,
— Proszę — gest w stronę krzesła. — Słucham panią?

Mimo wszystko Róży robi się przyjemnie. Jest popularna. Nawet ten milicjant ją rozpoznał... Ciekawe, jaki on ma sto- pieii i stanowisko? Wygiada bardzo sympatycznie. Przystojny. Właściwie pierwszy raz Róża zastanawia się nad wyglądem i sposobem bycia milicjanta.

Diwa mówi rzeczowo, zwieźle. Stara się rzetelnie określić szczegóły, które spostrzegła. O niedawnych przeżyciach świadczy tylko lekkie drżenie palców i głębokie hausty dymu z papierosa.

— Jechałam ulicą... Chciałam przed spektaklem wstąpić do PKO, aby podjąć pieniądze...

— Sama pani prowadziła wóz?

— Tak, sama... Gdy usłyszałam strzały, przestraszyłam się i natychmiast zahamowałam... trochę zbyt gwałtownie.

— Wysiadła pani z samochodu?

— Nie. Byłam sparaliżowana lękiem... Widzi pan, przy samochodzie Urzędu PKO leżał zabity człowiek... Poza tym wydawało mi się, że w wozie jest bezpieczniej.

— Jak daleko znajdował się wówczas pani samochód od drzwi, od wejścia do Urzędu PKO?

Tancerka ściąga brwi — namyśla się, waha.

— Oczywiście orientacyjnie. Rozumiem, że w takiej sytuacji każda odległość wydaje się za bliska.

— Ma pan rację — bezradnie uśmiecha się Róża. — Wydawało mi się, że dzielą mnie od ambulansu PKO metry... Ale tuż przede mną, to znaczy obok maski mego wozu, była latarnia. To świetnie pamiętam. W takim napięciu doskonale widzi się. i zapamiętuje różne przedmioty. Nie wiem, czy mnie pan rozumie... Wszystko widzi się ostro, bardzo ostro i... oddzielnie. Przedmioty nacierają na człowieka, na jego świadomość...

— Zaraz zorientujemy się dokładnie — major rozkłada przed tancerką plan ulicy, przy której mieści się Urząd Polskiej Kasy Oszczędności. Plan jest duży, szczegółowy. — Proszę się dobrze przyjrzeć, która to była latarnia?

Róża w skupieniu pochyla się nad planem.

— Ta — wskazuje. — A chyba w tym miejscu stał ten ambulans PKO... z tym skrwawionym człowiekiem, leżącym tak jakoś przez maskę... zwisającym przez maskę samochodu — poprawia się.

— Jaka odległość dzieliła drzwiczki pani samochodu od latarni?

— Może metr? — nie może zdecydować się Róża.

— Zaraz ustalimy — nie traci nadziei major. — Jak padało światło

latarni, to czy raziło panią w oczy?

— Nie. Stałam w głębokim cieniu.

— Przepraszam, jaki ma pani samochód? Chcę znać typ, aby zorientować się, jaki jest jego gabaryt — wyjaśnia major.

— Lancia, model 1964 — informuje tancerka.

— Pani zatrzymała się prawie pod samą latarnią. Dlatego światło padało na dach wozu. Stąd ten cień w samochodzie.

Inspektor oblicza podziałkę planu — zaznacza położenie wozu tancerki.

— Znajdowała się pani mniej niż trzydzieści metrów od

wejścia do Składnicy PKO... Około dwudziestu pięciu metrów — precyzuje.

— I około dwudziestu metrów od ambulansu PKO. Widoczność miała pani dobrą?

— Bardzo dobrą — stwierdza Róża.

— Pani może być bardzo cennym świadkiem — mówi major. — Widzi pani, ludzie znajdujący się wówczas w Składnicy prawie nic nie mogą mi powiedzieć, tak byli sparaliżowani lękiem. Nie dziwię się, każdy z nich miał prawo myśleć, że za chwilę trafi go kula. Proszę sobie dobrze przypomnieć wszystkie szczegóły wyglądu napastników.

— Pamiętam...

— Chciałbym prosić... — major wpatruje się w piękną

twarz diwy z namysłem — aby pani nie usiłowała wiązać jakichś oddzielnie zaobserwowanych szczegółów w całość... Proszę je podawać tak, jak utkwiły pani w pamięci. Nawet jeżeli wydadzą się pani bez sensu.

— Rozumiem — uśmiecha się Róża — bez inwencji własnej. Otóż...

Mówi wolno, kiedy nie jest czegoś pewna, podkreśla to. Major czuje dla niej wdzięczność. Ta kobieta jest nad wyraz cennym świadkiem — mimo że wówczas była tylko na ulicy. Jest inteligentna i spostrzegawcza. Ma jeszcze jedną bardzo pozytywną cechę: nie ubarwia własnymi wyobrażeniami faktów, które widziała. Większość ludzi robi to bezwiednie i jest przekonana, że właśnie tak było rzeczywiście.

■ — Nie widziałam ich twarzy, tylko sylwetki. Wprawdzie gdy wybiegli na ulicę, pozrywali maski. Ale ja ich widziałam z tyłu. No, jakiś zarys profilu twarzy tego w czarnej kurtce. Ale to był taki krótki moment, że chyba nie mogłabym rozpoznać jego twarzy, gdybym go powtórnie zobaczyła. Ten w czarnej kurtce był z gołą głową. Gęste, dość krótko ścięte, ciemne włosy. Może czarne? Sylwetka?... Oślaniał tamtego, który uciekał z workiem... Trzymał w szachu całą ulicę. Ale ciągle biegł.

— A ten, który uciekał z pieniędzmi?

— Krępa, mocna sylwetka, też z gołą głową, też ciemne włosy, ale dłuższe...

— Wzrost?

— Krępy, mocno zbudowany, nie tak wysmukły jak tamten, ale raczej wysoki... Sprężyste, lekki sposób poruszania się... — Róża zastanawia się.

Major milczy, nie chce jej nic zasugerować.

— Zaraz... — głośno myśli Róża. — Jeżeli mój mąż ma metr osiemdziesiąt, to ten krępy mógł mieć... metr siedemdziesiąt.

— Czy to profesor Jerzy Larst jest pani mężem?

— Tak.

3 — Naszyjnik z hebanu

ję

— w jakim wieku mógł być ten wysoki napastnik?

— Sylwetka i jednego, L drugiego... ruchy... sprężyste, młode... Ale? Przepraszam za ten wtręt — są pewne zawody, które profesjonalnie kształtują takie sylwetki i harmonijność ruchów. Na przykład lekkoatleci, oczywiście jeżeli są przeciętnie zdrowi, do późnych lat mogą zachować piękne sylwetki i młodzieńcze ruchy.

— Nie tylko profesjonalści — dodaje major. — • Ludzie przeciętnie zdrowi, uprawiający dla przyjemności jakąś dyscyplinę sportu również zazwyczaj długo wyglądają młodo.

Róża potakuje i myśli o swoim mężu, który nie jest przecież sportowcem, a jego sylwetka i ruchy nie mówią nic

o zbliżającej się starości. Jerzy pływa, lubi tenis.

— Może pani określić w przybliżeniu ich wiek?

— Myślę, że to jednak byli młodzi ludzie... Nie, co do tego Icrepego nie mam pewności — poprawia się. — Ten w czarnej kurtce mógł mieć około trzydziestu, no, może trzydziestu pięciu lat.

Diwa sięga po następnego papierosa — opakowanie jest puste.

— Za mocne —• z uśmiechem broni się tancerka przed wyciągniętą dłonią majora z paczką Extra-Mocnych,

Sięga do torebki, przewraca drobiazgi w poszulciwaniu papierosów. Spod szperających palców jakiś przedmiot wysuwa się z torebki i spada na podłogę.

Inspektor podnosi go i przez moment sądzi, że to zapalniczka w kształcie małego pistoletu, jakie sprzedają w sklepach Isomisowych.

Tancerka zastyga z nie zapalonym papierosem w dłoni — błędnie.

— Ostrożnie, to nie zapalniczka! — ostrzega.

— Zorientowałem się — uspokaja ją m.ajor. Waży w dłoni maleńkie niklowe cacko, nie większe od pudełka zapalek. Rękojeść połyskuje okładziną z perłowca.

— Sama nie wiem, po co to noszę — usprawiedliwia się Róża. — Chyba dlatego, że taki ładny.

— „Koliber”, najmniejszy pistolet świata — inspektor odruchowo sprawdza magazynek. Sześć miniaturowych, ciemno oksydowanych fasolek tkwi w przegrodach. Major z powrotem wsuwa magazynek, zabezpiecza pistolecik.

— Dostałam go w prezencie od swego impresaria — Róża jest skrzepowana. — Widzi pan — uśmiecha się z przymusem •— nawet miałam broń, a siedziałam w wozie i... patrzyłam na te jatki.

— Kaliber 2,5 milimetra — major jest trochę rozbawiony. — Musiałaby pani strzelać do napastnika z odległości pół metra i też nie ręczę za efekt. Może sobie pani nie robić wyrzutów — podaje Różę broń. — Ale proszę jednak dobrze schować tę śmiercionośną zabaweczkę.

•— Zamknę go w domu — Róża czuje się mimo lekkiego tonu majora jak skarcona dziewczynka. — Czy mogę już odejść?

— Tdk — major wstaje. — Dziękuję pani, ale proszę nikomu — inspektor akcentuje ostatnie słowo — nie wspominać o naszej rozmowie.

— Sądzi pan?...

Major robi jakiś nieokreślony gest dłonią.

— Proszę to traktować jako polecenie milicji, jeżeli pani woli — łagodzi ostrość słów uśmiechem.

Gdy diwa wychodzi, mija na korytarzu Joanną — małą tancerkę, która tak ją kiedyś zdenerwowała. Dziewczyna wchodzi do pokoju, który przed

chwilą opuściła Róża.

— ■ Wstap do nas, Krystian — Joanna pociąga za rękaw chłopaka. — Dostaniesz kolację, a mnie będzie rażniej. Jeszcze nie bardzo ochłonęłam po tych emocjach.

— Twój ojciec jest w domu? — dowiadyuje się Krystian.

— Chyba tak. Jeszcze wcześniej. Odkąd ci przeszkadza mój ojciec? — dziwi się Joanna.

— Nie powiedziałem, że przeszkadza. Coś się nagle zrobiła taka gościnną?

— Zawsze jestem gościnną.

— Nie byłaś zacliwycona, gdy cię spotytałem. Właściwie chciałaś mnie splewić, parskalaś niczym kotka.

— A ty teraz gwałtownie wysubtelniałaś, tak?

— Coś w tym rodzaju.

— Nie gniewaj się. Parskałam tak ogólnie, nie specjalnie na ciebie.

— Coś ci się nie udało?

— W ogóle parszywy dzień — wybucha Joanna. — Zawaliłam spektakl... dostanie mi się. Jeszcze ojciec palnie mi kazanie na temat dyscypliny, sztuki przez wielkie „S”, zobaczysz.

— Domyślam się, co ci się najbardziej nie udało — cedzi mężczyzna.

— Jesteś niesłuchanie domyślny — krzywi się dziewczyna.

— Mogłabyś przestać kompromitować się z tym... starszym panem, który do tego wszystkiego nie przychodzi na spotkania.

— Pomijając już fakt, że nie powinno cię to interesować, nie sądzę, aby starszy pan był bardziej kompromitujący od ciebie.

— Za mną nie biegasz jak opętana i z mojej przyczyny nie głupiejesz.

— Tu ci[^] boli.

— Nie boli. Tylko mi żal ciebie. Marnujesz się.

— Nie cierp za miliony. Możesz mnie nie żałować z czystym sumieniem. Ja ci to mówią.

— Joanno — głos Krystiana drga. mimo jego woli ciepłym, serdecznym tonem — zastanów się, co dobrego może wynikać z tych waszych, powiedzmy, obopólnych skłonności? Jaką to ma przyszłość?

— Przyszłość? To nie ten adres — parska Joanna. — Zwróć się do wróżki. Gadasz jak stara, przedpotopowa ciotka.

— Żalodne dowcipy, zdobądź się na lepsze.

— Nie znoszę, jak mi się ktoś wtrąca. To są moje prywatne sprawy. Nie upoważniłam cię...

— Nie wtrącam się. Usiłuję przemówić ci do rozsądku. Nie mogę patrzeć, jak się głupio pakujesz w dwuznaczną sytuację.

- Bądź ścisły, w jednoznacznej sytuacji.
- W teatrze już prawie wszyscy wiedzą, że Larst się tobą interesuje.
- To jednak przychodzi na spotkania? Jesteś niekonsekwentny, Krystian, przed chwilą twierdziłeś, że to ja za nim biegam, a on... Więc jak? Zdecyduj się, przychodzi na randki czy nie?
- Joanno, powstrzymaj się na chwilę, posłuchaj.
- Kiedy ja wcale nie chcę słuchać. Zdaje się, że już kilka razy powiedziałam ci to dość jasno.
- Zachowujesz się jak struś. Nie chcesz słuchać, bo boisz się usłyszeć głośno to, co sama wiesz, ale udajesz przed sobą, że nie wiesz.
- O Boże, co za piła — niczym mój ojciec.
- Twój ojciec wie o Larście?
- Oszalałeś! — Joanna jest naprawdę przestraszona. — Chyba że ty narobiłeś plotek. No, Krystian, jeżeli to zrobiłeś, to zrobiłeś bardzo podle i...
- Uspokój się — nieprzyjemny grymas wykrzywia twarz chłopaka. — Donosy to nie moja specjalność.
- Ta Opera jest tak rozplotkowna! Najgorsze to takie zamknięte środowisko... bajorko. Tylko kto z kim śpi i dlaczego, kto komu dał lepszą rolę, kto kogo lansuje i kto kogo tępi. Obrzydzenie bierze...
- Nie zagaduj. W każdym środowisku zauważono by Larsta koło ciebie. Zbyt go jest pełno wszędzie tam, gdzie ty jesteś.
- Phi, że czasami odwiedzisz mnie do domu po teatrze, to co z tego?
- To nie jest facet dla ciebie.
- A to dlaczego?
- Po pierwsze jest w wieku, zdaje się, twego ojca.
- Młodszy. Ma czterdzieści dwa lata. Widzisz, ułatwiam ci przemówienie.
- No więc jest o dwadzieścia dwa lata od ciebie starszy. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaka to kolosalna różnica wieku? A to nie tylko ćwierć wieku was dzieli. Twoje pokolenie dzieli od niego przepaść.
- O jejku, jakiś ty nudziarz. Mam wrażenie, że to od ciebie dzieli mnie ćwierć wieku.
- Larst ma syna, który jest niewiele młodszy od ciebie, dziewczyno.
- No to co?
- Larst nigdy w życiu nie zrobi nic takiego, co by go obniżyło w oczach syna.
- Masz świetne wiadomości na temat stanu uczuć i stosunków rodzinnych Larsta.
- Mam. Poza tym Larst ma żonę.
- Rozwody są dla ludzi.

- Oczywiście. Tylko że Larst nie rozwiedzie się dla ciebie.
- A to dlaczego?
- Bo ma swoje wieloletnie nawyki. Bo zdaje sobie sprawę, że już za późno rozpoczynać życie od nowa z młodą dziewczyną. Bo ma środowisko, w którym nie chce narażać się na skandal...
- Larst jest na tyle mężczyzną, aby nie liczyć się z opinią środowiska w takim wypadku.
- ...bo kocha swego chłopca i ze względu na niego nie rozbije rodziny...
- Ta rodzina to przecież fikcja.
- Bo...
- No, jakie jeszcze „bo”? — Joanna pyta zaczepnie, drwiąco, ale wewnątrz lodowacieje. Domj[^]śla się, co jeszcze powie Krystian i nie chce tego usłyszeć.
- ...bo w koiicu kocha jeszcze swoją żonę.
- Joanna milknie. Gorączkowo szuka jakiejś odpowiedzi. Nie chce, aby Krystian domyślił się, że ona jest o tym głęboko przekonana. Małeńka pileczka w gardle Joanny rośnie, rośnie — dławi.
- Też mi konkurencja — odzywa się wreszcie złym, nie- swoim głosem.
- Stara histeryczka, była kobieta. Napompowana fumami dziewiętnastowieczna diwa! Daj spokój.
- Brzydko, Joanno. Mądra kobieta nigdy tak nie powie o innej kobiecie do mężczyzny. Rywalki niszczy się słodyczą. Czyżbyś o tym jeszcze nie wiedziała? No widzisz, jaki z ciebie zielony szczypiorek — kpi Krystian.
- Przestań — cedzi dziewczyna.
- A poza tym to nieprawdą. Róża Larst jest piękną, pociągającą kobietą i ty o tym wiesz.
- Niedługo już nią będzie — mściwie mówi Joanna.
- Wystarczy. Profesor Larst zdąży do tego czasu zostać miłym, nobliwym staruszkim i gruntownie zapomnieć, że uganiał się za tancerkami z *corps de ballet*.
- Jesteś obrzydliwy, brutalny! Jak ty mnie traktujesz! — Joanna nie może powstrzymać łez.
- Przepraszam — łagodnieje chłopak. — Nie chciałem ci dokuczyć. Dziewczyna szuka chustki do nosa. Mężczyzna podaje jej własną.
- To wszystko przez zazdrość, Joanno, że nie zwracasz na mnie uwagi.
- Przecież ja cię w gruncie rzeczy lubię — wzdycha dziewczyna.
- Ale ja za tobą przepadam, i to już od dzieciństwa — błaznuje Krystian.
- Nieprawda, zawsze byłeś obrzydliwy. W dzieciństwie szarpaleś

mnie za warkocz i bileś — zmyśla Joanna. Nie знаła Krystiana Szapara od dzieciństwa.

— A teraz chcę pisywać o tobie najpiękniejsze recenzje... tyllio musisz doszlifować styl. Musisz pracować, Joanno.

— Napisz tę najpiękniejszą recenzję już teraz...

— Nie mogę. Jestem początkującym, ale rzetelnym sprawozdawcą...

— Jesteś waż... a poza tym papuga i snob. Tylko Róża Larst, szczyty kunsztu, największa tancerka wszech czasów. I tak chórem powtarzacie te banały, że też wam się nie znudzą! Ale cóż. Wielki Krytyk napisał, więc za nim odzywa się chór właśnie takich początkujących jak ty... co to jeszcze nie mają swojego miejsca... bo żadna gazeta nie zaangażowała ich na stałe — tnie złośliwie dziewczyna. — Całkiem jak u żab. Najstarsza kumknie i całe jezioro odpowiada: re, re, re.

— Jeżeli dobrze wypadniesz na swej pierwszej premierze, przekonasz się, że po kumknięciu na twój temat Wielkiego Krytyka chór też odpowie; re, re, re. Poznasz dobrą stronę chórów — są głośne — uśmiecha się Krystian.

Zatrzymują się przed furtką jednopiętrowego domu-bliźniaka. Właściwie „czworaka”. Wysokie pasy parkanu z siatki rozdzielają segmenty budynku i ogradzają miniaturowe ogródki. Bliźniacze drzwi, bliźniacze schodki przed nimi, identyczne betonowe chodniki i umieszczone w piwnicach garaże z karkołomnymi wjazdami.

— Chodź, dostaniesz kolację na poczet tej recenzji — zaprasza Joanna.

Grzegorz Morąg, ojciec Joanny, wylewnie wita Krystiana Szapara. Zdaniem Joanny, zbyt wylewnie. Zna słabość ojca dla dziennikarzy, zwłaszcza dla sprawozdawców i krytyków teatralnych.

Ojciec jest opętany na punkcie mojej kariery — myśli dziewczyna — za bardzo pragnie mojej sławy i docenia potęgę prasy — to widać.

— Już po spektaklu, Joanno? — dziwi się i ostentacyjnie spogląda na zegarek.

Joanna nie znosi tego tonu u ojca.

— Po co to przedstawienie? — rzuca ze złością. — Przecież wiesz, że o tej porze w żadnym wypadku nie może być po spektaklu.

— Nie byłaś w teatrze? — ton Morağa wyraża zgrozę.

— Z tego jasno wynika, że nie byłam — dziewczyna odpowiada specjalnie nonszalanckim, znudzonym głosem.

— Skandal! Jak ty możesz. Zachowujesz się jak dziewczyna bez charakteru, bez ambicji.

— Ambicji, ambicji — przedrzeźnia zrezygnowana Joanna, kiwając

głową. — Charakter! Z mety bierzesz wysokie C...

— Milcz — Morąg mówi to cichym, opanowanym głosem, ale brzmienie jest tak nieprzyjemne, że Szaparowi robi się nieswojo. Joannę nie przerażają tony ojca. Uprzedza interwencję dziennikarza.

— Tatek, ty natomiast masz ambicji za nas dwoje i dlatego nic cię nie obchodzi, dlaczego nie byłam... Odnoszę wrażenie, że właściwie nie jestem dla ciebie człowiekiem, tylko jakąś maszyną do zrobienia kariery. Maszyną, która musi zrobić karierę. Ty mi doszczętnie zożydzisz balet, dziwię się, że jeszcze dotychczas tego nie zrobiłeś.

— Może mi wreszcie powiesz, co to za ważne powody skłoniły cię do opuszczenia spektaklu? — przerywa Morąg-

— Co za życie — histeryzuje Joanna. — Nawet gdybym umierała, jeszcze próbowałbyś wypchnąć mnie na scenę. A nuż bym dotrzymała do zapadnięcia Icurtyny?!

— Ona jest dzisiaj niemożliwa — usprawiedliwia się Morąg przed Krystianem.

— Joanna jest jeszcze bardzo zdenerwowana — wkracza wreszcie Krystian. — Była niedawno świadkiem tragicznego wypadku.

— Wypadku? Jakiego- wypadku?

— Nic jeszcze nie wiesz? — dziwi się Joanna. — Cała Warszawa wie...

— Dziecko — uśmiecia się Morąg — dopiero wstałem z łóżka.

Zapominasz, że twój ojciec pracuje nocami. Co za wypadek?

^ Bandycki napad, zabili podobno czterech ludzi w ekspozyturze PKO — wyjaśnia dziennikarz.

— I wyście tam byli?

— Ja nie — mówi Krystian. — Ale Joanna była w pobliżu na ulicy.

— Widziałas cały napad? Biedulko, daruj mi, byłem niesprawiedliwy — tłumaczy się Morąg.

— Szczerze mówiąc, uciekłam do bramy, jak tylko usłyszałam strzały.

— Boże, mogli cię zranić.

— Jak widzisz, jestem cała i zdrowa i nawet się z tobą kłóczę — uśmiecha się dziewczyna.

Morąg podchodzi do córki, przeciąga dłonią po jej głowie, delikatnie wicherzy czarną czuprynkę, potem ujmuje dziewczynę pod brodę:

— Płakałaś?

— To wiatr — kłamie Joanna. — Czekaj — odsuwa dłoń ojca — podam kolację.

W łazience przemywa oczy ciepłą wodą, pudruje twarz, poprawia fryzurę.

Przez chwilę przygląda się sobie w lustrze. Może zacząć się malować?

Joanna używa szminek tylko na scenie. W życiu prywatnym podkreśla

tylko oczy.

— Nie będę się malowała — przemawia głośno do swego odbicia w lustrze, przypominając sobie kunsztowny makijaż Róży Larst. Gdy nakrywa do stołu, przejęty głos spikera w radio podaje komunikat milicji o napadzie.

— „...podajemy szczegóły, ustalone na podstawie zeznań świadków...”

— płynie głos z radioodbiornika.

Joanna zaprasza do stołu.

— Byłam świadkiem — gest dłonią w stronę radia.

— O, coś nowego — dziwi się Krystian. — Nic mi nie mówiłaś.

— Nie dałeś mi dojść do głosu — krzywi się Joanna. — Jesteś okropnie gadatliwy, Krystian, nie zauważyłeś?

— Byłaś świadkiem w milicji? — wtrąca Morąg, doidad- nie smarując masłem kromkę chleba.

— Mtiy — Iciwa głową Joanna. — Nasza primabalerina też zeznawała, minęłam się z nią w drzwiach.

— A cóż się ty widziała, skoro zemknęłaś do bramy? — dziwi się ojciec.

— Ale nos v^yściubiłam — przeciwna się Joanna.

— Zawsze wszędzie tam, gdzie cię nie zasieją, córecz- Ico — żartobliwie wzdycha Morąg.

— Już mam takie szczęście. Nie przejmuj się.

— Widziałaś tych bandytów? — chce wiedzieć ojciec.

— Jednego, jak nawiewał, z tyłu. Ale krótko, bałam się. Inni ludzie to pouciekali na klatki schodowe.

— Moja ty bohaterko — uśmiecha się ojciec.

V7łaściwie trzeba by pomyśleć o kupieniu nowego wozu — stwierdza Jerzy Larst wprowadzając do garażu wysłużoną, starą Warszawę. Wzrok jego prześlizguje się po wykwintnej linii kremowej Lanci Róży, ale nie przychodzi mu na myśl, -że mógłby korzystać z samochodu żony.

W mieszkaniu przez oszklone drzwi pokoju Róży przedostaje się światło.

Ona jeszcze nie śpi — dziwi się Jerzy i ociągając się, pod wpływem wewnętrznego przymusu, przekracza próg tego pokoju.

Róża odkłada na stolik ilustrowany magazyn.

— Jak ci minął dzień? Mam nadzieję, że spektakl wypadł dobrze — udaje zainteresowanie, przysiadła naprzeciw żony. Czuje skrepowanie i nudę.

— Nieźle — uśmiecha się Róża. — Późno wracasz. Zawsze tak późno wracasz?

— Mam wiele pracy.

— Dotąd siedziałaś w klinice? — pj^tanie jest zdawkowe, ale w tonie Jerzy czuje podstęp. Pewnie dzwoniła do kliniki. Jego żona bardzo się

zmieniła. To jakaś nowa Róża, której nie zna. Interesuje się synem. A nim? Jego prawie kontroluje. Kiedyś, dawniej byłby szczęśliwy z takiej kontroli. Teraz zaczyna mu ona ciążyć i niecierpliwic.

— Nie w klinice — mówi swobodnie i nie dodaje nic ponadto. Nie dopuści, aby przyzwyczała się do wypytywań.

Róża nie nalega — czuje chłodną obcość mężczyzny, którego uczucia była pewna przez lata. Za pewna.

— Wiesz — zmienia temat — mam zamiar pozostać w domu. Jak się na to zapatrujesz? — uśmiecha się do niego i bada oczyma tę szczupłą, obojętną twarz.

— Nie rozumiem? — Jerzy Larst naprawdę nie rozumie tego jasnego oświadczenia. Tak przyzwyczał się do zawodowych ambicji żony, że nie może sobie inaczej jej wyobrazić jak w oprawie najsłynniejszych oper świata.

— Rezygnuję z kontraktów zagranicznych. Pozostaję w Warszawie. Nie cieszysz się?

Strasznie nagle spada na niego ta wiadomość — nie był na nią wcale przygotowany, nie przewidywał. Jest zaskoczony i daleki od radości. Nawet nie potrafi udąć zadowolenia. Aż dziwi go własna reakcja. Czyżby był aż tak dalece wyleczony z Róży?

— Zastanów się dobrze — mówi wreszcie.

Róża jest okropnie rozczarowana — rośnie w niej wzburzenie.

— Odnoszę wrażenie, że nie aprobujesz mego postanowienia... że... jest ci ono nie na rękę.

— Nigdy nie żądałaś ode mnie aprobaty — mówi z mimowolną goryczą Larst. — A były czasy, że oddałbym wszystko za twoje pozostanie w domu... w Warszawie. Latami żyłem jak wdowiec.

Zwalają się na niego wspomnienia tamtych jej wyjazdów na długie miesiące. Kiedy żył od listu do listu. Od jednego telefonu od niej do drugiego. Gdy ogarnięty tęsknotą odczytywał te listy znane prawie na pamięć. Szukał w nich bliskości kobiety, którą kochał. Z początku nawet jego miłość do syna była odbiciem uczucia do żony.

— A teraz już ci nie zależy na mojej obecności w domu? — Róża nie chce wymówić; „nie zależy ci na mnie”.

Larst myśli, że sam nie wie, na czym mu zależy. Rozumie, że teraz musi coś postanowić, a wcale na to nie był przygotowany. Czuje żywiołową niechęć do podjęcia decyzji. Wzrasta zdenerwowanie i żal do żony.

— Różo, masz krępujący zwyczaj przypisywania swoich poglądów innym. Jeżeli chcesz, zostań w domu.

Wcale nie chce, abyś została w domu — myśli. — To dlaczego jej tego nie powiem? Wszystko było już tak dobrze. Wszystko było ułożone. Ona daleka i sławna. Nawet lubilem te jej przyjazdy. Witałem ze spokojną radością i żegnałem bez smutku. Byłem wolny i niezależny. Kochałem Joannę. Nie było konfliktów. A teraz?... Powinienem rozwieść się z Różą? Powinienem zerwać z Joanną? Ale dlaczego zerwać? Dlatego że ta egoistka — w tej chwili nienawidzi Róży — namyśliła się pozostać po piętnastu latach ze mną? A może niech tak zostanie? Ułoży się — ludzi się przez chwilę, ale wie, że niepodobna będzie żyć między tymi dwoma kobietami, z których z jednej nie chce zrezygnować, a z drugiej jeszcze nie może.

Żal i niechęć do Róży rośnie w nim, przysłania rozsądek. Oto przyjechała i jednym słowem: „zostaje” zabiera spokój jego życia. Burzy mu jego ład. Jakim prawem? Czy nigdy nie wyzwoli się od tej kobiety? Róża jakby biegła za jego myślą.

— Jest jakaś kobieta, Jerzy?

— Masz pomysły — prawie krzyczy ze złości na nią, na siebie, że nie stać go na powiedzenie prawdy.

— Myślałam...

— To twoje myślenie... — pogardliwy ton.

Róża nie poznaje męża. Nie ma już tu dla mnie miejsca — krzyczy w niej wszystko.

I im bardziej wydaje się to prawdziwe, tym bardziej to miejsce staje się pożądane, tym bardziej pragnie je odzyskać. Odzyskać za każdą cenę.

Oboje zapominają, że w tej rozmowie powinni zachować spokój, rozwagę.

Może powinni ją odłożyć? Może nigdy jej nie zaczynać? Latami przemilczane

urazy, krzywdy dochodzą do głosu.

— Nigdy mnie nie rozumiałeś, nie cenileś mego talentu, sztuki...

— Za oklaski snobów sprzedawałeś dziecko, mnie...

— Dlaczego kiedyś tego nie mówiłeś?

— Mówiłem. Poza recenzjami i baletem nic do ciebie nie docierało. Było zamachem na twoją s z t u k ę...

— Jesteś okrutny...

— Jesteś uosobieniem egoizmu...

Jesteś... jesteś... — Przerzucają się oskarżeniami coraz bardziej raniącymi, bezsensownymi. Podniesione głosy, zacierzenie. Jest już i o rzekomych dawnych zdradach. On jej wypomina kolegów, mężczyzn z dyplomacji, impresariów. Ona krzyczy o studentkach, jakichś laborantkach. Oboje wyolbrzymiają przeszłość — oboje cierpią.

Róża dostaje ataku nerwowego. Larst natychmiast przytomnieje. Czuje do siebie pogardę — jak mógł się tak unieść?

Kobieta siedzi z głową odchyłoną na oparcie fotela. Pierś jej unoszą — zdają się rozrywać — szybkie, nierówne uderzenia serca. Fala lęku przypląwa, odpływa i znów zatapia świadomość. Panuje jednak nad sobą, nie chce zdradzić swego stanu przed mężem. Poniżej jej godności byłoby przyznanie się, że to wszystko z jego przyczyny.

— Dobranoc, Jerzy — usiłuje głosowi nadać zwykle brzmienie. —

Jestem zmęczona.

— To częstoskurcz naczyniowy — mówi Larst. — Nie denerwuj się, zaraz to usuniemy. Talcim atakom zawsze towarzyszy uczucie lęku. Podłóż nerwicowe. — Aplikuje Różę zastrzyk, podaje Idarowny, gorzki płyn. Pomaga jej do łóżka. Robi to zręcznie, delikatnie — obchodzi się z nią jak z chorym dzieckiem. Tylko jego twarz pozostaje chłodna, obojętna, daleka.

2.

Zemsta?...

Głęboki sen. Jakiś dźwięk przeciągły, nieustanny atakuje świadomość. Człowiek wyplątuje się z kręgów snu jak ze zwojów miękkiej tkaniny. Nie, to sploty monstrualnego węża, którego trzeba pokonać; jeden, drugi... woda... brak tchu. Za długo nurkuje, trzeba się mocno odbić stopami od dna i wyjść na powierzchnię...

Jerzy Larst — jeszcze niezupełnie przytomny — otwiera powieki.

Kontury wnętrza pokoju. Zarys szaf bibliotecznych. Prostokąt ram okna z zaciągniętymi zasłonami. Przez grulią tkaninę sączy się srebrzysty blask.

Księżyc — myśli. — Coś mi się śniło przykrego?

Przymyka oczy i znów zasypia. Powtarza się ten przeciągły, szarpiący nerwy dźwięk. Profesor wreszcie budzi się — rozpoznaje ten głos. To wyje

pies.

Mężczyzna nasłuchuje. Co ten Horacy, zwariował? Wyje do księżycy? Ale gdzie on w ogóle jest? Przypomina sobie, że wieczorem nie widział psa — po prostu zapomniał o nim. No tak, awantura z Różą, potem jej atak. Bohdan już spał.

Szczęście, że klócili się pa gorze — chłopak nie słyszał. Ale gdzie jest Horacy? Obudzi cały dom. Kiedy na cliwilę pies przestaje zawodzić, Larst ma nadzieję, że już się uspokoił. Nasłuchuje — wreszcie naciąga i układa się wygodnie.

Auuu! — zaczyna pies. Wyje przejmująco, niezmordowanie, jak syrena alarmowa.

Zrezygnowany Larst odrzuca kołdrę i zrywa się z tapczana. Nie ma rady, ta bestia obudzi cały dom i sąsiednie domy też. Co mu się stało? Czy psy miewają przecucia?

Mija pokój żony, z którego sączy się światło — cicho stąpa po schodach. Wycie psa jest teraz-bliższe. Słyszysz trzask kontaktu przełączonego w pokoju syna i gdy przechodzi koło drzwi, zaspany Bohdan wychodzi na spotkanie ojca.

— Ciebie też obudził? — pyta chłopiec.

— Gdzie on jest? — zastanawia się Jerzy.

— Nie mam pojęcia, ale sądząc po głosie chyba koło kuchni — ziewa Bohdan i idzie w stronę kuchni, którą od hallu dzieli długi korytarz. Rozzochrana gosposia wygląda ze służbówki.

— Zamknęłam Horacego w składziku — woła do Bohdana — bo znów był szkodny.

— Ile razy prosiłem — mówi rozdrażniony Larst — żeby Anna nie karała psa?

— Nie karała, nie karała — przedrzeźnia Anna. — Całą koszulę pana profesora potargał, żeżail... z noironu! Taka szkacina!

— To jeszcze nie powód, aby Horacego zamykać oddzielnie na całą noc — nie zgadza się Larst.

— Nęwiutka koszula — mówi ze zgrozą kobieta. — Pierwszy raz uprałam. Szkody na siedemset złotych, a pan pio^fesor...

— Siedemset złotych! — złości się Larst. — I za to krzywdzić psa...

— Jak pan profesor taki kapitalista... Ale to też nie dowód, żeby kundel marnotrawił — poucza Anna.

— Kilka razy mówiłem Annie, że jeżeli Horacy psoci, to trzeba mnie zawiadomić, a nie wymierzać mu karę. Nie mogą wszyscy go karać — pies zgłupieje.

— Kiedy nie mogłam zawiadomić pana profesora, bo... bo pan profesor akuratik pieklił się z panią. To nie śmiałam przerywać — chytrze przymyka oczki gosposia.

Bohdan wraca z oswobodzonym Horacym. Brązowy, wysmukły doberman, uosobienie nerwowości i wdzięku, przypada do pana. Kręci się w kółko i wielkimi susami wraca na koniec korytarza.

Auuu! — Ika pod drzwiami kuchni.

Bohdan biegnie za psem.

— Co to jest? — chłopiec pociąga nosem. — Tatusiu, czujesz?

Larst jest już kolo chłopca i on poczuł słodkawy, mdły zapach. Szarpie drzwi kuchni — nie ustępuje. Drżący Horacy drapie drzwi — nie przerywa swego jękliwego alarmu.

— Jezusie nazareński, królu żydowski, gaz! — wykrzykuje Anna.

— Anno, gdzie jest klucz od kuchni? — denerwuje się Larst.

— Ano powinien być w dziurce — wzdycha Anna.

— Anna zamknęła kuchnię wieczorem? — nie ustępuje Larst mocując się z drzwiami.

— Ale gdzie tam, co też pan profesor? Nigdy nie zamykam kuchni na noc — broni się Anna, — Może pani?... — Annie okrągłej oczy, z nagłego przerażenia.

Bohdan, pędem przeskakując stopnie, biegnie na górę — jego kroki głucho dudnią po schodach.

Larst chwytą jakiś metalowy pręt ze składziku i atakuje drzwi — trzeszcza solidne zawiasy wydzierane z futryny.

— Mamy nie ma w pokoju — zdyszany, błady Bohdan spogląda na ojca.

4 — Naszyjnik z hebanu

49

Wyłamane drzwi ustępują. Róża leży obok kuchennego stołu, spokojna, obojętna. Spod nastawionego czajnika z sykiem ulatuje gaz.

Bohdan zakręca kurek — Larst otwiera okno; rzuca się do Róży i unosi ją z tego miejsca pełnego zatrutego powietrza. Ciało żony miękko przelewa mu się przez ręce.

Larst jest szybki i skupiony.

— Adrenalina — mówi głośno, jakby żądał specyfiku od pielęgniarki, i już po chwili aplikuje zastrzyk.

— Kamfora.... glukoza... Bohdan!

— Jestem — chłopiec stoi u stóp tapczanu, połykając lzy. Twarz mu się krzywi dziecinnym skurczem rozpaczny.

— Synku, dzwoń do kliniki. Szybko karetkę!

Chłopiec rzuca się do telefonu — Larst aplikuje środki pobudzające. Czuje w skroniach pulsowanie, krople potu pokrywają mu czoło, skronie. Poprzez łomot własnej krwi słyszy głos syna:

— Profesor Larst żąda natychmiast karetki... Wypadek w domu z mamą... tak, ,mówi syn... chwileczkę — odwraca się do ojca, który daje mu znaki. Znowu do telefonu:

— Profesor prosi o przygotowanie sali do transfuzji, sztucznego serca i respiratora tlenowego.

W szpitalu wszystko jest już przygotowane, gdy wnoszą Różę na salę operacyjną. Larst, otoczony dobrze znaną atmosferą kliniki — sterylne nikle, bezcieniowe światło

i białe kitle kolegów — uspokaja się. Jest już tylko lekarzem, który z zacieklą pasją walczy o jeszcze jedno życie.

— Całkowita wymiana krwi — decyduje.

Sztuczne serce — skomplikowane urządzenie połyskujące chromem — podejmuje pracę mięśnia; tłoczy krew, roznosi po tym na wpół martwym ciele tlen — niesie życie.

— Na pograniczu śmierci klinicznej. Decydowały sekundy — mówi anestezjolog.

— Procent tlenu... procent tlenku węgla... hemoglobiny...

Gdy późny zimowy świt powleka szarością zmęczone twarze lekarzy, Róża zostaje umieszczona pod tlenem. Pierwsza walka o jej życie wygrana.

Delikatny, ledwo dostrzegalny oddech unosi jej pierś.

Larst ciężko opada na fotel w swym gabinecie ordynatora — czuje wielkie, wszechogarniające znużenie.

— Kawy!

Otrzymuje ciemny, parujący płyn. Pije wielkimi łykami, parząc wargi.

Odpężenie — ulga.

— Przepraszam, panie profesorze, że niepokoję — mówi lekarz dyżurny.

— Mam obowiązek zawiadomić milicję...

— O czym? — nie rozumie Larst.

- O... wypadku żony, takie są przepisy... Jeżeli pan profesor sobie nie życzy, to... może pan profesor sam chce zawiadomić? — płacze się lekarz.

— Zawiadomię — skinienie głowy.

Larst jedzie do domu — chce uszczelnić syna. Mały bardzo to przeżył. Gdy wchodzi do mieszkania, słyszy głosy;

— Już nigdy cię nie ukarzę, Horacy — szlocha Anna — nawet jak

zeżresz noiaron. Ale gdybym cię nie zamknęła — reflektuje się po cliwili — to ty byś nie uratował pani — milknie, zajęta tym dylematem.

— Horacy! — Bohdan obejmuje psa. — Piesku, mądry piesku — przepełniony czułością dla zwierzęcia przytula się do jego lśniącej sierści, Horacy wilgotnym językiem dokładnie liże rozpaloną twarz chłopca.

— Mama będzie żyła — mówi Larst. Potem dzwoni do najbliższego komisariatu.

Dyżurny przyjmuje wiadomość i informuje, że niebawem należy spodziewać się wizyty kogoś od nich.

— Formalność, panie profesorze — mówi z szacunkiem. Zna Larsta — operował mu ciężko chorą żonę. Później dyżurny nadaje wiadomość do zespołu dyspozycyjnego komendy miejskiej.

„...w dniu... w domu profesora Jerzego Larsta...” — stuka dalekopis dyżurnego miasta, przekazując między innymi i tę wiadomość do Komendy Głównej.

Ośmiej pracownicy operacyjni Komendy Głównej mają na biurkach biuletyn o ważniejszych wydarzeniach, jakie zaszły na terenie kraju podczas ubiegłej nocy.

Major Korosz przebiega oczyma łańcuchowe wiadomości. W ostatniej rubryce, z tytułem *Nadesłano w ostatniej chwili*, czyta:... „Róża Larst — śmiertelne zatrucie gazem...” Podrywa się do telefonu.

— Natychmiast zabezpieczyć kuchnię — żąda od dyżurnego komisariatu. — Co, jeszcze tam nikt nie był?

— Zwyklejny nieszczęśliwy wypadek, majorze — mówi z flegmą dyżurny. — Zrobi się.

— Proszę zabezpieczyć natychmiast miejsce wypadku —• powtarza major — i nie dokonywać innych czynności.

— Dzielnicowy załatwi — dyżurny niezbyt przejął się poleceniem. Ci z centrali... Komisariat ma inne, ważniejsze sprawy. Cała milicja miasta ma ważniejsze sprawy.

— Nie dzielnicowy — mówi inspektor. — To dotyczy sprawy kryptonim Ypsilon.

— Tak jest, obywatelu majorze — głos dyżurnego zmienia się. Kryptonim Ypsilon to ta najważniejsza obecnie sprawa, absorbująca milicję miasta i niektóre wydzielone grupy w kraju.

Inspektor niezwłocznie jedzie do Larstów. Profesor jest niezadowolony z tej inwazji milicji. Dwóch poruczników już okupuje kuchnię. Głusi są na wszelkie perswazje Anny.

— Nie życzę sobie rozgłosu, panie majorze — mówi z naciskiem Larst.

— Może mi pan wierzyć, że ja go sobie również nie życzę — zapewnia

inspektor.

Porucznicy zdają relację z oględzin. Jest już i pedantycznie nakreślony plan z zaznaczonym miejscem, gdzie leżała Róża, i szczegółowy opis wnętrza, sprzętów, naczyń. Przesłuchania domowników.

— Czajnik — informuje zniżonym głosem porucznik i odprowadza majora w głąb kuchni.

Drugi funkcjonariusz pertraktuje z rozszluszczoną biernym oporem poruczników Anną.

Inspektor ogląda naczynie. Czajnik jest pusty, wyschnięty.

— **Siady** jak gdyby przypalenia — wskazuje porucznik. — Czyżby w tym czajniku nie było wody podczas wypadku?

Major prosi do kuchni Annę.

— A długo to jeszcze tego bobrowania... Muszę przecież śniadanie zrobić, dom głodny — napada Anna na majora.

— Anno, proszę się uspokoić — stanowczy ton Larsta z korytarza — i nie przeszkadzać panom.

Kobieta przycicha — fuka tylko pod nosem jak rozszluszczony kot.

— Czy pani używała imbryka po wypadku pani Larst? — pyta inspektor.

— Czajnik! — wydziwia gospoia. — Do niczego nie miałam głowy, a pan z tym czajnikiem.

— Może wylała pani z niego wodę?

— Nie. Przecie mówię, że do kuchni nie zaglądałam, jak pan profesor żonę do kliniki powiózł. Z Bohdanem siedzieliśmy w pokoju. Martwiliśmy się, czy pani wyżyje.

— Proszę zabrać to naczynie — poleca inspektor porucznikowi.

— A co też pan — energicznie protestuje gospoia — zupełnie dobry czajnik będzie mi tu pan brał?

— Dziękuję pani, proszę już iść z kuchni — major stanowczo wyprasza Annę.

Kobieta znowu przycicha — trochę boi się profesora, a trochę milicji.

— Czajnik zabierają, zupełnie nowy — skarży do Larsta.

— Anno, proszę wreszcie usiąść spokojnie i przestać mówić — denerwuje się profesor.

Wreszcie inspektor oddaje kuchnię we władanie Anny. Porucznicy wychodzą, a major zostaje, aby porozmawiać

z profesorem. Larst dokładnie opowiada wydarzenia wieczoru i nocy, gdy obudziło go wycie Horacego. Nie wspomina tylko, skąd tak późno wrócił do domu — to zresztą nie należy do rzeczy.

Po powrocie do Komendy major ma zlecenia dla porucznika Cieślika —

kierownika Służby X.

Cieślik wysłuchuje zawitych żądań inspektora ze względnyym spokojem, jednak na zakończenie nie może sobie odmówić podkreślenia, że wymagania inspektora uważa za wygórowane.

— I to wszystko zapewne potrzebne jest majorowi zaraz?

— Nie. Na wieczór — inspektor nie przejmuje się jadowitym tonem wywiadowcy.

Wieczorem Cieślik wsuwa się do gabinetu majora. Po jego sposobie bycia major orientuje się, że wywiadowcy powiodło się.

— Melduje się jedyny i niepowtarzalny Cieślik — dworski dyg przed inspektorem — uosobienie dyskrecji, taktu, inteligencji; reprezentant samodzielnego sposobu myślenia, co ostatnio jest rzadkością — ■ sprawdza efekt swojej tyrady na twarzy inspektora, a później naciska przycisk dzwonka.

W drzwiach pojawia się sekretarka.

— Kawy i koniaczku dla wielkiego Cieślika! — zarządza z miną granda.

— Kawa będzie, koniaczku nie będzie — uśmiecha się sekretarka, która bardzo lubi Cieślika. — Ale — mówi scenicznym szeptem — major ma w biurku „piersiówkę”, tylko zdaje się, że’ z czystą. Nie wiem, czy odpowiada tak szlachetnemu przelykowi?

— Odpowiada — łaskawie zgadza się Cieślik. — Idźcie po tę kawę, moja dobra kobieto.

— Jarzębiak — prostuje major i wydobywa płaską butelkę. — Cieślik, chcę wreszcie usłyszeć coś poza błazeństwami.

— Ja z czystej sympatii stosuję dla majora relaks — Cieślic gładko pizelyka jarzębiak i nadstawia ostentacyjnie pusty kieliszek. — Okazję do płaczu będzie miał major na najbliższej naradzie u pułkownika Lisa. Za chwilę major jest dokładnie zorientowany w stosunkach zawodowych i towarzyskich oraz zna mniej więcej stan majątkowy małżeństwa Larst.

— Poza tym on — Cieślic mówi o profesorze — odpowiada rysopisowi do sprawy kryptonim Ypsilon. Pasuje. Pierwszego lutego, w dniu napadu, nie wiadomo, co robił.

■— Ale bandycki napad nie pasuje mi do jego sylwetki psychicznej, opinii zawodowej, zainteresowań, charakteru i wielu innych cech.

— A czy ja majorowi wmawiam na siłę, że to on?

— Cieślik, płoń z niecierpliwości, aby się dowiedzieć

0 rewelacyjnych wnikach waszego samodzielnego myślenia.

— Róża Larst jest ubezpieczona na życie w angielskim towarzystwie

ubezpieceniowym, majorze — poważnie wywiadowca. — To może być również motyw.

— To ma być ta bomba? — wzdycha major. — Kapcanie- jesz, chłopaku...

— A major od razu chciałby, żeby Cieślik przyprowadził sprawców? Tak? Grzecznie, za rączkę, taś, taś...

— Motywy — głośno zastanawia się major. — Pierv/szy: nieszczęśliwy wypadek. Po prostu przysła Erobić herbatę

1 zasłała.

— Po co zamknęła się w kuchni? — chce wiedzieć Cieślik.

— To można wytłumaczyć chociażby jej stanem psychicznym. Ale na razie chcę uporządkować hipotezy. Szczegółowo rozważymy je potem w większym kolektywie.

— To kapryśna kobieta o nierównym usposobieniu — stwierdza Cieślik.

— Przyzwyczajona do tego, że jej usługują. Gdyby chciała herbaty, żądałaby jej od gospodyni.

— Myślę, że najl<apryśniejsza gwiazda czasami sama ro

bi sobie herbatę. Szczególnie w nocy. Róża Larst jest za delikatna, aby zrywać służącą w środku nocy dla szklanki herbaty. A poza tym pani Anna nie wygląda na pomoc domową, która pozwoli się tyranizować. Raczej to ona jest zdolna do tyranii.

— Nie znam się na obyczajach sławnych tancerek — wzrusza ramionami Cieślik. — A pani Anna, owszem, z gatunku herodowatych.

— Wariant drugi: niedyspozycja psychiczna. Larst określił jej stany nerwowe dość dokładnie. Więc niedyspozycja psychiczna, nagłe załamanie — w takich wypadkach bodźce są niewspółmierne do reakcji — no i usiłowanie samobójstwa.

— Jeżeli wierzyć temu, co mówi Larst, to nawet jest bardzo prawdopodobna wersja — ton Cieślika jest sceptyczny.

— Tylko że ona miała pistolet „Koliber” — zastanawia się inspektor.

— Zabaweczka — lekceważy Cieślik. — Może sądziła, że nieskuteczny środek albo po prostu nie umie się z tym obchodzić? A może usiłowanie samobójstwa tylko w celach reklamy, żeby dać się odratować? A z „Kolibra”, jak ktoś się bardzo uprze, to może się nawet zastrzelić. Major powinien jednak odebrać babie to cacuszko. To nie jest zabawka dla pań skłonnych do hysterii.

— Udawanie samobójstwa raczej nie wchodzi w rachubę. Nie zamykałaby drzwi na klucz. To stara willa, rozległe pomieszczenia. Możliwość odratowania bardzo problematyczna.

— Major sądzi, że to sprawka profesora Larsta?

— Nie wiem. Trzeci motyw — „ta trzecia”. Larst przyzwyczajony do swobody, bo to ich małżeństwo to jednak bardzo luźny związek. Róża Larst bywała w Warszawie kilka tygodni w roku... Więc Larst ma swobodę, nawyki, no i tę młodą dziewczynę...

— Joanna Morağ, też tancerka. Szczególne upodobanie do tancerek — mruzczy Cieślik.

—...i nagle żona oświadcza, że zostaje na stałe w Warszawie. Nie kochana, nie chciana żona. Koniec swobody, a może nawet apodyktyczna kontrola.

— Takie luźne małżeństwo łatwo rozwiązać, łatwiej niż inne — nie zgadza się Cieślik. — Nie trzeba mordować. Ale jeżeli dochodzi do tego majątek żony i wysokie ubezpieczenie po jej śmierci?

■—■ Larst jest niezależny finansowo, nie potrzebuje majątku żony ani sumy za jej ubezpieczenie. Naczytałeś się angielskich kryminalów?

—Dochody Larsta nie dorównują zarobkom jego żony. Widzi major, bardziej opłacalne jest machanie nogami na scenie niż wybitne prace

naukowe z dziedziny neurochirurgii. A potem narzeka się, że medycyna jest na niskim poziomie.

—Bez fantazji, poruczniku — uśmiecha się major. — Ani dochody Róży Larst nie są tak zawrotnie wysokie, ani profesora Larsta tak mizerne.

—No, to pozostaje tylko czwarty motyw — stwierdza Cieślik. — Usunięcie niewygodnego świadka do sprawy kryptonim Ypsilon.

—Dzięki energii Larsta jego żona została uratowana.

—Nie miał innego wyjścia, znakomity lekarz musiał tak się zachować w podobnej sytuacji.

—Znakomity lekarz, jeżeli zdecyduje się na morderstwo z premedytacją, potrafi zrobić to tak, żeby ofiara nie została odratowana.

—Niby racja.

—Kto ze środowiska Larstów wie, że Róża Larst była świadkiem napadu? — pyta major.

—Jeżeli sama się nie pochwaliła, to raczej nikt. Nie Jestem pewien. Może powiedziała Larstowi? Nie podejmuję się tego ustalić. Major go podpytał?

— Nie.

— To jednak, mimo że sylwetka psychiczna profesora majorowi nie leży, wolał major ominąć ten szczegół?

— Na wszelki wypadek, ale tylko z zawodowej podejrzliwości — broni się inspektor. — On mi naprawdę nie wygląda na sprawcę tego napadu.

— Rysopis podobny, nasze założenia, co do faktu, że napastnicy nie pochodzili spośród kryminalistów nam znanych, w przypadku Larsta pokrywają się. To już są zbieżne punkty, których nie wo'no lekceważyć — wylicza Cieślik. — Dalej; brak alibi na określony czas w dniu napadu. Czy to nie daje do myślenia?

— Daje — mówi bez przekonania major, — Tylko, że to za proste. Pomijając już to, co stwierdziłem, że ten człowiek w żaden sposób nie pasuje mi do takiego bezwzględного działania, jego dochody pokrywają się z wydatkami, nie licząc już honorariów jego żony.

— Niech major nie fascynuje się tym, że to filar nauki, etyki i w ogóle figura znana i ceniona w całym świecie. Niedawno przeprowadził kapitalny remont willi, to kosztuje, majorze.

— Wiem, ale powiadam, że to jest za proste, za łatwe, żeby mogło być prawdziwe. Do tego zlikwidowanie świadka — własnej żony. Taki -wyczyn zrobi tylko bałwan — a nie trzeba was przekonywać, że nie z bałwanami mamy do czynienia.

— Poza wąskim kręgiem oficerów milicji prawdopodobnie tylko Larst wie, że jego żona była ^świadkiem napadu — upiera się porucznik.

— Gdyby go rozpoznała, jej zeznania byłyby inne albo nie byłoby ich wcale — mówi inspektor.

— Mogła go nie rozpoznać. A on jej Lancię na pewno. Kremowa Lancia to rzadki wóz w Warszawie.

— Banda miała szczegółowo rozpracowany plan operacji. W to chyba nie wątpicie? Gdyby Larst był jednym z nich, wiedziałby z góry, kiedy jego żona wybiera się do ekspozytury PKO.

— Ona sama mogła nie wiedzieć, że będzie ciciała właśnie wtedy wstąpić do PKO.

-- Wiedziała. Mówiła mi o tym.

— Ostatecznie nie ja jestem od typowania podejrzanych — wzdycha z ulgą wywiadowca. — Ja jestem od znoszenia wiadomości dobrych czy złych, ale zawsze prawdziwych. Jednak radzę pamiętać o ewentualnej kandydaturze profesora Larsta.

— Oczywiście — zgadza się major. — Tak jak o kilku tysiącach innych.

— Myślę, że wart specjalnego wyróżnienia.

— Przydzielcie mu opiekę — ulega major.

Półmrok. Stojąca lampa z kremowym abażurem rzuca ciepły krąg światła na niski stolik, ale nie obejmuje już postaci mężczyzn siedzących wokół. Twarze pozostają w głębokim cieniu.

— Wyjechałbym gdzieś — mówi Czarny i jednym haustem wychyla pełny kieliszek.

— Czujesz się przepracowany? — w tonie Jakuba nie ma sarkazmu. Ogląda pod światło kieliszek. Szkło załamuje blask i rzuca jaśniejsze refleksy na bursztynowy, nieklarowny trunek.

— Nie, tylko ta akcja „łapaj bandytę” lekko mi obrzydła. Radio, telewizja, prasa — niczym tuby. Milicja z obłędem w oczach, rozżarta, podejrzliwa — prostuje ramiona, aż trzeszczą stawy — no i te bezustanne rozmowy. W pracy, w tramwaju, w knajpie, w domu, wśród znajomych. Milion detektywów krąży po tym mieście. Polowanie na rosnącego bruneta w czarnej kurtce.

— Polowanie z nagonką i premią — Jakub lekko uderza w rozpostartą płachtę gazety. Wielką czcionką z pierwszej kolumny krzyczy tytuł o nagrodzie za ujęcie bandytów.

— Myślisz, że gdzie indziej nie ma polowania? — mówi Jakub — i że nie będziesz o tym słyszał. Boisz się?

— Nie więcej niż ty — w tonie Czarnego drga rozdrażnienie.

— Wojna nerwów — Szefer dotychczas przysłuchiwał się leniwej rozmowie tamtych dwóch. —• Chwył psychologiczny, właśnie w tym celu

zastosowany, aby nas zgnębić psychicznie, rozbroić.

— Dobrze ci mówić: „nas” — przesadnie rozciąga ostatnie słowo Czarny. — Waszych rysopisów nie mają.

W tej samej chwili żałuje, że to powiedział. Ogarnia go niejasny lęk, inny niż ten, który czuje chodząc ulicami, stykając się z ludźmi. Przecież tym głośno wypowiedzianym zdaniem niejako odciął się od Szefa i Jakuba. Może podsunął im myśl, parszywą, ciemną myśl, która zakiełkuje teraz w ich świadomości, że tylko on, Czarny, jest jak gdyby naznaczony, napiętnowany. On, Czarny, może naprowadzić, na ich ślad. Więc wystarczy go odsunąć... A co to znaczy odsunąć w ich sytuacji? Szef to zimny, bezwzględny bandzior... Robi mu się zimno. Boi się ulicy, a tymczasem...

Histeryzuję — myśli mkną jak szybki film — to przecież koledzy, przyjaciele. Związani jesteśmy na życie i śmierć. Właśnie! I na śmierć. Najlepiej strzelam, mam najszybszy refleks. No, może od Szefa nie, ale od Jakuba na pewno. Kogo lepszego znajdą do następnej akcji? — ocenia siebie pod kątem przydatności dla tamtych. Ale kiedy będzie ta następna akcja? Nieprędko. Długo im nie będę potrzebny. Jednego do podziału mniej. Mogą mieć po półtora miliona... Nie okazać tego, za żadną cenę nie okazać, że się ich boję.

Szef napełnia kieliszki, spod oka obserwuje Czarnego. Nie, twarz Czarnego nie wyraża nic z tych myśli, które jak błyskawica przemknęły mu, pod czaszką. Ładna, męska twarz Czarnego z niebieską mgiełką starannie wygolonego zarostu jest daleka i obojętna.

Nie zmylił tym Szefa.

— Nerwy ci szwankują, Czarny — stwierdza. — Mogę ci powiedzieć, co myślałeś w tej chwili — pociąga łyk alkoholu. Wolno, nie śpiesząc się robi sobie kanapkę z anchois.

Flegma Szefa niecierpliwi Czarnego.

— No co?

— Zważyłeś o nas — gest dłonią w stronę Jakuba. — Pomyślałeś, że stałeś się kłopotliwy dla nas przez ten fragment rysopisu. Sądziłeś, że uważamy za świetny pomysł wykończenie ciebie... No i trzy miliony łatwiej dzielić na dwóch, prościej. Tak pomyślałeś, Czarny?

— Tak pomyślałem — przyznaje Czarny.

— Niedobrze. Cholernie niedobrze. Wiecie, kiedy nastąpi koniec z nami? Prawdziwy, nieodwracalny koniec? — Pytanie jest retoryczne. Szef odpowiada na nie sam. — Kiedy przestaniemy sobie dowierzać. Kiedy zaczniemy się wzajemnie podejrzewać, patrzeć sobie na ręce i obmyślać, który którego pierwszy zatłucze, który ma większe szanse na przeżycie — a szanse mamy identyczne.

— Chwilowa depresja — Jakub usprawiedliwia Czarnego. Też tak sądzę. Ale to trzeba sobie wyjaśnić, powiedzieć o tym głośno, żeby takie myśli nie zaległy się więcej żadnemu z nas. Bo w przeciwnym wypadku nie milicja, nie prokurator, nie sąd jest dla nas groźny ani to społeczeństwo, O którym bębnią na wszystkie strony — tylko my sami. Swoje bezpieczeństwo, swój los albo swoją całkowitą klęskę, więcej: swoje unicestwienie nosimy w sobie. To wszystko zależne jest od nas, od więzi, jaka nas łączy. To kwestia zaufania, wzajemnego zaufania nas trzech do siebie.

1 tylko zaufanie jest podstawą, jedynym elementem gwarantującym nasze życie. Reszta, wbrew pozorom, to tylko kwestia silnych nerwów i dobrej organizacji.

— No, Czarny, więcej wewnętrznej dyscypliny — uśmiecha się Jakub.

— Nie traktujcie mnie jak chorego — mówi Czarny i czuje wielką ulgę, odprężenie. — Pomogliście mi. Masz rację, przez chwilę uległem depresji psychicznej.

— Może raczej presji. A presja jest potężna i jeszcze długo potrwa. To męczy. Mnie również męczy — podejmuje Szeff. — Jednak trzeba zdać sobie z niej sprawę. Miliony ludzi — bezbronnych, to fakt — jest przeciw nam. Nie tylko biernie uważają nas za jednostki, dla których miejsce jest tylko na szubienicy. Miliony ludzi są gotowe — ba! czynnie działają — aby nas wyeliminować spośród siebie. I przeciw tej bezimiennej, zwartej masie jesteśmy tylko my trzej.

— Nie demonizuj — wzrusza ramionami Jakub. — Co do jednego zgadzam się z tobą, że to masa i na tym koniec. Ciemna masa w sensie wiedzy o nas.

— Ja mówię o układzie sił psychicznych, a nie o faktach. Tylko my trzej wiemy, co nas dzieli od tych milionów ludzi, i to jest właśnie to ciśnienie, które na moment przygniotło Czarnego, które działa z mniejszą lub większą siłą i na mnie, i na ciebie, Jakub. Jeżeli to sobie dobrze uświadomimy, to nas nie zniszczy, nie zgniecie. Fakty to co innego. W rzeczywistości jesteśmy obywatelami jak te miliony. Jesteśmy bezimienne społeczeństwo, ukryci, wmieszani w tę masę. Wrośnięci w swoje zawody, środowiska. Mamy nawyki i tryb życia, który nas specjalnie nie wyróżnia spośród innych ludzi — a więc jesteśmy bezimienni. Tak wyglądają fakty.

Chyba uspokoiłem ich trochę? — myśli Szeff. — Dość przekonywająco wypadło to moje *expose*. Gdybyż to była rzeczywiście tylko presja opinii, bezimiennego społeczeństwa. Ale przecież są świadkowie — Szeff czuje

nieprzyjemny chłód w karku.

— Sprawa rysopisu — podejmuje po chwili tym samym spokojnym, opanowanym głosem. — Ten, który podano, tylko minimalnie odpowiada rysopisowi Czarnego Takich mężczyzn i podobnych jest w naszym kraju tysiące. Teraz

następna rzecz: co milicja wie jeszcze? I to jest najważniejsze w tej chwili.

— Wie mniej, niż nam się wydaje — stwierdza Czarny.

— Trzeba brać pod uwagę, że oni nie podali wszystkiego do publicznej wiadomości. Najważniejsze atuty trzymają w tajemnicy; nie rzucają ich na szpalty gazet.

— To więcej niż pewne — zgadza się Jakub.

— Sądzę, że i o rysopisach moim i Jakuba też z grubsza mają pojęcie.

— Więc dlaczego nie podali ich? — wątpi Czarny.

Szef pomija tę uwagę milczeniem.

— Trzymamy się konsekwentnie planu — podejmuje; jego ton jest teraz zupełnie inny. Tak mówi Szef. — Praca, dom, rozkład dnia i tygodnia taki sam jak przed akcją. Nie unikać życia towarzyskiego. No i pilnie słuchać wszystkiego, co mówią na mieście. Wszystkich plotek.

— Czytać prasę, słuchać radia, gapić się w telewizory — ironizuje Czarny.

■— Nie kpj, Czarny. Podkreślam; słuchać, co' mówią na mieście — powtarza S.->:ef. — Do polowania na nas milicja rzuciła znaczne siły. A co to są za siły? L u d z i e , pojedynczy ludzie, którzy mają żony, znajomych, przyjaciół od •serca.

— ■ Liczysz na przecieki stamtąd? — dowiadyuje się Czarny.

— Liczę. Wystarczy, aby niewielu, powiedzmy dziesięciu funkcjonariuszy — a tacy zawsze powinni się znaleźć — podzieliło się tym, co wiedzą, każdy tylko z jednym człowiekiem.

— No tak, wiadomości rozchodzą się w postępie geometrycznym — zgadza się Jakub.

— Przecenisz — oponuje Czarny. — Milicjanci to płotki. Ich - wiadomości to cząsteczki. Drobne cząsteczki całości zleconej im oddzielnie od —• do. O całości wie nieliczna grupa, do której nie dotrzemy nigdy.

— Też wolałbym mieć przyjaciela w sztabie — stwierdza

Szef. — Ale z cząsteczek, z wielu cząsteczek można złożyć przynajmniej szkielet...

— Garbaty szkielet, który może wprowadzić tylko w błąd... — mruczy Czarny.

— ...ogólną konstrukcję, ogólny pogląd — głos Szefa nieprzyjemnie twardnieje — resztę dośpiewamy sobie sami i tylko od nas zależy, aby ta reszta nie była garbata.

— A gdybym tak zmienił fryzurę? — pyta Czarny i wyczekująco przygląda się kolegom, ciekawy ich opinii.

— Cholernie cię nurtuje ten rysopis — z westchnieniem mówi Jakub.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — usprawiedliwia się tą maksymą

Czarny.

— Chcesz zmienić kolor? — ściąga brwi SzeF.

— Skądże znowu — żywo protestuje Czarny. — Zmiana koloru zwróciłaby uwagę otoczenia. Nie, nie kolor. Wystarczy, abym mógł skrócić włosy albo je zupełnie zgolić.

— Sądziś, że zgolona głowa mniej zwróci uwagi niż prze- farbowana?
— powątpiewa Jakub.

— Oczywiście gdybym miał do tego solidny pretekst.

— Czekaj — zastanawia się SzeF, który idzie za tokiem jego rozumowania — to chyba da się zrobić... jakaś choroba skóry?

— O, właśnie — ucieszył się Czarny.

— Krosty na głowie czy liszaje — SzeF wymienia te dolegliwości takim tonem, jakby omawiał zalety kremu do golenia lub wody kolońskiej.

— Widoczna choroba skóry na głowie — podejmuje Czarny. — Utyskiwanie przed znajomymi przez kilka dni. Choroba rozwija się, wszyscy już widzą i z lekkim wstrętem współczują. Fotem dermatolog, zgolenie włosów.

— Powinieneś trochę pohisteryzować przed lekarzem, nie zgadzając się na zgolenie czupryny •— doradza Jakub.

— Oczywiście, pertraktacje, że może wystarczy trochę podstrzyc. Potem niewątpliwie bandaż, leczenie, może nawet przebywanie w domu, bo te liszaje mogą mi dokuczać, a później pięknie ogolona makówka z lekarskim uzasadnieniem. Jak wam się podoba?

— Można to przeprowadzić — zgadza się SzeF.

— Uważaj, abyś nie wpędził się w chorobę. Takie liszaje mogą nie zechcieć później zejść, w najlepszym wypadku możesz wyłysieć — przestrzega Jakub.

— Nie martw się — uśmiecha się z pobłażaniem Czarny — użyję w tym celu nieszkodliwego specyfiku, wywołującego tylko przejściowe zaburzenia dermatologiczne, które po jakimś czasie znikają bez śladu. Nie mam zamiaru trwale się okaleczyć.

— A jeżeli dermatolog rozpozna, że to robiona choroba? — niepokoi się SzeF.

— Bądź spokojny, stary — mówi Czarny — nie rozpozna. Na tyle znam się na farmacji, aby użyć środka nieszkodliwego dla mnie, a jednocześnie nie wskazującego specjalście źródła infekcji.

— No, to choruj na zdrowie — uśmiecha się SzeF,

— Czy nie prościej byłoby odhodować dłuższe włosy? — proponuje Jakub — i zamiast na jeża cześć się nieco inaczej. Na przykład z przedziałkiem. To też zmienia fizys, a ryzyko żadne. Namyślcie się dobrze,

czy to nie lepszy pomysł niż liszaje.

Może i lepszy — zamyśla się Szef.

— Jak się pani czuje? — major spogląda na szczupłą, spokojną twarz Róży L., arst. Myśli, że nie widać na niej śladów niedawnej ciężkiej choroby. Toczek z futerka szarych nurkov/ podkreśla złocisty połysk gładko zaczesanych włosów upiętych w grecki węzeł, rzęsy rzucają długie cienie na matowe policzki. Róża wygląda bardzo pięknie.

— Znakomicie, już nawet normalnie ćwiczę — uśmiecha się kobieta.

— To było bardzo rozsądne w7vjść za rr.ąż za

5 — **Naszyjnik z hebanug5** lekarza. Gdyby nie interwencja Jerzego, mogło być ze mną bardzo źle.

— Mam kilka pytań — major nie wie, jak zacząć niemiłą rozmowę.

— Domyślam się — Róża bawi się przez chwilę wyciągniętym papierosem, przyjmuje ogień z rąk majora. Zaciąga się dymem. W jej gestach jest wdzięk, gracia. Przygląda się inspektorowi. Ma bardzo intensywnie niebieskie oczy.

Majorowi przeszkadza jej spojrzenie i iskierki ironii w zrenicach.

— Z góry muszę żądać od pani dyskrecji — mimo woli szorstki ton głosu.

— Jestem dyskretna z natury.

— Proszę o zachowanie naszej rozmowy w tajemnicy nawet przed profesorem Larstem — głos majora twardnieje, staje się ostry, nieprzyjemny.

— Jeszcze nie powiedział mi pan, co mam zachować w tajemnicy — Róża nie jest zdziwiona ani zaskoczona zastrzeżeniami inspektora.

— Zaraz to pani wyjaśnię, ale moją prośbę proszę traktować poważnie.

— Pan nie przesadza w... — tancerka nie dopowiada rozpoczętego zdania. Chciała powiedzieć: w podejrzliwości, ale nie chce urazić tego funkcjonariusza, działającego prawdopodobnie w najlepszej wierze, więc szybko podnosi do ust kieliszek z wermutem.

Siedzą w warszawskiej pustawej kawiarni. Wczesne przedpołudnie — wnętrze lokalu tonie w półmroku, za oknem śnieg z deszczem.

— Być może przesadzam — zgadza się major. — Jednak wolę popaść w przesadą niż... — też nie kończy zdania. Nie może powiedzieć wprost tej spokojnej kobiecie, że podejrzewa jej męża o usiłowanie morderstwa z premedytacją. To **i** tak wyjdzie w pytaniach, jakie jej zada. Ona jest wystar

- czająco inteligentna, aby je zrozumieć. A będzie to mniej brutalne.
- Dobrze, nie zwierzę się z tej rozmowy nikomu — przyrzeka Róża. — Skoro panu zależy...
- Czy pani chciała popełnić samobójstwo? Proszę mi powiedzieć prawdę, ja z racji zawodu, jaki wykonuję, jestem dyskretny.
- Nie, proszę pana. Jak dotychczas nie miałam takiego zamiaru. Bardzo lubię żyć. Sądzę, że mam jeszcze na tym najlepszym ze światów coś niecoś do zrobienia — mówi z prostotą.
- A może... — major nie bardzo potrafi ująć w słowa swoją następną myśl, możliwie delikatnie, aby jej nie urazić.
- No, śmiało... — zachęca tancerka. — Zdaje się, że wiem, o co pan chciał zapytać. Czy nie zrobiłam tego na efekt, licząc, że mnie uratują. Tak?
- Tak. Proszę mi nie mieć za złe. To pytanie też musiałem zadać.
- Nie czuję się dotknięta, jak pan widzi. Nie, proszę pana, taki pomysł też nie przyszedł mi do głowy. Wprowadziłam system nerwowy mam w niezupełnym porządku, ale skłonności do hysterii nie mam. Moja choroba jest nieco inna
- 1 na innym tle.
- Wczoraj, przed wypadkiem, miała pani atak nerwowy.
- Tak. Urządziliśmy sobie przedtem z mężem małą awanturę. Przyczyny były błahe, prawie żadne. Tyle, że ja byłam zmęczona po spektaklu, a on po pracy na uniwersytecie i w klinice. Oboje nie mieliśmy racji... Oboje dzisiaj się z tego śmiejemy, trochę nam wstyd — mówi lekko Róża.
- Często między państwem wynika tak gorąca różnica zdań?
- To chyba drugi raz w czasie trwania naszego małżeństwa. To nie dużo jak na szesnaście lat współżycia. Prawda?
- Jakie leki dał pani profesor, aby uspokoić ten atak?
- Zapewniam pana, że zupełnie nieszkodliwe — uśmiecha się Róża.
- Pamięta pani ich na wy?
- Tak. Od dość dawna jestem z nimi na ty. Oczywiście nic'zbyt często. Są to; Chinidinum-Sulfuricum, czyli pocziwa chinina, no i jeszcze — ponieważ tym razem częstoskurcz był dość uporczywy — otrzymałam zastrzyk Gilurytmału. To wszystko. Oczywiście po zastrzyku atak natychmiast minął. To radykalne lekarstwo, z tym, że może je stosować tylko lolcarz. Jak pan wie, Jerzy jest lekarzem — więc wszystko jest w należyтым porządku. Jeżeli pana to interesuje, to Gilurytmał jest niemieckim specyfikiem, produkowanym w NRF. Czy wyczerpująco omówiłam tę kwestię?

Major myśli, że profesor Larst powiedział mu słowo w słowo to samo, a więc nie kłamał.

— Później co pani robiła?

— Później nie mogłam zasnąć. Mąż nie pozwolił na zażycie żadnych środków nasennych, właśnie z powodu le- Itarstw, jakie mi zaaplikował, aby nie wywołać niepożądanych reakcji organizmu. Nie uważa pan, że wyrażam się co najmniej jak rutynowana pielęgniarzka? Ale to tylko na temat tej dolegliwości. A w ogóle organicznie nie znoszę szpitala, chorób i rozmów na ten temat. Pan mnie wystawia na ciężką próbę — u. siłuje żartować.

— Co było dalej?

— Po prostu zesłałam zaparzyć herbatę.

— Mogła pani o to poprosić gospozię.

— Panie majorze — śmieje się Róża — przecież nie byłam obłożnie chora. A ponadto miałam ochotę przejść się, zająć się przygotowaniem tej herbaty, posłuchać, jak m. ruczy peł- ny czajnik.

— Co pani robiła w kuchni?

— Nastawiłam wodę, przygotowałam sobie filiżankę i nasypałam dużo herbaty do zaparzenia. Zachciało mi się jeść. Chciałam sobie przygotować jakąś małą przekrjską i zaczę-

łam myszkować w lodówce. Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie, oparłam się o ścianę i jeszcze pamiętam, jak czepiałam się tej ściany, aby nie upaść... Następne moje wrażenie to biel separatki szpitalnej.

— Nalewała pani wodę do czajnika?

— Nie. Była w nim woda.

— Sprawdzala pani jego zawartość? Zajrzała pani pod pokrywke przed postawieniem go na płomień?

— Nie. Ale sądząc z ciożaru czajnika, musiała w nim być woda.

— Zamknęła się pani w kuchni na klucz?

— Tego nie przypominam sobie. Mogłam to zrobić odru- chov.'o. Już mi Jerzy mówił o tym, że musiał wyważać drzwi, ale W' żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Chyba jednak to zrobiłam, no bo kto mógłby mnie zamknąć od wewnątrz na klucz?

Major nie zaprzecza. Nie mówi jej, że są dość proste sposoby, aby przekrećić klucz będący wewnątrz pokoju.

— Może coś jeszcze sobie pani przypom. ina? Jakies oderwane fragmenty. Może coś, co uznała pani za majaki ze snu lub omdlenia?

Róża milknie, zapala papierosa. Sprawia wrażenie, że się namyśla. Pamięta jakies niejasne uczucie, jak gdyby czyjejs obecności, ale jest to tak ulotne, nierzeczywiste. Nie są to ani doznania sluchu, ani wzroku, tylko właśnie jakies odczucia, że ktoś tam obok niej był. Nie, to nie nadaje się do opowiedzenia temu podejrzliwemu majorowi, który chce znać fakty, a nie stany psychiczne rozmówcy. Nie może i nie chce mówić mu o tych złudnych wrażeniach — i tak, zdaje się, ma ją za nieszkodliwą wariatkę.

— Nie, panie majorze. Nic więcej sobie nie przypominam. Teraz rozumiem, skąd ta prośba o dyskrecję. Pan po prostu podejrzewa mego męża — to nonsens, majorze. Będę dyskretna, to zbyt przykre i zbyt krzywdzące dla niego.

Inspektor żegna Różę Larst i jedzie wprost do Zakładu Kryminalistyki. Odszukuje jednego z lekarzy, specjalistę od środków toksycznych.

— Słuchaj, jakie skutki uboczne może wywołać podanie w niezbyt wielkich odstępach czasu takich środków jak... — wymienia leki, które otrzymała Róża tamtego wieczoru.

— Żadnych skutków ubocznych — stwierdza lekarz.

— A na przykład omdlenie?

— Też nie. Zemdleć można bez zażycia tych leków, jeżeli atak częstoskurczu potrwa zbyt długo, oczywiście ze zmęczenia. To męcząca dolegliwość.

— Spreczyżuj, co to znaczy: dość długo?

— Dla jednego chorego będzie to trzy doby, dla innego tydzień.

- A jeżeli atak potrwa godzinę?
 - To rzadkość, żeby chory mdlał.
 - Ale jest możliwe?
 - Tak samo jak jest możliwe omdlenie w ogóle.
 - Okropnie jesteś lakoniczny — wzdycha inspektor.
 - Odpowiadam na pytania. Masz pewno jakąś teorię i moje odpowiedzi nie pasują ci do teorii?
 - Tym gorzej dla twoich wyjaśnień — uśmiecha się major.
- Wraca na Pidawską do Komendy Głównej i myśli, że w dalszym ciągu nie może znaleźć sensownej odpowiedzi na pytanie, co było przyczyną wypadku, któremu uległa Róża Larst.
- Już nawet nie klucz — mówi do pułkownika Lisa. — Darowałbym te zamknięte drzwi, rzeczywiście mogła odruchowo przekręcić klucz, ale jak wytłumaczyć fakt, że z czajnika wygotowała się woda, a gaz nie palił się?
 - Z tego wynika sprawa imbryka — rymuje Lis. — Zrobilesz ekspertyzę czajnika?
 - Tak. Świeże spękania osadu wewnątrz po wygotowaniu się wody.
 - **I** tak koło Larsta trzeba trochę pochodzić — uspokaja Lis.
 - Boję się, żeby jej się coś nie stało po raz drugi i to skutecznie.
 - Jeżeli to sprawka Larsta, to drugi raz czegoś podobnego w domu nie zaryzykuje — to pewne. Na otwartej przestrzeni „anioły” Cieślaka nie dopuszczają, więc na razie tancerka jest bezpieczna. A wiesz, że ona świetnie tańczy?
 - Wiem. To w ogóle świetna kobieta — opiniuje major. — Jest również prawdopodobne, że podejrzewamy Bogu ducha winnego człowieka.
 - Owszem — zgadza się Lis. — Podejrzewamy już tyłu Bogu ducha winnych ludzi, że jeden mniej, jeden więcej różnicy nie robi.
 - Jeżeli woda wypełniająca naczynie zaczyna wrzeć — major obsesyjnie wraca do swojej myśli — to powinna zalać płomień. Ale wtedy woda pozostanie w naczyniu, bo nie ma od czego wyparować. Jeżeli natomiast woda wygotowała się, to może spalić się czajnik, ale płomień nie ma prawa zgasnąć.
 - Andrzej, zbyt cię wypełnia ta woda — uśmiecha się pułkownik. — Uważaj, żeby cię nie zalała jak ten płomień. Odlóż to na razie, zajmij się analizą tego — podaje inspektorowi pękatą teczkę — to do operacji kryptonim Ypsilon. Poczytaj sobie...

3. Chiromantka

Zsimięte stoliki w Spatifie obsiadło gwarne towarzystwo.

- Zdrowie wschodzącej gwiazdy baletu — Krystian, już lekko pijany, unosi kieliszek. — Zdrowie solistki *in spe* Teatru Opery i Baletu w

Warszawie, Joanny Morag!

— Dlaczego „in spe”? — protestuje Wielki Krytyk, głosy zebranych przy stole przycichają. — Joanna została dzisiaj pasowana na solistkę. Będiesz świetną tancerką, Joanno — zwraca się do dziewczyny. — Za twój wielki dzień — unosi kieliszek.

— Jeszcze niezupełnie została pasowana — nie zgadza się ojciec dziewczyny.

— A to dlaczego? — dziwi się Paweł Olech, baletmistrz Opery i przyjaciel ojca debutantki.

— To może zrobić tylko prasa — wyjaśnia Morag. — Recenzje, oczywiście przychylne recenzje.

— Jutro o Joannie napisie cała prasa — zapewnia Krystian tonem właściciela koncernu prasowego.

— Szczególnie ty napiszesz — prycha dziewczyna — jak v/y pijesz jeszcze taką ilość wódek, jaką już masz w żołądku.

— Ta wódka już krąży we krwi — wyjaśnia Krystian. — Recenzję napiszę... wódka we krwi nie ma wpływu na recenzję. Tutaj promille się nie liczą.

— Prasa... — zaczyna Morag, nie zwracając uwagi na nieszczęśliwą minę córki.

Joanna robi się purpurowa ze złości i upokorzenia. Jest wściekła na ojca — wstyd jej za niego. Nie chce, aby Wielki Krytyk pomyślał sobie o nim coś niepoehlebnego. Krystian i Olech znają go i lubią. Ale jakie wrażenie odniesie ten inteligentny i kulturalny człowiek, którego na tę kolację spro%wadził Krystian. Może pomyśleć, że to próba pozyskania go.

Wielki Krytyk spostrzega zmieszanie Joanny i z uśmiechem pochyla się w jej stronę;

— Byłaś naprawdę bardzo dobra, Joasiu, tego samego zdania jest i pani Róża, która też obiecała przyjść, aby cię uściskać.

Joannie o mało nie wyrывa się pytanie: a kto ją tu zaprosił? Ale reflektuje się.

Kto zaprosił Różę Larst? — myśli z niechęcią. — Też pytanie! Oczywiście ojciec. Albo Olech. Albo obaj. Gest Olecha jest zrozumiały — jako baletmistrz w Operze uczy Joannę i służy radą Larstowej. Ale po co to ojcu. Boże! Jak się ten ojciec podlizuje Icażdemu, kto tylko ma coś do powiedzenia w balecie. Klezmerskie nawyki — Joanna surowo ocenia postępowanie ojca. — On kiedyś pęknie z tej przesadnej ambicji. Ciekawa jestem, co by zrobił, gdybym źle wypadła na dzisiejszej premierze? Chyba zbiłby mnie.

— Mam nadzieję, że Róża nie zaszczyca nas swoją cenną obecnością

— zwierza się Krystianowi, korzystając z tego, że reszta jest zajęta rozmową.

— Zazdrościsz jej? — oczy Szapara zwięzają się.

— Napijmy się, Krystian — proponuje zrezygnowana Joanna. Jest zła na siebie. Też miała się do kogo wybrać ze zwierzeniami. Zalany kogucik — myśli o Krystianie.

Potem zaczyna się koszmar. Tego Joanna nie przewidziała. Siedzi tyłem do drzwi w rOf>u najmniejszej, ostatniej salki klubu, więc zaskoczenie jest kompletne, gdy na „Witamy! Witamy!” gości zgromadzonych przy stole, dziewczyna odwraca głowę.

Tuż przed sobą ma Różę Larst wspartą na ramieniu męża.

Joanna wy. siłkiem woli tłumi panikę, przemożną chać, aby natychmiast stąd uciec.

Róża Larst w wytwornej czerni wygląda olśniewająco. Wąska suknia podkreśla doskonałość figury, złocistość włosów, matowość skóry. Z promiennym uśmiechem wyciąga do Joanny dłoń, winszuje jej premiery, zwraca się per „koleżanko”. Uścisk, pocałunek, serdeczność, atmosfera prawie rodzinna.

Jak w niedobrym śnie Joanna podaje dłoń Larstowi. T.~ dzień spoczywa w jego rękę jak martwa.

— Jestem z ciebie dumny, Joanno — mówi swobodnie Jerzy i daje jej wspaniałe róże na wysmukłych lodygach.

Joanna przyjmuje kwiaty i jest wdzięczna tej wiazance, że może nią zająć ręce. Sztynnymi palcami gładzi aksamitne płatki koloru bladej herbaty. Maleńkie kropelki wody, załamując tęczo światło kinkietów, staczają się z główek kwiatów. Joanna przeraźliwie wyraźnie widzi te kropelki i rozszczepione w nich refleksy światła.

— Państwo się znacie — bez zdziwienia uśmiecha się Róża, spoglądając na męża i Joannę.

— Znamy się — stwierdza Larst tonem, jak gdyby ten fakt był oczywisty. — Pierwszy wy wróżyłem Joannie karierę sceniczną. Proszę pamiętać, że ja pierwszy się na niej poznałem — zwraca się do Wielkiego Krytyka.

— Za twoją przyszłość, Joanno — Larst unosi kieliszek.

— Dziękuję, panie profesorze.

— Co ty robisz, Joanno, z kwiatami, odłóż je — zwraca jej uwagę ojciec. Joanna mnie i obrywa płatki pysznych róż.

— Przepraszam — bezradny, blade uśmiech. — Nigdy nie byłam pierwszą osobą... Nie mam wprawy w celebrowaniu takich uroczystości. Kochani, nie zajmujcie się mną tak bez przerw/y — w jej głosie brzmi niekłamana prośba. Odkłada wiazankę na brzeg stołu.

Rozmowa toczy się przy stole wartko. Zebrani tutaj są specjalistami od błyskotliwych rozmów, Jerzy Larst ze swobodą światowca rozmawia z Joanną. Rozmawia? — to nieścisle.

— Tak, panie profesorze... nie, panie profesorze... — na tyle tylko może zdobyć się Joanna. Z wysiłkiem nadaża za potokiem jego słów, żeby to swoje „tak” lub „nie” umieścić w odpowiednim miejscu. Jerzy zdaje się nie widzieć jej ogromnego skrępowania.

Tymczasem nastrój przy stole jest coraz swobodniejszy, któryś z gości siada do fortepianu.

Larst prosi Joannę do tańca.

— Po co pan tu przyszedł? — ponuro pyta dziewczyna, gdy znajdują się z dala od zebranych.

— Chciałem cię zobaczyć — szczerze mówi Jerzy. — Co ci Jest, Joanno? Zachowujesz się, jakbyś połknęła stalowy pręt.

— Rzygać mi się chce!

Bardzo zdziwione spojrzenie Larsta.

— Jestem ordynarna, to zdaje się chciał pan powiedzieć, tak? Mniej ordynarna i mniej brutalna od pana... z jego rzekomą kulturą i wykwinnym sposobem bycia. A przynajmniej mniej załgana...

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, Joanno? •

— O nic — gaśnie dziewczyna — o nic. Fałsz, udawanie, świństwo i pozory przyzwoitości — porządni ludzie. Tylko ja nie czuję się porządnym człowiekiem.

— Denerwuje cię obecność mojej żony? — domyśla się wreszcie Larst.

— Można to i tak nazwać. Powściągliwe, niewinne określenie.

Denerwuje! Nie, to świetnie! — Joanna zaczyna się śmiać. — Panie profesorze — z uporem akcentuje to „pan” — pan jest niesłychanie subtelny... niczym stary krokodyl... — mę"zy ją to, że Larst nie potrafi zrozumieć, czy też udaje, że nie rozumie, co ją tak mierzi, że ona, Joanna, nie umie ująć tego w słowa, spokojne, przekonujące, celne zdania.

— Czy mam wyjść, Joanno?

— Czuje się pan obrażony?

— Nie. Tylko nie chcę przysparzać ci przykrości — znów ten szczery, jasny ton.

Ależ ten człowiek doprawdy nie czuje fałszu sytuacji! Czegóż wobec tego od niego chceć? — myśli z goryczą.

— Proszę zostać. Mój ojciec byłby niepocieszony, gdyby tak sławna diwa jak pani Róża zbył wcześniej wyszła. Proszę

o oświetlenie tego przemiłego wieczoru aż do ostatniej chwili — jeżeli pan może. A teraz proszę mnie odprowadzić na miejsce i już więcej nie prosić do tańca, a poza tyra mniej do mnie gadać, gadać, gadać...

— Zadzwoń do ciebie jutro rano, muszę się z tobą spotkać.

— Jutro rano będę miała kaca — oświadcza Joanna. Są już blisko stołu.

— Co mówiłaś, Joanno? — nie dosłyszał Olech.

— Że jutro mam murowanego kaca — z niewinną miną spogląda na Olecha i wypija jednym haustem pełny kieliszek.

Czego ja właściwie chcę? — myśli dziewczyna. — Oczywiście chcę zachować Jerzego wyłącznie dla siebie. Trzeba z nim porozmawiać. Jasno postawić sprawę: odejść od Róży, zostań ze mną.

Joanna wie, że na taką rozmowę nie zdobędzie się. Nie jest pewna swojej przewagi. Zmuszony do wyboru, Jerzy może wybrać Różę. Trzeba to rozegrać inaczej...

Przy stole gorąca dyskusja. Do Joanny docierają strzępki zdań. Rozmawiają oczywiście o balecie, o wystawionej niedawno w Brukseli

„Dziewiątej symfonii” Beethovena, do której choreografią opracował jeden z najwybitniejszych współczesnych choreografów francuskich.

— Trzy razy z rzędu oglądałam ten balet — mówi Róża.

— I nic nie chciałaby pani tam zmienić, pokazać nieco inaczej? — interesuje się Olech.

— Niepoprawny zawodowiec — pokpiwa Róża, ale je[^]t ogromnie ciekawa pomysłu baletmistrza. — Szczerze mówiąc nie zastanawiałam się nad taką możliwością.

— Pan mnie intryguje — Wielki Krytyk również jest zainteresowany koncepcją Olecha. — Poważnie, widziałby pan w tym układzie jakieś istotne zmiany?

— Trudno powiedzieć, czy istotne, czy lepsze — namyśla się Olech. — Boję się, że wobec autorytetu tego Francuza moje propozycje mogą państwo wziąć za herezję.

— Proszę mówić — domaga się zniecierpliwiona Róża. — Wszelki postęp brał się z herezji.

Paweł Olech wyjaśnia swój pomysł[!]. W miarę mówienia zapala się coraz bardziej, widać, że temat go pasjonuje. Przy stole narasta gwar. Krzyżują się pytania, zastrzeżenia, okrzyki podziwu i dezaprobaty. Sypią się fachowe terminy. Temat pochłonął wszystkich poza Larstem, który czuje się trochę jak na tureckim kazaniu.

Jakiś fragment kompozycji, który niezmiernie objaśnia Olech, v/ydaje się Róży niezrozumiały. Szczupłe, mocne palce baletmistrza gorączkowo pokrywają zapisem choreograficznym bibułką serwetki.

— Całe opracowanie mam w domu — mówi Olech, gdy serwetka drze się pod ostrzem długopisu.

— Proszę nas natychmiast zaprosić do siebie — kategorycznie żąda Róża, porwana wizją tego układu tanecznego. Wahanie Olech nie trwa dłużej niż kilka sekund.

— Ależ proszę bardzo! Jedźmy! — gest w stronę łelnera.

W domu Olech z pomocą Joanny nakrywa do stołu. Krystian i Róża przeszkadzają im usilnie, gębołco przekonani, że ich udział jest niezbędny.

— Proponuję jeszcze raz obejrzeć fragmenty „Dziewiątej” — Olech przygotowuje aparat projekcyjny.

Po obejrzeniu filmu baletmistrz wyciąga kartony gęsto pokryte zapisem clioreograficznym.

— Ależ to nie elementy, to cała oryginalna kompozycja — wykrzykuje zdziwiona Róża. — Szkoda, że nie ma tu warunków — rozgląda się wokół — chętnie spróbowałabym chociaż niektóre fragmenty.

— Zaraz przygotowuję kawę — oświadcza Joanna. Z ulgą wybiega do

kuchni. Pragnie odetchnąć od widoku Róży, Jerzego i przynajmniej przez chwilę nie udawać.

— Służę ci — zjawia się w kuchni Krystian.

— Na razie nie jesteś potrzebny. Zawołam cię — żartobliwie wypycha go za drzwi.

Nastawia wodę i przysiada na kuchennym taborecie. Chwila ciszy, zamknięte drzwi tłumią głosy z pokoju. Joanna przeciera filiżanki, wsypuje kawą do kamiennego garnka i zalewa wrzątkiem.

Jeden nieostrożny ruch i ciężki garnek przechyla się rap-

townie. Parujący płyn chlusta na podłogę, a parzące krople pryskają na rękę Joanny.

Dziewczyna przez chwilę bezmyślnie gapi się na brunatną powódź rozlew/ającą się po pedantycznie utrzymanej podłodze, wreszcie z pośpiechem nastawia świeżą wodę, powtórnie przygotowuje kawę.

Teraz rozgląda się w poszukiwaniu ścierki. W kuchence aie spostrzega niczego, co nadawałoby się do wytarcia po- nadzki. Cicho wymyka się więc do hallu.

Gdzie ten Paweł trzyma ścierki? — zastanawia się, bezradnie rozglądając się po wielkim przedpokoju. Olech mieszka w starej, secesyjnej kamienicy. Mieszkanie ma rozliczne zakamarki. Zaraz! Jest przecież wnęka, „służbówka” przy kuchni, odgradzona od niej kotarą z kilimu. Joanna wraca.

Cześć wnęki zajmuje krakowska skrzynia malowana w kw4atowe ornamenty. Joanna unosi jej wieko — rzeczywiście leżą lam równiutko poukładane, szare ścierki.

Ale estet&t! •— myśli kpiąco Joanna. — Nawet ścierki trzy- *jaja* w pięknym kufrze.

Sięga po pierwszą z brzegu, nie może jej wyciągnąć — R7.-arpi=“ Szelest papieru? Wyszarpnięta wraz ze ścierką paczka ro'-'W'ja się nieco przed oczyma Joanny. Dziewczyna nie ma czasu na zdziwienie. W tej samej chwili czuje na ramieniu ucisk dłoni i silna ręka odpycha ją od kraicowskiej skrzyni.

— Co ty tu robisz? — gospodarz mieszkania nie tai zdziwienia

— Nie widzisz, rozlałam kawę... — burczy speszona Joanna.

— Właśnie widziałem. Ale to -jeszcze nie powód, żebyś mi przewracała mieszkanie do góry nogami.

— Szukałam ścierki... — usprawiedliwia się dziewczyna.

— Ścierki do podłóg trzymam w łazience — ^zrusza ramionami Olech, odbierając z jej rąk lnianą tkaninę. — Ta jest od naczyń.

Joanna wyciera podłogę. Olech czeka cierpliwie, po czym zabiera jej nasiąkniętą kawą szmatę i pedantycznie splukuje pod kranem.

— Idź do gości, Joanno.

— Podani już tę nieszczęsną kawę.

— Sam podam. Nie lubię kuchennych katastrof.

— Urznęłam się po prostu — stwierdza głośnie dziewczyna, sama nie bardzo wiedząc, dlaczego chce, aby sądzono, że jest bardziej pijana niż w rzeczywistości.

Posłusznie wraca do gości i chętnie pr.”:yjmuje kieliszek podany jej przez Krystiana. Gdy Olech wnosi kawę, dziewczyna naprawdę jest

podchmielona. Morąg z dezaprobatą obserwuje córkę — ale powstrzymuje się od uwag.

Kryształowy wazon w kształcie idealnej kuli, napełniony wodą. Na niskim stoliku mieści się tylko ta kryształowa kula i dwa srebrne, siedmioramienne świeczniki. W każdym z nich płonie tylko jedna świeca.

W chybottliwych płomieniach świec z kątów mrocznego pokoju wypęczają zwielokrotnione cienie i układają się, drżąc, na ścianach i suficie, ciągle w utajonym ruchu, gotowe zmienić kształt i miejsce, zależne od kaprysu je-yczków ognia.

Po wysmukłych laseczkach szarozółtych świec spływają z ledwo dosłyszalnym skwierczeniem woskowe krople. Lekki, miodowy zapach wosku przywodzi na myśl lato, brzęczenie pszczał, woń kadzideł, zakrystii i śmierci.

Róża pragnie otrząsnąć się z tego wrażenia i nie może.

Tu powinien być jeszcze czarny kot — pokpiwa w myślach i rozgląda się po ciemnym wnętrzu. Nieliczne sprzęty, utajone w mroku, sprawiają wrażenie tajemniczycich istot, połączonych jakimś porozumieniem, gotowych przemówić **na** skinięcie.

— Siedem — niski głos właścicielki dziwnego wnętrza przyprawia Różę o drżenie i zmusza do poddania się bez eszty niesamowitemu nastrojowi, który ogarnął lancerkę; po przekroczeniu progu tepo pokoju.

— Siedem ■ — powtarza czarnowłosa kobieta i delikatnymi ruchami jakiejś, sobie tylko znanej liturgii zspola po kolei wszystkie czternaście świec.

Cienie kłębią rię po ścianach, miotają przerażone, drżące, aby po chwili znieruchomieć w dziwacznej kompozycji, uległe, całkowicie poddane dłoniom kobiety — zbrojnym w drewnisko płonącej zapalki.

To są jej czarne koty — myśli Róża o cieniach zalegających ściany i już całkiem ulega niesamowitemu nastrojowi i harmonii ruchów czarnow/losej wroźki ubranej w białą suknię z jakiejś zwiewnej tkaniny.

— Proszę obrączkę — wyci-ignięta ręka kobiety, rękaw z przejrzystej materii unosi się jak obłok; szczupła, piękna dłoń o żółtawej karnacji przypomina delikatne chińskie malowidła.

— Nie mam — płoszy się Róża i czuje się jak winowajczyni.

— Pierścionek — palce misternej chińskiej statuetki dotykają dłoni Róży. Tancerkę przebiega mimowolny dreszcz. Spodziewała się dotyku zimnej, martwej chimery; tymczasem te krucie palce są ciepłe, miękkie jak aksamit i żywe.

— Od kogo dostałaś ten pierścionek? — czarne, wilgotne źrenice, jak

rozszerzone atropina, nieproporcjonalnie wielkie w drobnej twarzy wpijają się w Różę.

— Od męża.

Kobieta delikatnie ściąga z palca długi pierścionek z dużym, ostro szlifowanym szafirem i podnosi go na wysokość płomieni świec. Kamień prześwietlony blaskiem lśni fioletowymi refleksami.

— Siedem — powtarza wróżka i pierścionek z pluskiem opada na dno kryształowej kuli. Srebrnym kapturkiem, osadzonym na cienkim pręciku, gasi dwanaście świec. Cienie

znowu zagej.7Ciają się i podobne do stada wielkich nieto- peizy zwisają z sufitu.

W.szyslKo oddala rię i dematerializuje. Jedynymi realnymi przedmiotami wydają się: kryształowa, mlecznie opalizująca kula i dJonie wrózki spoczywające martwo po bokach wazonu. Oświetlone refleksami kryształowych ścianek zd.iją się być oddzieiontf i niezależne od reszty ciała znieruchomiałej. odciętej mrokiem postaci.

— Chcesz zobaczyć przyszłość? Przyszłość, jaka cię czeka? Prawdi^iwa? A wiesz, że los człowieczy nie zawsze bywa szczęśliwy. Może.sz zobaczyć rzeczy straszne, które cię przerażą. Więc namyśl się, czy chcesz? — znowu zawisają na Róży te ciężkie, niesamowite źrenice.

— Chcę — ledwo może wykrztusić Róża i ogarnia ją złość, że aż tak ulega sugestii.

— Szalona kobieto, zastanów się, jaką za-^lonę każesz mi ucliylić. Jeszcze rnasz cza.s, jeszcze możesz się cofnąć!

Róża rie odpowiada. Ale rzeczywiście przez moment ma chęć przerwać ten bezsensowny sean.s, wyzwolić się z tej atmosfery przypominającej majaki ze złego snu. Narasta w niej złość na siebie i na tę kobietę, którą podejrzewa teraz, że jest wariatką.

• — Wszystko, czego nie możesz objąć rozumem, wydaje ci się nienormalne. A jednak boisz się mojej wiedzy — mówi tamta odpowiadając n.i myśli Róży.

— Nie boję się — w Róży budzi się przekora i łupina z siebie, z caiego tego misterium. Po prostu tamta potrafi wywołać na.strój. Jest w tym mistrzynią — to trzeba przyznać. Nic dziwnego — fo jej profe.eja i podstawa egzystencji. A jej wygląd, jej dziwna uroda, umiejętnie podkreślona strojem, sposób mówienia i porusz?nia sip potęgują to baśniowo- senną atmo.ęferę. To wszystko — uspokaja siebie tancerka.

Czuje się teraz jak na dobrym widowislxu i ogarnia ją ciekawość, czym jeszcze tamta potrafi ją zadziwić, zaskoczyć, a może nawet przerazić na chwilę.

6 — Waszj jijjii £ liei anu

g]

I

— Więc niech się stanie — mówi śpiewny głos, a cała postać do złudzenia przypomina delikatną, misternie wyrzeź-
biorą przez chińsliego mistrza z bardzo odległej epoki
statuetkę z kremowej kości.

|1

^

Pochyla się nad szklaną kulą.

— Skoncentruj swoje myśli na własnym życiu, pragnieniach, cierpieniu i radości — żąda.

r.

Zapada cisza.

Róża myśli, że człowiek jest niesłychanie dziwnym stworzeniem, że często zaskakuje sam siebie. Jeszcze wczoraj, gdyby jej ktoś powiedział, że pójdzie tracić czas na brednie jakiejś chiromantki, uśmiełaby się serdecznie. A jednak przyszła. Uległa ciekawości. Właściwie zaczęło się od faktu, że po spektaklu znalazła w swej garderobie prospekt:

Blanka Riess — Chiromantka. Czy chcesz poznać swoją przyszłość?

Następował adres, numer telefonu. Prospekt był wydrukowany na pięknym papierze, dobrze opracowany graficznie,

bez nachalnej, naiwnej reklamy, jaka przeważnie towarzy-

szy tego rodzaju ogłoszeniom. Nawet nie wyrzuciła tej ćwiartki

bladobłękitnego kartonu.

Gdy wróciła do domu, w hallu, na tacy przeznaczony na korespondencję, między innymi kopertami znów znalazła błękitny welin, a delikatne, złote litery zawiadamały:

Blanka Riess...

Następnego dnia w kawiarni chłopiec oferujący gazety wtykał gościom w dłonie bladoniebieskie prostokąty, objaśniające wdzięczną czcionką, że Blanka Riess...

— Trzy spotkania z Blanką Riess — roześmiała się i opowiedziała Jerzemu o prospektach.

— Idź, może być zabawnie — powiedział roztargniony, wyraźnie myśląc o czymś innym, daleki i obojętny. Zresztą ostatnio wciąż był taki, a wtedy gdzieś się bardzo śpieszył.

Róża zapomniała o Blance Riess, współczesnej wróżce, podającej na eleganckim welinie numer telefonu.

Wczoraj po spektaklu, w którym tańczyła Copelię, zadzwęczał w jej garderobie telefon.

— Mówi Blanka Riess. Moje nazwisko niewiele pani powie.

Widziałam pani Copelię — była pani nadzwyczajna. Brak mi słów na określenie pani sztuki.

— Znam panią z prospektu — powiedziała Róża. Podobał jej się niski, z leciutką chrypką, śpiewny głos tamtej, no i uznanie jej talentu. Uznanie ludzi to słabość Róży.

— Chcę ukazać pani przyszłość...

— Jest pani pewna, że chcę ją znać? — zapytała Róża.

— Każdy boi się przyszłości, ponieważ jest niewiadomą.

Uchylenie zasłony znad spraw często przykrych odstrasza. Ale znając tę przyszłość, można uniknąć przykrości, a nawet dramatów — wabił głos.

— Zgoda. Uchylę zasłony, pani Blanko — nabrała ochoty Róża. Traktowała to jak zabawę. Dopiero tutaj dała się zaskoczyć nastrojem. No, ale już się z niego otrząsnęła. Niechaj ta aktorka, biegła w swym rzemiośle, uchyla chociażby siedem zasłon — myśli Róża przypominając uporczywie powtarzaną przez Blankę Riess kabalistyczną liczbę siedem.

— Męczysz mnie — wróżka przerywa myśli Róży. W jej głosie jest cierpienie i skarga.

Podnosi swoje za duże źrenice i wpija je w twarz tancerki. Róża ma wrażenie, że te ciężkie oczy zaraz wypadną z obramowania powiek, które już tylko z trudem je utrzymują. Wypadną i potoczą się do stóp Róży jak czarne kamienie.

— Męczysz mnie — powtarza. — Jeżeli będziesz miała tak rozstrzelone myśli, nic nie zobaczę, tylko jakieś strzępki, których nie złożę. Możesz nie wierzyć w dar mego jasnowidzenia, to twoja sprawa, ale nie męcz mnie. Zrezygnuj, wyjdź! — głos wróżki jest ostry jak lodowe igiełki — albo zastosuj się do mojej prośby. Pełna koncentracja na swoim życiu — *timbre* łagodnieje, znów jest śpiewny.

Powraca nastroj nie.saniowitości i grozy — Róża ulega znowu sugestii nakazu tamtej.

Blanka nieruchomieje, wpatrzona w pierścionek spoczywający na dnie kryształowej kuli.

— Widzę — mówi pow'oi, zduszonym szeptem. — Widzę dziewczynę. Młoda. Czarnowłosa, bardzo piękna... Ależ ona tańczy!

Milknie, zamiera; słyhać tylko skwierczenie świecy, różowy ognek chyboce, przygasa i uroniwszy woskową łzę wystrzela jasnym, równym płomieniem.

— ...widzę, idzie na spotkanie z mężczyzną... jest zakochana... Zaraz, nie widzę jego... Nie, to nikt z jej bliskiego otoczenia... to niemłody chłopak... Jest! Widzę go... siedem! Nie uciekaj... siedem! Zatrzymuję cię, bądź! Zaklinani cię w imię siedem, wzywam cię w okrag tego pierścienia. Je.-<teś! Ukrywasz klucz, klucz od pokoju kochanki... — w śpiewnym głosie brzmi triumf i ulga. — Mężczyzna w sile lat, piękny, sławny. Umykał, on się ukrywa... ukrywa ze swoją namiętnością do czarnowłosej... to niedobra miłość. Mężczyzna nie jest wolny. To twój mąż, sławna tancerko... jeszcze możesz go zatrzymać, on je.szcze się waha... ale nie rób mu wymówek, bo odejdzie do tamtej... Strzeż się jej, ona ma talent... widzę ją... tłumy, oklaski, sława... Gdzie jesteś ty? Nie widzę ciebie... siedem! Zaklinam

i wzywam ciebie w okrąg tego pierścienia, siedem, bądź!... To jesteś ty?!... Zapomniana, samotna kobieta...

— Nie chce! — histerycznie krzyczy Róża.

Kobietę przebiega drżenie jak człowieka, którego brutalnie wyrwano z głębokiego snu. Głowa opada na oparcie łóżka, czarne źrenice przysłaniają powieki — Blanka dyszy, jest śmiertelnie wyczerpana.

— Co pani jest? — Róża jest przerażona zachowaniem tamtej.

— Pani mnie za gwałtownie obudziła. Tego nie wolno robić...

— Przepraszam — mówi Róża, mimo że sama jest na progu ataku nerwowego.

— Pani krzyczała, było coś przykrego? Uprzedzałam przed seansem...

— Pani nie pamięta? — zdziwienie Róży jest kompletne.

— Nigdy nie pamiętam — pobłażliwie uśmiecha się tamta. — Cdy wracam do normalnej osobowości, nie pamiętam i nie znam losów ludzi, którym przepowiadam... ale teraz nie będę mogła dokończyć seansu... pani mnie śmiertelnie zmęczyła...

Róża drżącymi dłońmi kładzie na brzegu stolika dwieście złotych i ze źle maskowanym przerażeniem spieszenie żegna niesamowitą wróżkę.

Ucieka, chce być jak najdalej od tego miejsca, od Blanki Riess, współczesnej Pytii, i jej jasnowidztwa czy tylko zręcznej szarlatanerii.

Chińska statuetka nie rusza się z miejsca; tak zostaje w pamięci diwy, nieruchoma, z odchyloną głową, tylko czarne, ciężkie źrenice, patrzące z zagadkowym wyrazem, odprowadzają tancerkę do progu mieszkania.

Zdenerwowana Róża nieuważnie prowadzi wóz. I gdy jeździ kremowa Lancja w sposób nie mający nic wspólnego z ogólnie przyjętymi obyczajami wyprzedza kolejny samochód — zatrzymuje ją milicjant.

Uwagi funkcjonariusza i mandat otrzeźwiają nieco Różę. Bardziej bliska rzeczywistości dociera do domu.

W domu pusto. Nie ma ani męża, ani syna. Gospościa krząta się w kuchni.

Róża sięga po słuchawkę telefoniczną, chce sprawdzić, gdzie jest Jerzy, ale rozmyśla się i nie dzwoni.

Trzeba to przemyśleć — zbiera się w sobie. Przemyśleć i nie robić głupstw. Wie jedno, że musi dowiedzieć się prawdy o tym rzekomym

drugim życiu Jerzego. Nie zastanawia się nad faktem, że źródłem informacji jest chiromantka. Jak to ustalić, jak się przekonać? W Paryżu czy Londynie sprawa byłaby prosta — biuro prywatnych detektywów. Ale w Warszawie?

Wysledzę go sama — postanawia.

W przyprawie chorobliwej energii idzie do gabinetu męża i zaczyna metodyczną rewizję. Pochłonięta pragnieniem odkrycia tajemnicy tego mężczyzny, który do niedawna mniej ją interesował niż sprawność własnych mięśni, nie zdaje sobie sprawy, że zachowuje się nieetycznie. Ona, która jeszcze przed godziną byłaby szczerze oburzona, gdyby dowiedziała się, że ktoś otworzył cudzą korespondencję. Ona, która uważała rewidowanie kieszeni mężów za rzecz wstrętną — myszkuje teraz wśród papierów, osobistych drobiazgów, listów — czujna na najlżejszy szmer niczym zawodowy złodziej.

Gdy profesor przyjeżdża na obiad, nie ma pojęcia, że jego gabinet nie kryje tajemnic przed żoną i nie ma pojęcia, w jakim Róża jest nastroju. Uśmiechnięta, promienna siada do obiadu.

Jerzy zawiadamia ją z udaną obojętnością, że musi zaraz po obiedzie wyjść i że wróci późno.

— Kochanie, nie krępuj się mną — mówi Róża swobodnie.

— Przykro mi, masz wolny dzień... — Larst czuje się jak winowajca. Wolałby, aby wyraziła niezadowolenie, miałby pretekst do rozgrzeszenia siebie.

— Nie ograniczaj swoich przyzwyczajęń, Jerzy — odpowiada Róża. — Muszę cię łagodnie, bez wstrząsów przyzwyczaić do swojej obecności. Nie mam zamiaru skazywać cię na niewolnika swojej żony.

Co się z tą kobietą dzieje? — myśli oszołomiony Larst. — Gdzie się podziały fochy, egocentryzm, zaborczość?

Jest mu ciężko, czuje się nieuczciwy względem tej promiennej, wyrozumiałej kobiety. Ogarnia go niesmak i żal do... Róży.

Po obiedzie profesor znika w łazience, żądając od gospoży przygotowania bielizny i innego garnituru.

— Pani Anno, ja przygotuję panu ubranie — ofiarowuje się Róża i idzie do pokoju męża. Czekwała na ten moment od chwili, gdy Jerzy zawiadomił ją, że zaraz po obiedzie wychodzi.

Ze zręcznością kieszonkowca kontroluje kieszenie. Żaden szczegół nie uchodzi jej uwagi: dokumenty, pieniądze — to Róży nie

interesuje. O! Coś ciekawego! — zmięty rachunek z Bristolu sprzed dwóch dni. Wytworna musiała być ta kolacja; pan profesor zapłacił za nią osiemset złotych.

To jeszcze nie dowód — myśli Róża — że był na tej kolacji z kobietą, z Joanną — stwierdza bez zdziwienia, przypominając sobie wieczór w Spatifie. Teraz widzi zachowanie Jerzego i tej dziewczyny owego wieczoru w zupełnie innym świetle.

Stare bilety do teatru, klucze. Róża szybko identyfikuje rozliczne klucze: od garażu, od mieszkania, te trzy klucze spięte kółeczkiem to na pewno od kliniki — domyśla się.

W górnej kieszeni marynarki samotny płaski klucz.

Cuhalt — w świadomości Róży wypływa gdzieś zasłyszana nazwa.

Co mówiła Blanka Riess? Róża uświadamia sobie, że przecież przez cały czas miała ściśle określony przedmiot poszukiwań. Właśnie tego najbardziej sziała...

„...ukrywasz klucz, klucz od pokoju kochanki...” — przypomina sobie zduszony szept wróżki.

Gdy profesor Larst wchodzi do swego gabinetu, zastaje przygotowany, garnitur, świeżą koszulę i odpowiednio dobrany krawat. Przekładając drobiazgi z kieszeni ani się domyśla, że przed chwilą dotykały ich dłonie jego żony.

Róża w płaszczu, gotowa do wyjścia, z okna swego pokoju obserwuje chodnik przed domem. Słyszy skrzyp kroków, a potem widzi sylwetkę Jerzego, jak wchodzi do garażu. Wymyka się pośpiesznie z mieszkania. Biegnie na najbliższy postój taksówek. Nie może wziąć swojej Lanci — mąż mógłby zauważyć.

Szczęśliwie na postoju jest — jedyna zresztą — taksówka. Róża siada obok szofera. W tym momencie mijają ich pod- nLszczona Warszawa Larsta.

— Za tą piaskową Warszawą — dysponuje tancarka. — Jeżeli nie zgubi jej pan z oczu, płacę podwójny kurs.

— Zrobi się — mruczy szofer i ciekawie zerka na osobliwą pasażerkę.

Larst zatrzymuje się pod klinika — znika w drzwiach budynku, Róża Joi.t zawiedziona — namyśla się, czy nie zrezygnować z całej imprezy. Dochodzi do wniosku, że rola detektywa jest niewdzięczna. Ale mąż nie v/ystawia zbyt długo na próbę jej cierpliwości, wraca do wozu.

— Za nim — poleca Róża.

Profesor tym razem zatrzymuje się przed gmachem Akademii Medycznej. Róży przypomina się, że ostatnio jej mąż nad czymś pracował. Długo po nocach paliło się światło w jego gabinecie. Przez te dni był jeszcze bardziej niż zwykle nieobecny duchem, obcy. Przypomina jej się zdanie zasłyszane mimochodem — o jakimś opracowaniu na Radę Wydziału. Aha! To chyba dzisiaj ma on tę Radę Wydziału. To niewątpliwie potrwa. Tancerka uzbraja się w cierpliwość. Rzeczywiście pobyt Jerzego w Akademii przeciąga się.

Róży jest zimno, zabrakło jej papierosów, z nudów i bezczynności nawet chce jej się jeść — dobiega dziesiąta wieczorem. Ale Róża uparła się, że dzisiaj wytrzyma do końca.

— Bardzo pana przepraszam — zwraca się do milczącego kierowcy. — Czy byłby pan uprzejmy kupić coś do jedzenia i... papierosy? — mnie w dłoni banknot.

Szofer odwraca głowę i taksuje Różę nieufnym wzrokiem. Solidne futro, błysk kosztownych pierścionków na palcach, zapach dobrych perfum i ogólne wrażenie elegancji — nastroja go nieco frzychniej.

Róża pojmuje tę rezerwę, czuje, jak się rumieni z obrazy.

— Pan mi nie ufa? — śpiesznie wyciąga z torebki pięćset złotych. — Proszę — wcioika mu w dłoń — to chyba więcej niż wynosi kurs.

Licznik wskazuje niecałe sto złotych. Szofer wychodzi z wozu. Róża* siedzi i rozciera ścierpięte nogi.

Kilka minut po dziesiątej Jerzy staje w drzwiach gmachu — szofera taksówki ani śladu. Larstwo zagrzewa molor i wolno rusza z podjazdu. Róża rozgląda się zrozpaczona i niewiele myśląc przesiada się za kierownicę.

Trzyma się w przyzwoitej odległości, nie tracąc z pola widzenia zgiętego zderzaka Warszawy swego męża.

Naciąga głębiej na czoło kołpaczek z szarych nurków, na wszelki wypadek, aby Jerzy nie rozpoznał jej. Jest w swoim działaniu tyleż przeczorna, co i naiwna.

Jerzy zatrzymuje się przed Operą — od strony wyjścia dla aktorów. Różę całkowicie wypełnia uczucie triumfu. W tej chwili nie ma miejsca na cierpienie, zazdrość, upokorzenie. Nie zastanawia się też nad tym, co pomyśli i co zrobi kierowca taksówki, jeżeli nie zastanie wozu tam, gdzie go zostawił.

Róża triumfuje. Dobrze przewidziała, że Jerzy jednak po- jedzie

do Opery. Joanna dzisiaj tańczy Kopciuszka — zaraz skończy się spektakl, więc mógł spokojnie załatwić swoją Rndę Wydziału. Do dziesiątej i tak Joanna była zajęta.

Róża poznaje ciemnozielony zamuszowy kożuszek Joanny. Jerzy wita się z dziewczyną i otwiera przed nią drzwiczki samochodu. Ruszają — Róża za nimi.

Dolny Mokotów — stwierdza Róża, gdy wydostaje się ze Śródmieścia- Gdzie oni jadą? Przecież tu są pewno tylko jakieś peryferyjne knajpy. Jerzy chyba nie będzie włóczył się po spelunkach, choć do tej małej ladacznicy to całkiem podobne.

W pojęciu Róży w.szystkie restauracje w Warszawie poza kategorią „S” — to spelunki.

Wóz Larsta skręca w małą uliczkę dolnego Mokotowa. Róża nie zastanawia się, że może być rozpoznania, jedzie tuż za nimi. Larst zatrzymuje wóz pod cichą, ciemną willą.

Pewno ta mała tam mieszka — domyśla się Róża i parkuje swoją taksówkę opodal, po przeciwnej stronie. W blasku świecącej latarni — widoczna jest jak na dłoni.

Gdyby Larst i Joanna mniej byli zajęci sobą — pewnie zauważyliby tę dziwną taksówkę prowadzoną przez kobietą w kosztownym futrze.

Kiedy za jej mężem i Joanną zatraskują się drzwi ciemnej willi. Róża jeszcze nie czuje nic oprócz satysfakcji ze swojej przedsięwzięcia i oszołomienia, że jednak odkryła prawdę.

Dopiero gdy w oknie na piętrze błyska światło i pojawia się sylwetka dziewczyny zaciągającej story. Różę ogarnia furia, złość, upokorzenie, pragnienie odwetu za v/szelką cenę.

Ona mieszka z ojcem — medytuje tancerka. Ojciec to toleruje?! Może nie wiedzieć. Trzeba zawiadomić, jej ojca. Zaraz! Przecież Morąg jest muzykiem w nocnym lokalu. Jak to oni nazywają? „Klezmer”.

Różę zalewa fala nienawiści. Ależ ta dziewczyna jest cyniczna. Korzysta z tego, że ojciec gra do czwartej rano, i sprowadza sobie gachów.

Diwa ma chęć natychmiast podzielić się swoim odkryciem z Morągiem. Niech zobaczy, jakie to ziółko ta jego wychu- chana córeczka. Na przeszkodzie staje fakt, że nie zna adresu lokalu, w którym Morąg pracuje. Po chwili opanowuje się nieco.

Nie, nie wywoła skandalu. Niewiele przyniesie jej to satysfakcji. A poza tym Róża Larst zazdrosna o jakąś tance- reczkę — niesmaczne i śmieszne. Zemści się na nich dotkliwie, tak, aby oboje,

Jerzy i ta... poczuli.

Róża, pochłonięta obmyślaniami zemsty, znów nie ma czasu pomyśleć o taksówce.

W tym czasie w Komendzie Ruchu Drogowego Milicji zrozpaczony właściciel taksówki tłumaczy:

— ...ledwo dotarta Warszawa, jeszcze nie spłaciłem długów...

— Stary kieryka i taki lekkomyślny — robi mu wymówki porucznik, ale nie odrywa się od selektora. Miasto już zostało zamknięte dla szarej Warszawy nowego typu Nr..., taksówka zarobkowa Nr..., bez znaków szczególnych.

— Wyglądała jak dama — kwili kierowca. — Futro z nurków, suardepari rmanicur na metry, pierścionki, złota bransoleta...

— Panie, za kilkaset złotych obwieszę pana biżuterią z Jablonexu jak choinkę.

— Pięćset złotych mi dała jak pięć złotych. Panie, ja się na tym znam, w taki sposób daje pieniądze człowiek, który ma ich dużo — broni się szofer.

— Pewno, jak za pięćset złotych zdobywa sto tysięcy, to może mieć wyrobiony gest. Psychologia pana zgubiła — kpi porucznik. — Ale chociaż kluczyk od stacyjki mógł pan zabrać...

Sygnal selektora uprzedza odpowiedź kierowcy.

— Znalazł się pana wóz — informuje taksówkarza porucznik, przysyłając dłonią słuchawkę. — Zaraz tu będą. Ale sto złotych mandatu za pozostawienie kluczyka to pan zapłaci.

— Z przyjemnością — mówi z zachwytem szofer.

Patrol milicji zastaje Różę za kierownicą taksówki.

— Czyj to wóz? — pytanie milicjanta jest ściśle retoryczne.

— Jednego taksówkarza — objaśnia Róża wyrwana ze swego snu o zemście. — Dobrze się składa, że panowie się znaleźli, bo muszę mu zwrócić samochód, a nie wiem, gdzie go szukać — stwierdza Róża z rozbijającą naiwnością.

Milicjanci wymieniają spojrzenia. Plutonowy każe Różę przesiąść się na sąsiednie siedzenie i zajmuje miejsce za kierownicą.

— Może mnie panowie podrzucicie do domu — wymienia adres tonem kobiety przywykłej do żądania takich usług.

Tego jest już dla milicjantów stanowczo za dużo. Wariatka? Bezczelna złodziejka, pozująca na naiwną?

— Mamy zgłoszenie o kradzieży tego samochodu.

— Ależ to nieporozumienie — stwierdza lekko diwa, tak jest

głęboko przekonana, że jej nie można posadzić o kradzież.

Dopiero v.^ Komendzie Ruchu zdaje sobie sprawę, jak milicja ocenia to wydarzenie, i zaczyna się denerwować. Tyrn bardziej że porucznik wydaje się nie rozumieć tego prostego faktu, że primabalerina Róża Larst nie może być złodziejką.

— Po prostu pożyczylam sobie — tłumaczy z wypieltnami na twarzy. — Źle zrobiłam, że nie pomyślałam wtedy, jak to może wyglądać z boku. Usprawiedliwia mnie takt, że byłam zbyt zaabsorbowana, aby myśleć o takim drobiazgu...

— Drobiazgu! — porucznikowi opadają ręce ze zgrozy.

— To jest sprawa między mną a kierowcą — dowodzi Róża. — Zdenerwował się, może się na mnie gniewać — wynagrodzę mu to. Ale co tu ma do roboty milicja?

Okazuje się, że ma. I pobyt Róży w Komendzie przedłuża się. Tancerka zdaje sobie wreszcie sprawę, że nie jest pewno, czy w ogóle wyjdzie stąd w najbliższej przyszłości. Ogarnia ją panika. Szuka gorączkowo sposobu ratunku i przypom.ina jej się major, któremu składała zeznania na temat nap.ndu. Zaraz, jak on się nazywał?... On chyba uwierzy, że Róża nie jest i nie może być złodziejką.

— Panie poruczniku — prosi Róża — pan będzie uprzejmy zawiadomić o tyra przykrym nieporozumieniu majora Korosza z Komendy Głównej, on mnie zna.

— Tu nic nie pomoże Komenda Główna.

— Ale ja pana bardzo proszę — Róża błagalnym gestem spleta dłonie — No, przecież oskarżony ma prawo do... ostatniego słowa — przypomina się Róży gdzieś zasłyszany termin.

To „ostatnie słowo” rozbrawia porucznika. Chyba jednak maniaczka albo ekscentryczna artystka — myśli Sam nie wie, jak zakwalifikować tę sprawę, więc dzv/oni do Koro- sza. Jeżeli major ją zna, to może on jakoś v/ybrnie z tej kłopotliwej imprezy.

— Powołuje się na was Róża Larst, tancerka — informuje telefonicznie majora — ...jest zatrzymana... nie, nie wypadek... kradzież taksówki.

— To niemożliwe! — nie może uwierzyć Korosz i obiecuje, że zaraz przyjedzie.

— Niech mnie pan ratuje — rzuca się na jego spotkanie Róża i wybucha płaczem.

Maicr uspokaja ją i prosi o wyjaśnienie. Róża bezładnie opowiada o wydarzeniach wieczoru, IVIajor stara się zachować powagę.

- Trzeba było powiedzieć to porucznikowi, na pewno zrozumiałby.
- Wstyd mi się było przyznać, że śledziłam męża — ledwo może wykrztusić tancerka.
- Wszystko w porządku, zaraz odwiozę panią do domu. Tylko, błagam, na przyszłość niech pani nie pożyczka sobie taksówek bez zgody właścicieli.

4. **Corps de bakt**

Dźwięki muzyki — stuk wielu par baletek rytmicznie uderzających o podłogę.

- Żle! — głos Róży jak chłaśnięcie batem. Pianino gwałtownie urywa fra->-ę.
- Jesteście gośćmi na balu — przekonuje Róża. •— Jesteście rozbawioną grupą ludzi, musicie się w to wczuć, zobaczyć siebie na renesansowym balu. Ale jednocześnie jesteście *corps de balet*, który ma określone zadania. Jesteście barwną kompozycją, stanowiącą tło dla Romea i Julii.

Uwaga — daje znak Róża. — Akompaniament, proszę!
Pianino się odzywa.

— Uwaga, balet... Cwicz!

Karna grupa w czarnych trykotach zaczyna od początku obraz zaręczynowego balu w domu Capulettich, na którym Romeo i Julia zakocjiali się w sobie od pierwszego wejrzenia.

Diwa obserwuje tańczących — zapala papierosa.

Tancerze są zmęczeni — próba trwa od kilku godzin. Róża jest bardzo surowym i wymagającym baletmistrzem. To już nawet nie to, że żąda żelaznej dyscypliny, podporządkowania się. Bez dyscypliny nie ma zespołu. Ale Róża jest ostra, nieprzystępna i wyniosła. Do minimum skraca przerwy między ćwiczeniami; czasu nie starcza nie tylko na odpoczynek, ale nawet na wypalenie papierosa. Potrafi przez godzinę żądać szlifowania jakiegoś niewielkiego fragmentu, czasami jest to jedno *pas*. Próby z nią są koszmarną orką. Traci poc;łucie czasu, przeciąga ćwiczenia.

Trzeba przyznać, że sama pracuje niezmiernie, ale dla Innych jest również bezwzględna i niewyrozumiała. Ledwie toleruje niedyspozycje tancerek — ulega tylko powadze zaświadczeń lekarskich, ale dziewczętom tego nie wybacza.

— Stop! — gest w stronę muzyka. Pianino milknie.

Nieludzko zmordowany i spocony zespół bliski jest rozpaczy.

— Joanno, masz być zakochaną młodą dziewczyną. Pierwsze

nieśmiało, świeże ucucie, czyżbyś nie potrafiła tego oddać? — *corps de balet* odetchnął, tym razem pretensje do solistki; współczują jej trochę. Róża do siódmego potu każe jej powtarzać kilka fraz.

Joanna ma własny pogląd — ale wobec zespołu nie może dyskutować z baletmistrzem, tym bardziej że primabalerina tego nie znosi i wpada w zimną wściekłość. Więc Joanna milczy.

— Romeo i Julia zostają — rozkazuje Róża. — Przećwiczmy tę scenę. Dziękuję państwu — to do zespołu; nie trzeba im tego dwa razy powtarzać. Z głośnym tupotem biegają do kabin z prysznicami. W tej chwili nie zazdroszczą solistom.

— Zaczynamy — podejmuje Róża.

Joanna nic nie mówi, bezbłędnie wykonuje *pas*, jednak z uporem trzyma się własnej koncepcji. Wilgotny od potu trykot klei jej się do pleców.

— Joanno, znów powtarzasz te same błędy — ocenia Róża. — Jeszcze raz proszę!

Joanna, pobladła ze zmęczenia, z zaciętym, desperackim uporem powtarza scenę we własnej wersji.

— Przyjrzyj się, Joanno! — zniecierpliwiona Róża odsuwa ją od partnera. Zajmuje jej miejsce. Joanna obserwuje taniec diwy i cieszy się z chwili wytchnienia.

— Pani Julia jest bez zarzutu, ale na moje odczucie jest zbyt dojrzała — mówi Joanna. Zna już słabe miejsca Róży i mści się na niej za szykany, za swoje nieludzkie zmęczenie.

— Przyjrzyj się jeszcze raz. Powtarzam! — mówi Róża z pozornym spokojem. Nie daje się sprowokować, mimo że opinia Joanny zraniła ją dotkliwie, i powtarza frazę.

— To jest mistrzowskie, tylko że to jest Julia Róży Larst — nie daje za wygraną Joanna. — A ja jestem Joanna Morąg.

•— Co to znaczy? — pyszne brwi diwy zbiegają się niebezpiecznie.

— Że nie powinnam kopiować pani i pani powinna tego wymagać. Pani jest niekonsekwentna; przez cały czas wkłada nam pani w głowy, że musimy być indywidualni...

— Wymagam bezbłędnej gry.

— Nie robię błędów w tej partii — stwierdza dziewczyna — tylko chcę zachować własny styl, własną indywidualność i mam do tego prawo.

— Joanno, jesteś zarozumiała. Pozwól sobie powiedzieć, że na razie jeszcze nie masz żadnego stylu.

— Tym bardziej go nie zdobędę, jeżeli będę niewolniczo naśladować panią.

— Nie każe ci naśladować, chcę cię nauczyć tej roli

— Mamymy odmienne poglądy na interpretację tej roli — upiera się dziewczyna. — Proponuję poprosić o arbitraż innych baletmistrzów. O b i e k t y w n y c h .

— Zarzucasz mi brak obiektywizmu? — w głosie Róży brzmi złejtajona groźba. — Jej. 'nies bardzo krnąbrna i zarozumiała. Łatwe sukcesy przewróciły ci w głowie. Otóż zawiadamiam cię, że nie będę zasięgała opinii innych. Ich zdanie na nic ci się nie przyda. Wiesz dobrze, że w tym — ostry akcent — balecie moja jest adaptacja libretta, moja choreografia i moja reżyseria. Jedyne, co możesz zrobić, to zrezygnować ze współpracy ze mną.

Ach, ty perfidna czarownico — myśli z rozpaczą Joanna. — Wiesz dobrze, że nie mogę zrezygnować. Równałoby się to w^yrzuceniu z Opery, a w najlepszym wypadku surowej karze dyscyplinarnej i pozbawieniu ról solowych na najbliższy sezon. Po takiej zabójczej pracy znów^ wtopieiiiie w masę *corps de ballet*.

— ...lub ja zrezygnuję z ciebie — kończy Róża.

Ty ze mnie tak łatwo nie zrezygnujesz — odpowiada jej w myśli Joanna. — Zbyt wielką przyjemność czerpiesz z szykanowania mnie. Czeka — zaczyna się dziewczyna — wytrzymam te twoje próby, nie dam się złamać.

Joanna postanawia pozornie słuchać Róży. Podczas pracy nad tym b.-letsm jest bez reszty uzależniona od niej. W domu sama będzie ćwiczyć swoją Julię. Poprosi Olecha — na pewno jej pomoże i na premierze zagra według własnej koncepcji, tak jak czuje. Na premierze będą krytycy, balet- mistrze, choreografowie, wreszcie publiczność — wielkie i bezstronne audytorium. Diabło trudno będzie Róży udowodnić, że Joanna zagrała źle.

— Ćwiczysz? — Róża jest zbita z tropu milczeniem dziewczyny.

— Tak, proszę pani — potulny, pełen szacunku głos.

Joanna gorliwie i wniernie naśladuje gest i ruch primabaleriny. Róża jest usatysfakcjonowana — ugięła tamtą.

— Wcale nieźle — mówi łaskawie. — Jeżeli tylko chcesz, pojdziesz w lot. Na dzisiaj wj-starczy.

— Pani mogłaby być pogromcą zwierząt — ten wątpliwy komplement dziewczyna okrasza niewinnym uśmiechem.

Na stępnego dnia to powiedzenie — dzięki partnerowi Joanny — obieгло całą Operę i przyłgnęło do Róży na stałe. Tancerze, z którymi Róża ćwiczy, inaczej jej między sobą nie nazywają, tylko właśnie tak; Pogromca.

O surowości Róży też już wie cała Opera, większość wie nawet o „specjalnych względach” div,-y wobec Joanny, a ponieważ domyślają się, jakie jest źródło tykli „względów”, podnieceni pikanterią sytuacji kibicują i nie przeszkadzają w rozgrywkach między dwiema kobietami.

Która która? — oto jest pytanie nurtujące środowisko. Czy Joanna przetrzyma Różę, czy się załamie i pójdzie na skargę do dyrekcji? I jałt się zachowa dyrekcja? Róża to przecież filar i renoma. Róża to pełna widownia i kasa. A Joanna, cóż — zdolna, ale początkująca solistka. Na razie żadne nazwisko.

Do dyrekcji docierają wreszcie echa o drastycznych metodach pedagogicznych Róży Larst, ale w bardzo złagodzonej formie. Jakies niepoważne plotki. Nikt się przecież nie słarczy. Zresztą Róża objęła reżyserię nowego baletu zaledwie kilka dni temu.

A Róża konsekwentnie przeprowadza swój plan zemsty. Z natury nie jest zła ani okrutna; ale postanowiła zniszczyć Joannę i to pragnienie teraz jest najsilniejsze ze wszystkich jej uczuć.

Jest surowa dla zespołu tylko dlatego, aby jej szczególnie surowość wobec Joanny zbyt widocznie nie kontrastowała z postępowaniem wobec innych. Nie wie, że o przyczynach jej surowości dla Joanny ćwierkają wróble na dachu, a ludzie zaczynają bać się jej i nienawidzić.

Poprzednio Róża broniła się przed pracą pedagogiczną — nie chciała słyszeć o tego rodzaju propozycjach. Balet-

7 — Njifzjynik z hebnnu

97

mistrz! — to postarza, przywodzi na myśl wysłużonych tancerzy.

Kilka dni temu oświadczyła nieoczekiwanie, że może podjąć się opracowania jednego baletu. Dyrektor był zachwycony.

— Ale stawiam warunki — zastrzegła Róża.

— Jakie pani tylko chce — usłyszała w odpowiedzi.

— Absolutna swoboda w wyborze utworu, solistów i *corps de balet*. Nieingerowanie w moją koncepcję i metody.

Zgodzono się bez zastrzeżeń.

Premiera jest tuż, tuż. Właściwie ćwiczenia są już niepotrzebne. Joanna opanowała rolę perfekt. I tę według wymagań Róży, i tę wymarzoną, własną.

Kiedy dziewczyna wychodzi z którejs próby, czuje opuchnięte, pulsujące bólem nogi. To już jest alarm, jeszcze jedno takie ćwiczenie i zerwane ścięgna unieruchomią ją na długo — nie zagra Julii.

Przerażona szuka pomocy u Olecha.

— Spróbuję z nią porozmawiać — przystaje Olech.

Idzie natychmiast do Róży.

— Przepraszam, koleżanko, proszę mnie źle nie zrozumieć — zastrzega się — ale sędzę, że ćwiczenia z Joanną są już niepotrzebne.

— Ja odpowiadam za ten spektakl — mów'i lodowato Róża.

— Oczywiście — skwapliwie zgadza się baletmistrz. — Ale czy ma pani wątpliwości co do moich kwalifikacji i doświadczenia?

— Tego nie powiedziałam — w tonie ten sam chłód.

— Miałem okazję zobaczyć opanowanie roli przez Joannę — jest celujące. Może za bardzo w pani stylu, ale to już wyłącznie jest pani sprawą.

— Nie podoba się panu mój styl? — Róża wie, że postępuje bardzo źle, obrażając Olecha, ale nie może się opanować.

— Jestem wielbicielem pani talentu — Olech pochyla się nad dłonią baleriny.

— Może ma pan rację — pozornie zgadza się Róża. — Jeszcze tylko jutro jedna próba, a później dam jej odpocząć aż do generalnej.

— Dziękuję pani — mówi Olech i myśli: perfidna jesteś.

Różyczko. Oboje wiemy, że potrzeba tylko tej jednej próby, aby unieruchomić Joannę. Sforsować jej nogi; ale nie dopuszczę do tego.

— Nic z tego, Joanno — zawiadamia dziewczynę. — Ona postanowiła cię wykończyć. Idź do lekarza.

— Ona mi nie daruje lego lekarza. Zrobi wszystko, żeby nie dopuścić mnie do generalnej.

— A tak to cię skutecznie okaleczy.

— Sytuacja prawie bez wyjścia — załamuje się dziewczyna.

— Chodź do lekarza — decyduje się Olech. — Ostatecznie moje słowo też jeszcze coś znaczy w tej Operze. Postaram się, żebyś jednak tańczyła Julię. Najwyżej będę miał wroga w Róży — jeden więcej, jeden mniej, nie ma znaczenia.

Lekarz ze zgrozą ogląda stopy Joanny, opuchnięte kostki.

— Pani jest nieprzytomna, młoda kobieto? Tak forsować nogi — tak pani pilno do sławy? Ależ to niewspółmierny koszt. Pani się może okaleczyć. To zbrodnia na własnym ciele.

— To nie jej wina — interweniuje Olech. — Mam tylko jedną prośbę, panie doktorze. Proszę tę opinię powtórzyć pani Róży Larst. Joanna otrzymuje zwolnienie, a zachmurzony lekarz dzwoni do Róży.

— Jeżeli będzie pani prowadziła próby w taki sposób — mówić szorstko — to przy całym szacunku, jaki żywię dla pani talentu i nazwiska, zakwestionuję pani metody pedagogiczne. Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo i higienę pracy w Operze i nie pozwolę okaleczać ludzi nawet najslawniejszym tancerkom. To... zbrodnia... żona profesora medycyny! — sapie jeszcze i odkłada słuchawkę, nie czekając na usprawiedliwienie Róży.

— W takich wypadkach trzeba przychodzić natychmiast i nie pozwolić stosować takich bestialskich metod — poucza Joannę.

Róża jest zdruzgotana. Miota nią bezsilna wściekłość. Poniosła klęskę — Joanna zagra Julię. Nienawidzi Joanny, nienawidzi Olecha, który tak zdecydowanie pokrzyżował jej plany.

Gdyby nie interwencja Olecha — Joanna tak się zapamiętała w samotnej rozgrywce z Różą — że sama, pełna dumy i uporu, chyba nie poszłaby do lekarza.

Róża nie rezygnuje jednak z walki — postanawia, że nie dopuści Joanny do generalnej próby, właśnie przy pomocy tego nie liczącego się z autorytetami lekarza.

Wreszcie dzień generalnej próby. Scena w dekoracjach, barwny zespół w pięknych renesansowych strojach. Orkiestra stroi instrumenty. Oderwane dźwięki fagotów, wysoki ton skrzypiec, ochryply głos waltorni.

W pierwszych rzędach skupili się baletmistrzowie, choreografowie, drugi zespół instrumentalny. Jest i dyrekcja prawie w komplecie; kierownicy baletu, asystenci baletmistrzów, korepetytorzy i inspektorzy baletu, wreszcie liczny personel techniczny — współtwórcy spektaklu, których nazwiska wymieniane są zwykle na ostatniej stronie programu.

Róża .stoi za kulisami uśmiechnięta, obojętna, zupełnie spokojna. To pozory. Potrafi być dobrą aktorką nie tylko na scenie. Ogarnięta jest nienawiścią i uczuciem niepokoju, czy powiedzie .się

jej ostatni plan — usunięcie Joanny z tej premiery.

Im bliżej decydującego momentu, tym większe wątpliwości opadają diwę.

— Zaczynamy, pani Rózo? — wola z proscenium dyrygent.

— Chwileczkę — zatrzymuje go Róza.

— Na co Pogromca jeszcze czeka? — dziwią się między sobą tancerze.

Za kulisami zjawia się lekarz.

— Po ostatniej pana awanturze nie mam odwagi decydować, kto może brać udział w spektaklu — sucho zawiadamia Róza.

Lekarz unosi brwi w niemym zdziwieniu. Takich praktyk dotychczas w Operze nie stosowano. Ta kobieta jest szalenie nierówna, ma niesłychanie niekonsekwentne usposobienie. Najpierw wyciska wszystkie siły z zespołu na morderczych maratonach prób, a potem ma nieuzasadnione skrupuły przed generalną próbą. A może po prostu czuje się dotknięta zwróconą jej w tak ostrej formie uwagą. Lekarzowi jest trochę przykro — tak, zachował się wówczas dość brutalnie.

— Proszę, panie doktorze — ponagla Róza i wie już na pewno, że i tym razem przegrała.

— Jestem w doskonałej formie — błyska zębami tancerz grający Romea.

— Co ta pogromczyni znowu wymyśliła? — ciche szepty.

Róza czuje, że ma przeciw sobie wszystkich. Po takich morderczych próbach, po włożeniu takiego wysiłku nilit nie jest w stanie nawet wyobrazić sobie, że mógłby nie wziąć udziału w przedstawieniu.

Joanna blednie, gdy lekarz ujmuje ją za kostki nóg — wie, że jest zdrowa, ma sprawne, gibkie nogi, a jednak czuje cień niepokoju. Nerwowo rozplata wiązadła baletek.

— Nie trzeba — uśmiecha się lekarz. — Nie mam zastrzeżeń — oświadcza Róży.

— Dziękuję panu — sucho mówi balerina. — Zaczynamy — to do dyrygenta. Wszystko to wypowiada swym zwykłym głosem. Twarz spokojna, pogodna.

Nad salą brzmi intermezzo. Szydzą z Róży: skrzypce, field ty, oboje, zanoszą się śmiechem puzony, nawet harfa słodko a złośliwie obwieszcza jej bezsilność i klęskę.

— „Dwa rody, jasne jednako i sławne...” — prz.ed kurtyną, na tle cichej frazy skrzypiec, aktor w pysznym renesansowym stroju wypowiada pierwsze słowa prologu.

Róza Larst zmusza się do obserwowania sceny.

Kurtyna.

Wczesnym rankiem budzi się życie na placu Werony. Pierwszy akt przebiega w ogromnym napięciu szczupłej widowni. Róża z nie mniejszym napięciem śledzi swoje dzieło oczyma baletmistrza.

— To jest jednak świetnie opracowane — takie jest ogólne zdanie tych znających swe rzemiosło ludzi, ludzi zarażonych bakcylem sceny, muzyki, kompozycji choreograficznej Rozlegają się brawa.

— Gratuluję! — podrywa się do Róży dyrektor. Ciasno otaczają ją koledzy, tancerze, baletmistrze.

— Joanna jest świetna — opiniuje kierownik baletu. — Wydobyła z niej pani całą indywidualność.

— To nie tylko moja zasługa — Róża zmusza się do udawania skromności, dusi się od tych niezasłużonych pochwał. Oczywiście, jak było do przewidzenia, Joanna zatańczyła po swoim. Ani jedno *pas* nie zostało wykonane zgodnie z wymaganiami Róży. W głębi serca diwa przyznaje z goryczą, że interpretacja Joanny jest dobra, bardzo dobra.

— To wyłącznie pani zasługa. Ja po prostu starałam się tylko słuchać — podbiega do niej Joanna, która słyszy te pochwały, i całuje primabalerinę w policzek z nieopisanym fałszem. To jest jej triumf i zemsta na tamtej. Zaraz też wymyka się ze sceny do swojej garderoby.

Róża ma tak serdecznie wszystłdego dość, że pragnie chociaż na chwilę być sama. Pod byle jakim pretekstem opuszcza scenę.

— Koniec przerwy — zawiadamia inspicjent, głośniki powtarzają jego słowa.

Róża nerwowo wgnęła w jSopielniczkę papierosa — okropnie jej się nie chce iść na salę, na której pozostali prawie wszyscy, podnieceni omawianiem niemal każdej sceny.

Gong. Wszyscy wracają na swoje miejsca. Kurtyna unosi się — na scenie nie ma solistki — Joanny.

Dyrektor robi niecierpliwy gest w stronę inspicjenta, który ciekawy również zszedł na widownię.

— Co to za obyczaj? — irytuje się Paweł Olech, siedzący obok inspektora orkiestry.'

Inspicjent jak skarcony chłopak szybko dreczcze i znika za kulisami. W tej chwili wybiega na scenę Róża Larst — kredowo blada. Krzyczy:

— Tam! — rezonans sali roznosi, ustokrotnia ten okrzyk.

Chwila konsternacji, przerażenia. Wszyscy patrzą na upiornie bladą, przypominającą gipsową maskę twarz primabaleriny, brzmi jeszcze w uszach jej budzący grozę krzyk.

— Co się stało? — ktoś przytomnieje. Potem rumor krzesel, stukot biegnących nóg.

— Tam leży Joanna! — krzyczy nieprzytomnie Róża.

Teraz już wszyscy tłumnie rzucają się we wskazanym kierunku; slaniająca się Różę fala biegnących zagarnia z sobą.

Wszyscy naraz gwałtownie zatrzymują się, zbici w ciasne stadko.

Po lewej stronie korytarza prowadzącego do rekwizytorni, obok wielkiego łabędzia Lohengrina — leży Joanna.

Odwrócona na bok, twarz ma niewidoczną, przysłoniętą ramieniem.

Wygląda, jak gdyby przytuliła głowę do podłogi. Z czarnych, puszystych włosów, przysłoniętych woalem stroiku Julii Capulettich, sączy się waziutka strużka i barwi zwiewną tkaninę czerwonym kolorem krwi.

— Lekarz, gdzie jest lekarz?!!

— Nie dotykać!

— Wezwać milicję! — kilka osób naraz ro' /biega się w poszukiwaniu lekarza, inni pędzą do telefonu.

— O Boże, jak to się stało?

— Joasiu — nad dziewczyną przyklęka Paweł Olech. Delikatnie, prawie z lękiem dotyka bezwładnego ramienia dziewczyny — ramię jest jeszcze ciepłe. Potem ukrywa twarz w dłoniach.

Wbiega lekarz — ujmuje rękę Joanny. Czuje pod opuszczeniami palców nieśmiały, przerywany, zamierający puls.

— Pogotowie! — biegnie do telefonu.

Ale uprzedza go Róża — już nakręca numer kliniki.

— Mówi Róża Larst, proszę profesora... — rwący się, zdyszany szept. — Jerzy! — słyszy głos męża. — Straszny wypadek... stało się okropne nieszczęście... ratuj Joannę! Tylko ty ją uratujesz, Jerzy!...

Lekarz wrywa jej słuchawkę:

— Natychmiast karetkę, postrzał w głowę... słabe oznaki życia, przygotować salę operacyjną do trepanacji czaszki... tak, tancerka Joanna Morağ.

Dyrektor Opery prosi zebranych o uwagę. Jego mocny głos góruje nad szmerem, potem brzmi w ciężkiej, przytłaczającej ciszy:

— Proszę o zachowanie spokoju...

Jego słowa przerywa głośny szloch jakiejś tancerki i zduszony w

zasłaniających twarz dloniach — cichnie. Róża poprzez szybkie tętno własnej krwi, która rozsadza jej skronie, rejestruje mechanicznie: to płacze druga Julia — dublerka Joanny.

— W imieniu dyrekcji proszę — głos twardnieje — o utrzymanie w tajemnicy tego, co się już zdarzyło, i tego, co jeszcze może się zdarzyć. Zachowanie dyskrecji leży w interesie nas wszystkich, trzeba cbać- o dobre imię naszego teatru.

— Sądzi pan, że Joannę zamordowano? — napiętą ciszę tnie głos dyrygenta.

Wśród zgromadzonych przebiega szmer. Róża czuje na sobie wiele par oczu wbitych w nią w niemym oskarżeniu. Oczy zdziwione, pełne grozy, okrutnej ciekawości, żadne sensacji, złe, pełne zawistnego triumfu.

■ Róża kurczy się wewnątrz pod tymi ciężkimi jak głązy spojrzzeniami. Czuje wokół siebie ogromną, martwą pustkę — ci ludzie odsunęli się od niej. Nikt się nie poruszył, a przestrzeń między nią a nimi zwiększa się, rośnie, przemienia się w pustynię, na której zostaje przeraźliwie sama. Ci ludzie sądzą ją bezlitośnie i rzucają na nią ciężkie jak kamień brzemie odpowiedzialności i potępienia.

A więc taki jest finał rozgrywki między tymi dwiema kobietami — myśli w oślepieniu niejeden z obecnych. — Rozgrywki, które kibicowała z niezdrowym zainteresowaniem niemal cała Opera; rozgrywki, która bawiła i napawała ciekawością — jak się to skończy? Oto niespodziewany finał.

Nikt nie ma sobie nic do zarzucenia, wszyscy są niewinni, sumienia mają spokojne — nieme, okrutne potępienie, odraza i oburzenie osacza, przygniata, wyrzuca na margines społeczeństwa primabalerinę Różę Larst — zbrodniarkę.

Dyrektor, nie patrząc na Różę, daje dyrygentowi wymijającą odpowiedź:

— To stwierdzi milicja. — I do zgromadzonych: — Proszę zostać na miejscu, nie rozchodzić się.

Ciężkimi uderzeniami rusza serce Róży. Po chwili zol- brzymiałe nagle, nie mieszczące się w niej, szamocze się, rozsadza piers. Brak tchu, nierówny łomot tętna i to serce, które zaraz zerwie wiązania i wreszcie ustanie.

Na salę wbiegają sanitariusze z noszami, poprzędzam przez lekarza. Zaraz za nimi druga para noszy i drobna, młodziutka lekarka.

Od Jerzego i z pogotowia... Ktoś zawiadomił pogotowie, ktoś zawiadomił, zawiadomił... — Róża z trudem wychodzi poza tę natrętną myśl, ale podrywa się i biegnie do lekarza. Opery, który nie odstępuje Joanny.

—Panie doktorze — Róża splata i zaciska dłonie, aż bieleją palce — niech ją zabiera klinika... tylko klinika. Mój mąż jest najlepszym specjalistą, tylko on ją uratuje...

Róża wierzy teraz w Jerzego niczym w jedyne Boga, zdolnego dokonać cudu. Jerzy jest teraz jedynym realnym i pewnym ratunkiem również dla niej, dla Róży. Czymś mocnym i niezmiennym, czego się można uchwycić, aby nie utonąć w tym morzu okrutnego potępienia.

—Zabieramy ją do kliniki — mówi krótko lekarz i już Joannę niosą do karetki.

—Do profesora Larsta, koleżanko — dodaje zwracając się do młodziutkiej lekarki z pogotowia.

Lekarka kiwa głową i wychodzi razem ze swymi sanitariuszami. Nazwisko profesora sprawia, że nie czyni nikomu wymówek o niepotrzebne wezwanie pogotowia ratunkowego.

Lekarz Opery, widząc, co się dzieje z Różą, kładzie dłoń na jej ramieniu i łagodnie nakłania, aby usiadła.

Róża kuli się pod tym dotknięciem, paraliżuje ją lęk. Samosąd? Lincz? — tłuką się bezsensowne myśli

—Częstoskurcz — mruczy lekarz. — Zaraz to usuniemy... proszę się nie denerwować.

Nie denerwować — myśli Róża. — Łatwo ci to mówić.

Ale pozbawiony wrogości głos lekarza sprawia, że primabalerina przymyka suche, palące powieki i posłusznie łyka podane jej lekarstwa. Czuje wdzięczność dla tego człowieka, który, jedyne, potrafił zwymyślać ją wówczas, gdy nikt by się na to nie odważył, i teraz, też jedyne, wbrew ogólnemu potępieniu odnosi się do niej jak do zwykłego człowieka, jedyne, który nie usiłuje osądzać ją, a niesie pomoc, ponieważ uznał, że ona jej potrzebuje.

Odgłos energicznych kroków — na sali zjawia się patrol milicji. Załoga wezwanego radiowozu.

—Co tu się stało? — sierżant przykładła dwa palce do daszka czapki, której lakierowany pasek ciasno opina podbródek.

Lekarz zwięźle wyjaśnia.

Sierżant rozstawia swoich ludzi: jednego przy łabędziu, gdzie

znaleziono Joannę, drugiego przy drzwiach sali. Takie są jego obowiązki. Nic nie ruszać — nie pozwolić ruszać innym. Nazywa się to zabezpieczeniem miejsca wypadku.

Niewiadomymi, znanymi tylko reporterom drogami wiadomość o wypadku dociera do sekretarza redakcji poczytne go popołudniowego dziennika.

Młody praktykant, jeden z tych, o których mówi się, że „mają nerw”, wpada jak burza do pokoju sekretarza redakcji.

— Bomba, panie redaktorze! — wrzeszczy podniecony i rzuca na biurko gęstą od poprawek kartkę maszynopisu. Sekretarz pchyła się nad wiadomością.

Zadność czy zemsta? Sławna tancerka Róża Larst zabiła rywalkę!

Czy profesor Larst uratuje ofiarę swej żony? — krzyczy tytuł wybitymi rozstrzelonymi literami. Niżej reporter ogłasza, że to: *Informacja własna.*

— Prędej, panie redaktorze — gorączkuje się młody dziennikarz. — Trzeba zatrzymać drukarnię, niech zostawią miejsce na włamanie tej wiadomości, jeszcze zdążą to złożyć do dzisiejszego numeru. Żeby nie uprzedziła nas konkurencja — chytrze dopinguje przełożonego przypomnieniem redakcji drugiej popołudniówki. — To szakale!

— Co to za tytuł? — zżyma się sekretarz, dziobiąc ołówkiem popstrzony skreśleniami tekst.

— Co, nie biorący tytuł? — dziwi się z niedowierzaniem zadatek na dziennikarza. — Przecież to t a a k a wiadomość — znany gest ramienia.

— Ale również t a a k i e nazwiska — przedrzeźnia sekretarz i bez słowa nakręca numer telefonu majora Korosza, którego dobrze zna.

Major podnosi słuchawkę — wysłuchuje wiadomości. Dotychczas nie był poinformowany o wypadku. Zresztą nie o wszystkich wydarzeniach musi i może wiedzieć. Jest jeszcze przecież Komenda Miasta.

!

— Mówisz... w Operze? — przeciąga zdanie. Mimo w.'-zy- stko, z czystego snobizmu, nie chce się przyznać, że nic o tym nie wie.

Dziennikarz z nie tajoną satysfakcją służy mu informacjami —

nazwisko Róży Larst narzuca majorowi ponure refleksje. Dopada selektora. Zrobi piekło dyżurnemu miasta. Przecież to kryptonim Ypsilon. Nie myśli w tej chwili, że sam skutecznie starał się o to, aby jak najmniej osób, nawet spośród funkcjonariuszy, wiedziało, że Róża Larst jest ważnym świadkiem w tamtej sprawie.

W chwilę potem dzwoni do redakcji, prosząc o tymczasowe wstrzymanie druku sensacyjnej notatki.

— Jak tylko będzie można, podam ci szczegółową relację — obiecuje w odpowiedzi na pertraktację dziennikarza, który, dopingowany przez zrozpaczonego praktykanta, próbuje wytargować coś dla gazety. — Oczywiście sam się zgodzisz, że z pominięciem nazwiska Larsta. Należy mu oszczędzić takiej wątpliwej popularności. Dziękuję ci, żeś do mnie zadzwonił. Nawet nie wiesz, jak dobrze zrobiłeś...

W tym czasie profesor Larst, pełen rozpaczliwego napięcia, opanowany jednak i precyzyjny, zarządza przygotowanie sali operacyjnej do trepanacji czaszki.

Bezszelstnie, z pośpiechem, którego nie widać — tak każdy ruch jest celowy — biały personel wykonuje polecenie.

Niemal w kilka sekund po telefonie z teatru wszystko, co może być potrzebne, jest przygotowane. Personel asystujący i pomocniczy na swoich stanowiskach: anestezjolog, asystent, instrumentariuszka, sanitariusze.

Profesor Larst myje ręce. Długo, starannie trze charakterystycznie spierzchnięte dłonie chirurga.

Pielęgniarka — znająca przyzwyczajenia ordynatora — bez słowa poi go kawą wprost z termosy, uważając, aby nie oblać go brunatnym płynem. Larst, nie wyjmując rąk z roztworu spirytusu, szybko łyka kawę. Myśli gonią jedna drugą.

Ma operować Joannę? Postrzał czaszki? To wydaje się jakaś makabryczną pomyłką. Na Boga, co się tam stało? Kto chciał ją zabić i za co?

Zabił? Nie, to niemożliwe! Ona żyje, żyje... inaczej ten lekarz nie żądałby przygotowania sali operacyjnej — ■ podsyca w sobie rozpaczliwą nadzieję.

Postrzał w głowę? — teraz zastanawia się chłodny lekarz — profesor medycyny. — Ona może już być w agonii. Ważne, jakie ośrodki nerwowe zostały uszkodzone. Być może, że mi tu na stole położą niemal trupa. Wtedy medycyna będzie bezsilna.

Nie! Ona żyje. Ja ją rnam operować? Ja mam zatrzymać w niej tę resztkę życia? Ależ to szaleństwo —■ ja nie mogę. Nie zdobędę się na to, żeby ciąć jej ciało... a jeżeli drgnie mi trepan?... Do końca mych dni będzie mi się wydawało, że to ja ją zabiłem. Mózg to najdelikatniejsza z tkanek...

Larst na moment przymyka piekące powieki. Zwoje mózgowie, szara substancja, biała substancja, układ krwionośny...

Każde tknięcie wyimaginowanego skalpela profesor czuje we własnym sercu.

Trzeba poprosić profesora Herbsta. Też znakomity chirurg! On, Lar'it, nie może, nie może... Nikt nie ma prawa żądać od niego przeprowadzenia tej operacji, wzięcia odpowiedzialności za jej wynik, tyle że nikt również nie wie, jak bardzo kocha tę dziewczynę.

Już ma otworzyć usta, aby wydać polecenie wezwania kolegi. Znalazł nawet gotowy pretekst: dzisiaj już operował. Na ogół chirurdzy przeprowadzają tylko jedną operację dziennie.

Pielęgniarka, która czeka z gotową maską, aby założyć ją na twarz profesora, słyszy mamrotane półgłosem przekleń

stwa, ale ani drgnie. Wie, że Larst w chwilach dużego napięcia ma zwyczaj wesprzeć się mocnym słowem.

Masz wiedzę i doświadczenie — myśli tymczasem gorączkowo lekarz. — Jesteś wybitnym praktykiem. Nie oszukuj, nie łam się. Równego sobie nie masz w Polsce — Larst stwierdza to bez cienia chępliwości. Po prostu zna swoją wartość, swoje umiejętności, swoje szanse. Więc kto ma przeprowadzić tę operację, gdy wszystko gotowe, gdy o powodzeniu mogą decydować sekundy? Masz przed sobą egzamin — być może najtrudniejszy w całym swym życiu — musisz go zdać.

Teraz już Larst nie bierze pod uwagę, że operacja może się nie udać. Po operacji będzie się rozczulał nad sobą i w ogóle może iść do diabła!

— Maską!— żąda Larst, odwracając się do pielęgniarki. Z uniesionymi sterylnymi rękoma wchodzi na salę operacyjną.

Sanitariusze właśnie układają dziewczynę na stole operacyjnym. Anestezjolog kończy przygotowanie jej do narkozy — kurara poraża ośrodki oddechowe. Joanna spoczy- v/a jak martwa. Poliomat — niepozorne urządzenie ze szkła i niklu — odmierza potrzebną do życia ilość tlenu, który tłoczy wprost do krwi. Jego manometry są bez przerwy pod baczna obserwacją asystenta. Aparat oddycha za Joannę.

Przez dren w otwartą tętnicę ścieka roztwór krwi i glukozy. Zatrzymuje życie w tym bezwładnym ciele.

— Ciśnienie krwi sto — zawiadamia Larsta anestezjolog. Jest to sygnał, że wszystko na razie jest w porządku.

— Klisza — lakonicznie żąda Larst.

Gaśnie światło — na ścianie, na wprost stołu operacyjnego zapala się mleczny ekran aparatu radiologicznego. Podświetlona klisza prezentuje wnętrze głowy Joanny. Jasna, maleńka plamka to właśnie pocisk. Wokół jakiejś ciemnej, splatanej kłębowisko, nabrzmiałe, wybrzuszone, opierające się o zarys sklepienia czaszki.

— Cholernie źle — mówi profesor. — Postrzał z przysta- v/ienia w prawy płat skroniowy mózgu. Krwiak nad i pod- oponowy. Objawy narastającego ucisku prawej półkuli.

— Liczne linie złamania kości skroniowej z v/głębieniami wewnątrz jamy czaszkowej — dodaje asystent.

— Piekielnie głęboko siedzi ta kula — mruczy Larst.

Te beznamiętne określenia zawierają w sobie ponurą, dramatyczną

treść. Platy skroniowe są ośrodkami dyspozycyjnymi pamięci oraz sprawności rąk i nóg.

— Krwiak — powtarza Larst; to jest najbardziej niepokojący objaw, komplikuje do maksimum i tak ciężki stan dziewczyny. Profesor z obawą myśli o tym, co już zniszczył pocisk w węzłach unerwień.

— Światło!

Rozbłyskuje ruchoma, ogromna kopała bezcieniowego jupitera.

Larst przyjmuje pierwsze narzędzie z rąk instrumentariuszki.

Półkolisty płat skóry z ogolonej głowy, przecięty niewidocznymi wprost ruchami noża, odwija się z czaszki niczym liść.

Z cichym sykiem elektryczny aparat przypieka naczynia krwionośne — zatrzymuje krwawienie.

— Klips! — żąda Larst.

Instrumentariuszka podaje mu zaciski hemostatyczne, które za chwilę otaczają wieńcem zwisający płat skóry.

Głuchy pomruk elektrycznego trepana wgrzającego się w kość.

Ciszę sali operacyjnej przerywa co chwilę głos Larsta, żądającego narzędzi.

— Elewator... piłka Gillego... Moskity!

Właściwie profesor nie musi prosić o narzędzia. Instrumentariuszka bez przerwy czeka — uprzedzając żądanie — z odpowiednim, kolejno potrzebnym narzędziem w dłoni.

— Hoisted...

^

Mądre, czułe palce profesora, precyzyjne, posłuszne, poddane zupełnie jego woli, robią wszystko to, co dyktuje mu jego myśl.

W tej chwili jest już tylko lekarzem, specjalistą neurochirurgiem. Spływa na niego spokój.

Godzina 12.30 — druga godzina operacji. Larst niezmordowany, czujny toruje sobie drogę do kuli. Tu każdy fałszywy ruch, najdrobniejsze niewłaściwe cięcie decyduje o życiu, a w najlepszym wypadku o ciężkim kalectwie pacjentki.

Na sali cisza — tylko przyspieszone oddechy zmęczonych ludzi i szczeł odrzucanych narzędzi.

Godzina trzynasta. Z korytarza słychać przygłuszony gong zegara.

Zaczęła się trzecia godzina operacji.

— Spada ciśnienie — przerywa ciszę anestezjolog. On i jego asystent aplikują odpowiednie środki — i po chwili:

— Ciśnienie gwałtownie spada... ciśnienie krwi; sześćdziesiąt —

szeptem zawiadamia anestezjolog. To już jest alarm.

Larst unosi dłonie znad pola operacyjnego. Błady z napięcia i zmęczenia czeka, aż anestezjolog wyrówna niebezpieczny j, padek krwi.

Fartuch klei się do ciała chirurga. Strumyczki potu toczą się po skroniach, nieprzyjemnie łaskoczą podbródek, nie wsiąkają już w mokrą od potu maskę z gazy, zasłaniającą usta. Spływają na obnażoną szyję profesora.

Pielęgniarka korzysta z tej chwili i kawałkiem gozy osusza jego twarz.

— Ciśnienie wzrasta — zawiadamia anestezjolog. — Jeszcze chwilę, profesorze — uprzedza Larsta. Zwiększa dopływ krwi i glukozy do tętnicy.

— Sto! Można — mówi z ulgą; jego twarz też lśni jak zlana woda. Znów na sali napięta cisza — precyzja ruchów — oddechy — szczelc narzędzi.

— Ssak! — Larst otrzymuje następny instrument.

Wreszcie w polu widzenia ukazuje się ciemny punkcik zło-

wrogo połyskującego metalu. Gdyby nie lśnienie oksydowanej powierzchni, trudno byłoby odróżnić tego groźnego intruza od szarej substancji tkanek. Teraz ledwo widoczny kawaleczek jego płaszczyzny połyskuje w świetle bezcieniowej lampy.

— Pean!

Larst ząbkowanymi kleszczykami chwyta stożek pocisku. Niewidoczny ruch i rzuca na tackę malutką, ciemno oksydowaną fasolkę. Ten mikroskopijny pocisk wygląda nikle i zupełnie niegroźnie wśród różnorodnych narzędzi chirurgicznych.

Wszyscy już wiedzą, że je.st dobrze. Niezawodne ręce profesora przeprowadziły jedną z najtrudniejszych operacji z precyzją, której nie sposób porównać z niczym.

Larst czuje przypływ radości i coś jak gdyby dumę z własnego talentu. Dobrze. Dostał się do tego pocisku dokładnie po jego torze, tak jak zamierzał, nie zbaczając ani na ułamek milimetra; zgodnie z planem, jaki wytyczył mu rentgenowski obraz. Musiał ominąć przy tym, i ominął, wszystkie ważne ośrodki mózgu. Usuwając groźne rozlewisko krwiaka, ominął wszystkie niebezpieczne, gęste węzły unerwień. Dlatego musiał strawić na to przeszło trzy wyczerpujące godziny. Jeżeli nie zajdą komplikacje, których nie sposób przewidzieć, Joanna powinna żyć.

Westchnienie ulgi wyrывa się wszystkim. Teraz ruchy Larsta są szybsze, pewniejsze. Platynowym drutem wnąże potrzaskaną kość, zakłada szwy. Ostatni ścieg kremowej jedwabnej nici i odrzuca narzędzie.

Profesor odchodzi od stołu operacyjnego energicznym, jeszcze sprężystym krokiem, ale już pod ścianą wali się ciężko na jakieś krzesło i nie jest pewny, czy starczy mu sił na opuszczenie sali.

— Ciśnienie krwi? — pyta z przyzwyczajenia.

— W normie — aspokaja anestezjolog.

Larst jest idealnie pusty. Wypreparowany — myśli o sobie.

8 — Naszyjnik z hebanu

Nie czuje nic. Ani niepokoju, ani radości z mistrzowskiej operacji. Nie interesują go teraz dalsze losy Joanny, nie czuje nawet własnego niehumanicznego zmęczenia.

Napięcie nerwowe, nie opuszczające go przez z górą trzy godziny, ustąpiło miejsca regresowi, który sprowadził absolutne ośpienie. W tej chwili profesor istnieje wyłącznie biologicznie.

— Gratuluję, profesorze — asystent podchodzi do Larsta. — Zrobił pan rzecz niemożliwą — ściska mu dłoń z podziwem i

szacunkiem.

Joannę zabierają z sali operacyjnej. Zaczynają szumieć wentylatory. Sanitariuszki porządkują narzędzia. Larst ciężko podnosi się ze swego miejsca i wlecze do gabinetu.

Trzeba napić się kawy — myśli jeszcze, ale nie chce mu się nacisnąć dzwonka, aby o tę kawę poprosić. Głowa opada mu na ręce wsparte o biurko. W tej samej chwili profesor zasypia, nie zdążywszy pomyśleć, że na kozetce byłoby o wiele wygodniej.

Dociera do jego świadomości alarmujący, uporczywy dźwięk telefonu, który go nieopisanie złości. Na wpół przytomny wzywa dyżurną pielęgniarkę, wskazuje rozdzwoniony telefon i układa się na kanapce.

— Pani to załatwi i wyłączy telefon — prosi i znów momentalnie zasypia.

— Mówi porucznik Cieślik — słyszy pielęgniarka. — Operacja skończona?

— A, to pan — wita go pielęgniarka jak dobrego znajomego. Zna już głos porucznika. Od trzech godzin, z dokładnością chronometru, co dziesięć minut słyszy przez telefon głos tego milicjanta, pytającego, czy operacja skończona.

— Skończona — zawiadamia pielęgniarka. — Operacja udana. Pacjentka żyje, ale jest nieprzytomna.

— Domyślam się — odpowiada Cieślik. — Proszę profesora Larsta.

— - Profesor śpi.

— Jak to śpi?! — Cieślikowi nie może się to pomieścić w głowie.

— Zwyczajnie, śpi — akcentuje pielęgniarka. — Co pan po pol.sku nie rozumie? — jest szczerze zdziwiona. — No, śpi, drzemie, kima. Zrozumiał pan?

— Rozumiem — ryczy Cieślik. — Tylko kto śpi o tej porze?

— Nie jestem głucha — oświadcza dziewczyna — słyszę doskonale, że pan na pewno nie śpi.

— Proszę obudzić profesora — żąda kategorycznie Cieślic.

— Panie poruczniku, nawet na żądanie premiera nie obudzi profesora, zrozumiano? A cóż dopiero, gdy o to prosi jakiś tam porucznik — prycha pielęgniarka.

— Skarbie — cedzi Cieślik dotknięty „jakimś porucznikiem” — lepiej niech pani obudzi profesora, bo może mieć pani przykrości

właśnie ze strony przełożonego.

— Skarbie — przedrzeźnia dziewczyna — czy masz blade pojęcie, że trzygodzinna operacja mózgu to nie to samo co wypisywanie mandatów? Mój przełożony właśnie śpi po ciężkiej harówce i nie kazał się budzić. Jasne? "

— Jasne, kwiatuszku... nagrobny, ozdobo wiejskich cmentarzy, jasne! — I szybko, żeby obrażona pielęgniarka nie odłożyła słuchawki: — Pocisk wyjęto?

— Wyjęto, poborco mandatów, opiekunie studni, higieny śmietników, wyjęto — słodko replikuje rozbawiona pielęgniarka.

— Muszę mieć ten pocisk — Cieślika trochę zatkała płynność odpowiedzi i aksamitny głos nieznajomej.

— To przyjedź sobie i zabierz, dżentelmenie. Trzeba było od tego zacząć. Aby otrzymać tą fasolkę, nie ma potrzeby budzić profesora.

— Już jadę — Cieślik odkłada słucliawkę. Jest z siebie niezadowolony, dał się obciąć jakiejś dziewczynie.

— Jadę po pocisk — zawiadamia Korosza. Inspektor zgadza się skinieniem głowy.

Od trzech godzin major z ekipą dochodzeniową tkwi w teatrze, wysłuchując relacji ludzi, lecz dotychczas nie ustalił z całą pewnością, czym zraniono Joannę Morąg.

Na podstawie opowieści licznych świadków ma już jasno zarysowany konflikt, jaki od dawną trwał między primabaleriną a Joanną. Na ten temat ludzie mówią dużo i chętnie.

Major wie prawie na pewno, z jakiego pistoletu strzelano do młodej tancerki. Tylko na pytanie; „kto strzelał?” nie jest w stanie odpowiedzieć z całym przekonaniem, mimo wyraźnych sugestii znacznej części przesłuchiwanym osobom.

Ekipa przegląda pomieszczenia najbliższe sceny — szukają pistoletu. Major jeszcze nie zarządził rewizji garderoby aktorów, no i osobistej rewizji tancerzy i personelu. Cierpliwie czeka na zakończenie operacji i wydobyć pocisku. Poprosił tylko, aby nikt nie opuszczał widowni teatru. Wszyscy bez protestu podporządkowali się życzeniu majora. Funkcjonariusz woła inspektora do telefonu. Dzv/oni z kliniki Cieślik, informując o rodzaju poci.sku.

— A mówiłem, żeby babie odebrać zabawkę — wypomina majorowi i reflektuje się, że to nie miejsce ani pora na wymówki. Inspektor nie jest zaskoczony rewelacją porucznika. Tego właśnie był prawie pewien. Podchodzi do Róży Larst, która — apatyczna — siedzi

obok doktora i Pawła Olecha.

Major prosi ją do garderoby, którą dyrektor oddał do dyspozycji ekipie dochodzeniowej milicji.

Kilkanaście par oczu odprowadza ich wzrokiem.

— Proszę oddać pistolet — żąda major.

Róża milczy.

— Gdzie pani ukryła pistolet „Koliber” z rękojeścią obłożoną perłowcem?

— Ja jej nie zabiłam — szepcze Róża.

— Proszę o pistolet — z naciskiem powtarza major.

— Ja nie mam pistoletu — z tępym uporem zaprzecza tancerka.

— Pani kłamstwo jest naiwne i żalosne. Jeśli go pani nie zwróci dobrowolnie, znajdę go bez pani pomocy.

Róża pogrąża się w zaciętym milczeniu.

— Proszę — inspektor podchodzi do drzwi — przejdziemy do pani garderoby. Muszę ją zrewidować.

Różę opuszcza resztką energii, która nakazywała jej ukryć pistolet i przeczyć wszystkiemu.

— W zbiorniczku — mówi bezbarwnym głosem i wskazuje gliniane naczynie, umocowane na kaloryferze.

Ze zbiornika na wodę — suchego zresztą — inspektor wyciąga miniaturowy pistolecik Róży Larst. W pięciu przegrodach magazynka spoczywa pięć lśniących fasolek, szósta komora jest pusta.

Na Puławskiej, w surowym gabinecie inspektora Róża przeżywa moment zupełnego załamania i panfity. Pustymi oczyma spogląda na formularze przesłuchań, opasłe tomy kodeksów, przepisów, literatury specjalistycznej wypełniającej półki. Przeraża ją nawet bateria czarnych telefonów i widok magnetofonu.

Okrucieństwo w wyrazie — stwierdza, wpatrując się w zrosnięte u nasady nosa, ciemne brwi inspektora.

Pierwsze pytanie Korosza odczuwa jak uderzenie. Oto ruszają bezduszne, najeżone paragrafami tryby maszyny, która ją zmiażdży.

— Proszę to połknąć — inspektor podsuwa jej pastylki Miltownu i szklankę wody. — Poczekamy, aż się pani uspokoi.

Róża skupia całą uwagę na tym, aby jej zęby nie dzwoniły o brzeg szklanki.

— Proszę nie czekać, majorze — protestuje. — Oczekiwanie doprowadza mnie do obłądu. Niech pan pyta, będę mówiła wszystko, co wiem. Podkreślam raz jeszcze, że nie zabiłam tej dziewczyny.

— Dlaczego pani ukryła pistolet? Przecież tym faktem obciążyla się pani jeszcze bardziej.

— Czy pan wie, co to jest strach? Obłądny strach?

— Wiem. Rozumiem to uczucie.

— Kiedy tak niespodziewanie zobaczyłam ją leżącą, a obok na podłodze mój pistolet, pierwszym uczuciem był strach przed posądzeniem mnie o to morderstwo, pierwszym odruchem było ukryć rewolwer...

— Od razu ukryła go pani w garderobie?

— Nie... później. Najpierw ukryłam go przy sobie... w rękę. Jest tak maty. że mieści się w zaciśniętej dłoni.

— To bardzo źle, że pani zabrała pistolet.

— Pan nie wierzy w ani jedno moje słowo?

— Niestety, to nie kwestia mojej wiary czy niewiary. Nic nie ulegnie żadnej zmianie, jeżeli osobiście, czy nawet jako oficer śledczy milicji, uwierzę w pani niewinność. Pozostają je. szcze fakty, dowody, świadkowie, atmosfera i przekonania innych ludzi, pani zachowanie w stosunku do Joanny na długo przed wypadkiem. Pani zachowanie i zeznania świadków — pomijając w tej chwili sprawę słuszności ich oceny — świadczą na pani niekorzyść. Fakt ukrycia przez panią pistoletu zwiększa, ugruntowuje podejrzenia przeciw pani. Zamyka sferę inwektyw, domysłów — faktem. Poza tym to nie jedyny fakt.

— To ponury, tragiczny dla mnie splot okoliczności, przypadków. Nie lubiłam tej dziewczyny — to prawda. Nie zdawałam sobie sprawy, że moja niechęć jest tak widoczna i znana środowisku, ale od niechęci czy nawet nienawiści daleka jest droga do morderstwa. Do zabijania nawet najbardziej znieawidzonych ludzi nie jestem zdolna. Oczywiście v/iem, że moje tłumaczenie nie jest przekonujące, wydaje się naiwne. Wszystko świadczy przeciw mnie. Jestem jednak niewinna, a innych argumentów na przekonanie pana nie mam.

— Kocha pani tneża? — inspektor myśli, że to obsesowe pytanie niewiele przyniesie.

— To nie uczucie — Róża wbija oczy w brzeg biurka. — Nigdy go nie icochałam tak, jak zwykły kochać kobiety. Nie wiem, czy mnie pan rozumie. Nigdy nie poświęciłabym nic dla niego, mam na myśli własną karierę, zainteresowania, mój zawód. Gdyby ode mnie żądał takich wyrzeczeń lub przeszkadzał w moich planach — bez namysłu opuściłabym go.

— Nie przeszkadzał?

— Nigdy. Godził się zawsze nawet z kapryсами — czasami z trudem, ale nie obchodziły mnie jego wewnętrzne rozterki. Omijałam je, nie brałam w ogóle pod uwagę. Teraz gdy to oceniam, wydaje mi się, że jedyna rzecz, która mnie obchodziła, która pochłaniała mnie bez reszty — to moja sztuka. A raczej stałe zabieganie o popularność, o sławę. To ogromnie absorbuje. Proszę nie pytać, czy warto temu poświęcić życie i, w jakimś sensie, życie swych bliskich. Zastanawiałam się nad tym niedawno... teraz wolę tego nie zgłębiać. Takie rozterki wobec faktów, które przyprowadziły mnie tutaj, to luksus, na który nie mogą sobie pozwolić.

— Więc dlaczego nienawidziła pani Joanny, skoro tak mało zależało pani na mężu?

— Powiedziałam panu, że nie kochałam Jerzego — i to jest prawda. Najprawdopodobniej nie jestem zdolna do zwykłego ludzkiego uczucia, to braki mojej osobowości... w moim życiu mężczyźni... ani jeden mężczyzna nigdy nie zajmował jakiegos zasadniczego miejsca^..

— Wobec tego nie pojmuję pani postępowania.

— To bardzo proste, majorze — mówi z pobłażaniem tancerka. — Jerzy to moja własność, jak sprzęt... No, może nieco inaczej, ale bardzo podobnie. Tak dalece byłam przekonana o trwałości jego zainteresowania, zupełnego oddania, że odkrycie, iż ono nie istnieje, a przynajmniej przestało istnieć, było dla mnie wstrząsem. Poza tym urażona ambicja... Tym bardziej, że to właśnie taka zwykła dziewczyna. Byłam dotknięta jego wyborem, gdybyż to przynajmniej była partnerka równa mnie... Majora uderza ton Róży, ależ ta kobieta ma się za istotę niezwykłą, stojącą niejako ponad przeciętną ludzką miarą, czy w tym mniemaniu o sobie samej nie należy szukać klucza do tragicznego wydarzenia? •

— Jednkk uznała ją pani za partnerkę, skoro podjęła pani z nią walkę.

— To subiektywna ocena. Chciałam jednak zachować namiastkę domu, jaki miałam. Przy moim usposobieniu nie mogłam, nie moge budować innego związku, nie mam na to absolutnie chęci, nie stworzyłabym już nic lepszego, a nawet równorzędnego. Ale bardzo chciałam zachować to, co jest. Joanna mogła mi to zburzyć, odebrać. Psychicznie nie stać mnie na zaczynanie życia od początku, a także

nie stać mnie na samotność. Chłopiec, mój syn, wybrałby bez wahania ojca. Dlatego poświęciłam kontrakty zagraniczne, pozostałam na zawsze w Warszawie. Dla mnie to największe wyrzeczenie.

— Pierwsze w pani scenicznej karierze?

— Pierwsze w moim życiu.

— Wierzyła pani, że zepsuciem kariery tej młodej tancerce ocali pani swój dom?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Chciałam przede wszystkim zemścić się na niej.

— Czy ktoś pani mówił o skłonnościach męża do Joanny?

Blanka Riess — przemyka przez myśl Róży — chiromantka. Nie, do tego nie przyznam -się, to nieważne i żenujące.

— Nie.

— W jaki sposób pani się o tym dowiedziała?

— Kobiety to czują. A potem, pan wie... śledziłam męża.

— Nosila pani pistolet przy sobie?

— Pan nie uwierzy. Nie nosiłam go od dnia, gdy mi wypadł z torebki w pana obecności.

— Gdzie go pani przechowywała?

— W domu, w szufladzie mojego sekretarzyka.

— W zamkniętej szufladzie?

— Nic nie zamykam w swoim domu.

— Czy chce pani przez to powiedzieć, że w dniu generalnej próby ktoś włożył pani pistolet do torebki, bez pani wiedzy?

— Nie.

— Więc jak pani tłumaczy fakt znalezienia go na korytarzu, obok rannej?

— Nie umiem tego wytłumaczyć.

— Więc za sprawą jakich sił znalazł się w teatrze, jak pani sądzi?

— Ktoś mi go skradł z mieszkania, zranił .Toannę i przygotował to z tak piekielnym sprytem, żeby pogrzyźć mnie.

— Genialna inscenizacja, aby podejrzenie padło na panią — w tonie inspektora lodowaty chłód.

Róża czuje tę rezerwę i wie, że jej obrona wygląda żałośnie.

— Stwierdziła pani jakieś ślady, powiedzmy, plądrowania w sekretarzyku?

— Nnie — bezradnie zaprzecza tancerka.

— Kto, zdaniem pani, mógł skraść pi[^].tolet w tak perfidnych

zamiarach?

— Nie wiem.

— Podejrzewa pani kogoś?

— Nikogo.

— IVIa pani wrogów, ludzi niechętnych?

— Jak każdy. Ale nie do tego stopnia, aby w taki potworny sposób posłać mnie do więzienia, a może... — Róża nie kończy z'dania, blednie. Przez jej twarz przebiega grymas śmiertelnego przerażenia.

5. **Rozpacz**

— Panie profe.sorze... panie profe.sorze... — pielęgniarka delikatnie budzi Lar.sta.

Profesor podrywa się gwallovi'nie, przeszywa go złe przecucie; coś złego z Joanną. Komplikacje pooperacyjne? **I** przerażające przypuszczenie; agonია...

— Stan pacjentki? — niespokojne oczy wbite w twarz pielęgniarki.

— Wszystko w porządku — uspokaja tamta.

— Która godzina? — oddycha z ulgą Larst.

— Szesnasta.

— Spałem tyle godzin? — dziwi się Larst. — Pozwoliła mi pani tyle spać, ależ dziewczyno, jak tak można.

— Przyszedł ojciec panny Morag, koniecznie chce pana widzieć. Nie został wpuszczony do córki.

— Prosić zaraz!

Morag, który wchodzi do gabinetu Larsta w towarzystwie Pawła Olecha, jest zupełnie złamanym człowiekiem.

Co się z nim stało — myśli z przykrością profesor, przypominając go sobie takim, jakiego poznał na kolacji w Spatifie.

— Joanna żyje? Proszę powiedzieć prawdę, proszę nie kłamać — krztusi się tymi słowami. — Nie dopuszczono mnie do dziecka... — podejrzliwie przygląda się Larstowi.

— Żyje i będzie żyła, proszę pana.

— Chcę ją zobaczyć — prosi Morag.

— Jest po ciężkiej operacji. Jeszcze nieprzytomna. Nie pozna pana.

— Chcę się przekonać, czy ona żyje — upiera się z rozpaczą Morag.

— Proszę — ulega Larst.

W milczeniu prowadzi ich do separatki. Lekarz, siedzący przy pacjentce, wstaje na widok ordynatora.

Larst pochyla się nad Joanną — dotyka bezwładnej dłoni. Patrzy na bledziutką twarz w zwojach białej gazy.

— Czy mogę trochę posiedzieć, tylko posiedzieć — błagalny ton i psi wyraz oczu w>'niesionych na Larsta.

Profesor zezwała.

Paweł Olech w milczeniu wraca z profesorem — przed drzwiami gabinetu waha się, czy ma wejść.

— Proszę — zachęca Larst przepuszczając go przed sobą, podsuwa mu fotel. — Napijemy się kawy — oświadczają, widząc parujący termos przyniesiony przed chwilą przez pielęgniarkę. Olech jest sztywny, skrepowany, nieswój.

— Co się właściwie wydarzyło w teatrze? — Larst podsuwa Olechowi filiżankę.

— Nic pan nie wie? — baletmistrz z niedowierzaniem przygląda się profesorowi.

— Nie wiem, nie znam szczegółów — stwierdza doktor.

— Nikt pana dotychczas nie poinformował? — Olech kręci głową.

— Kto strzelał do Joanny? — niecierpliwie się Larst i niemiły chłód splywa mu po karku. Staje mu przed oczyma ten maleńki pocisk i błyskawicznie przesywa go przerażająca pewność.

Natarczywie wpatruje się w Olecha.

— Pan wie, kto — stwierdza.

Olech zaciska usta — milczy — ucieka spojrzeniem gdzieś w bok.

— Proszę mi odpowiedzieć — szorstko, z naciskiem żąda Larst.

— Panią Różę zabrała milicja.

— To ona strzelała? — Larst jest nadspodziewanie opanowany.

— Tego nikt nie widział — spiesźnie zaprzecza Olech. — To są tylko podejrzenia... podobno miała pistolet... Nie chcę się tym interesować, jest mi niesłychanie przykro. Cenię pana żonę... jestem przywiązany do Joanny. Nieszczęście. Gdybym wiedział, że ja pierwszy zakomunikuję panu tę wiadomość, nie przyszedłbym tu z Grzegorzem — mówi o Moragu.

— Ale dlaczego...

— Co: dlaczego? — nie rozumie Olech.

— Z jakiego powodu Róża... — urywa wpół zdania Larst.

- Pani Róża wiedziała o... pana skłonnościach do Joanny.
- Pan też wiedział?
- Wiedział lub domyślał się cały teatr — sucho stwierdza

Olech.

- Proszę mi nie oszczędzać tego, co pan wie.

Olech milczy przez chwilę, wreszcie, unikając wzroku profesora, opowiada. Mówi kanciasto, nieskładnie, zacinając się, łagodząc co drastyczniejsze szczegóły. Po chwili ze skąpych jego zdań profesor ma w skrócie obraz napiętych stosunków między Joanną a Różą.

Larst opanowany, mimo że wyjaśnienia Olecha poruszyły go głęboko, podnosi słuchawkę telefonu — każe połączyć się z Komendą Główną.

- Przepraszam pana — zwraca się do Olecha — muszę teraz zostać sam... dziękuję — wymuszonym uśmiechem łagodzi tamto stwierdzenie. — ...Czy jej ojciec wie? — decyduje się w końcu na to pytanie.

— Nie... Nic nie wie o związku swojej córki — podkreśla Olech. — Postaram się trzymać go z daleka od plotek z teatru — baletmistrz odgaduje intencje profesora. — To nawet nie takie trudne. Kontakt z tym środowiskiem miał tylko dzięki córce.

Larst nie czeka na połączenie z milicją. Przeprasza Olecha i zbiega do samochodu — jedzie na Puławską.

Ostatecznie moje nazwisko — myśli — powinno otworzyć drzwi gabinetu oficera śledczego.

Bez cienia sentymentu myśli o Róży jak o zupełnie obcej lub dawno zmarłej osobie.

1

Nie, dosyć tego... — nie precyzuje, czego dosyć. Ach, tak: nie chce mieć nic wspólnego z tą kobietą. — Co się z nią stało — jakaś degradacja moralna; zbrodnicza, egoistka. Zbrodnicza! Natychmiast zażadam rozwodu... Moje nazwisko nie może być łączone z tą kobietą oskarżoną o zabójstwo. Nie chcę mieć przez nią kontaktów z milicją, z prokuraturą... Prasa — myśli z przj'krością. — Żona profesora Larsta... Ładna kabała, co za skaii^liczna popularność. Kto mógłby zabronić prasie?... Mam! Minister Zdrowia powinien się za mną

w.stawić. Oczywiście, trzeba poprosić ministra.

Korek na ulicy niecierpliwi profesora, więc skręca w Wawelską i postanawia dostać się do Komendy przez ulicę Żwirki i Wigury. Wprawdzie trasa okrężna, dalsza, ale luźna. Zwiększa szybkość.

Uderza go niemila myśl, że w tym konflikcie Róża — Joanna on, Larst, ma również swój udział. Moralną odpowiedzialność. Gdyby nie jego wygodnictwo, niezdecydowanie, żywiołowa niechęć do podjęcia jakiegś decyzji... Trzeba Róży jakoś pomóc — to jednak jest obowiązek względem niej. Kaucja? — medytuje — niech nie siedzi w więzieniu do czasu skończenia śledztwa. Ale przecież nie chce jej mieć pod wspólnym dachem...

Profesor nie kończy zaczętej myśli.

Pedał przyspieszenia wciśnięty do oporu. Zakręt, oblodzona jezdnia, poślizg, zgrzyt gwałtownie naciśniętego hamulca. Samochód szamocze się w na.stępnym groźnym poślizgu, odbija o krawężnik i całym impetem wpada maską na betonowy słup latarni.

Larst nie panuje nad wozem, odbicie o krawężnik wytrąca mu z dłoni kierownicę, uderza głową o .szybę wozu. Zamroczony, w ostatnim momencie — kiedy przez ściekającą z czoła krew widzi wyrastający tuż przed maską samochodu słup — chwyta kierownicę i wspiera się mocno stopami
o hamulec i sprzęgło.

Bardzo silny wstrząs — koło sterownicze pęka mu w dłoniach pod naporem ciała. Ból i chwila zupełnej ciemności.

Żyję! — pierwsza myśl po odzyskaniu świadomości. Podnosi dłoń do czoła. Ma wrażenie, że jego głowa rośnie, powiększa się do monstrualnych rozmiarów.

Zatrzymują się jakieś wozy; jeden, drugi. Ktoś pomaga Larstowi wyjść z rozbitej Warszawy. Zgniecione drzwiczki trzeba otwierać siłą.

— Ma pan szczęście — mruczy mężczyzna pomagający profesorowi, patrząc na wrak samochodu Larsta.

— Proszę mnie odv/ieźć do kliniki •— prosi Larst. Niebawem w klinice zakładają mu opatrunek.

— Żebra całe, globus też. W ogóle jesteś cały — dziwi się asystent. — Masz cholerne szczęście, Jerzy.

— Mam, mam — niecierpliwi się Larst. — Rób już ten opatrunek.

Asystent zbliża się do profesora z maszynką do włosów.

— Co, bez strzyżenia nie obędzie się — broni się Larst.

— Masz solidnie rozoraną głowę, muszę.

— Mam chodzić z podgolonym łbem jak aresztant? — krzywi się Larst.

— Niech pacjent nie grymasi i cieszy się, że tylko się na tym skończy. Jakim cudem nie masz wstrząsu mózgu?

— • Masz do mnie o to pretensję? — Larst syczy z bólu, gdy asystent goli mu czuprynę wokół rany.

Lekarz zakłada klamerki i zabiera się do bandażowania.

— Co to, to nie — energicznie protestuje Larst i odsuwa bandaż.

— Załóż opatrunek i przyklep to plastrem — dyryguje. — Nie będę chodził w turbanie.

— Jerzy, nie daj Boże mieć ciebie za pacjenta.

— To też mnie nie masz. Sam siebie mam. Rób, co ci każe, i kończ to wreszcie.

Z szumem w głowie Larst idzie do swego gabinetu. Pielęgniarka wpatruje się w ordynatora.

— Co się pani tak gapi, nie widziała pani gorzej rozbitej głowy? Proszę kawy! A swoją drogą czuję się podle.

Sygnal telefonu — dziewczyna chwyta słuchawkę.

— Z milicji, panie profesorze — informuje i podaje mu słuchawkę.

— Larst... tak, przyjadę... powiedzmy za godzinę, można? Muszę trochę odpocząć.

Korosz zgadza się, nie ma czasu zastanawiać się, po czym też musi odpoczywać Larst.

Przez gabinet inspektora przewinał się korowód świadków. Korosz podgumowuje swoje dotychczasowe wiadomości, rozmawiając ze swoim zwierzchnikiem.

— Przesłuchanie dyrektora, baletmistrza — major przewraca arkusze zeznań. — Garderobiana mówi... inspicjent zeznaje — z niechęcią wrusza ramionami. — Partykularz, cholera! Wszyscy wiedzą najlepiej, że zabiła Róża Larst i kropka. Bo Joanna Morąg bałamuciła jej męża, no i talent dziewczyny pozwalał przypuszczać, że dorówna primabalerinie, a może ją nawet i kiedyś zaćmi. Czy to są powody do morderstwa?

— Andrzej, to m o g ą być pobudki morderstwa — skanduje Lis; wpatruje się bacznie w inspektora. — Cenię twoje talenty śledcze, ale to gorące poszukiwanie niewinności Róży Larst, wbrew oczywistym faktom, wydaje mi się podejrzane...

- Nie rozumiem ciebie — inspektor czuje falę gorąca na twarzy.
- Rozumiesz. Tracisz obiektywizm... Przyznaję, to nieprzeciętnie piękna i pociągająca kobieta, ale twoje reakcje ogromnie mnie niepokoją.
- Możesz z całym przekonaniem stwierdzić, że to ona strzelała do Joanny? — w inspektorze wzbiera złość.
- Bez demagogii — parska Lis. — Nie mogę. Ale również nie mogę powiedzieć, że ona nie zabiła.
- Właśnie stwierdziłem to samo — broni się major. — Ale doprowadzają mnie do furii inwektywy tego środowiska.
- Dlaczego aż do furii? Bo widocznie ci ogromnie, osobiście, zależy na udowodnieniu jej niewinności.
- Żebyś wiedział, że zależy — major jest wściekły na Lisa za jego dociekliwość.
- A ja cię ostrzegam, żebyś podchodził do tej sprawy rozsądnie i nie szastał lekkomyślnie swoim autorytetem, bo...
- Bo co?
- Będę zmuszony odebrać ci tę sprawę.

—Nie zrobisz tego — rzuca przez zęby major.

—Nie chciałym — przyznaje Lis.

—Posłuchaj, Heniu — opanowuje się inspektor. — Wszystkie te opowieści o konflikcie między tymi dwiema kobietami to prawda. Zresztą Róża Larst również się do tego przyznała...

—Ciekawe. A gdyby się nie przyznawała, uznałbyś je za nieprawdziwe? — ton Lisa jest zjadliwy.

—Przecież z tobą nie można rozmawiać — wybucha inspektor. Wzrasta jego rozdrażnienie, niepokój i wia- a w niewinność Róży. Gdyby był mniej zacierzwiony i wściekły, musiałby się zastanowić nad swą przemożną chęcią bronienia tancerki.

—Słucham dalej twoich argumentów.

Major myśli, że w tej chwili nie dysponuje dowodami przemawiającymi na korzyść primabaleriny, że wszystkie argumenty, a przede wszystkim fakty świadczą przeciw niej. Logiczne, mocne, dobrze ułożone pozory. On rozplącze te pozory, zburzy tę misterną łąmigłówkę Czyżby ulegał sugestii tej kobiety? Czyżby Lis miał rację? Czyżby bezkrytycznie wierzył jej nieprawdopodobnym wyjaśnieniom?

—Diabło trudno o argumenty poza wewnętrznym przekonaniem, prawda? — przerywa milczenie Lis. Ale w jego głosie nie ma już poprzedniej zjadliwości.

—Diabło trudno — zgadza się inspektor. — Ale to nie znaczy, że ich nie będę miał. Rzecz się dopiero zaczęła. Oczywiście mówię o wypadku w Operze — podkreśla z naciskiem TO.

—Sądzisz, że to kolejne ogniwo łańcucha przyczyn i skutków?

—Właśnie. Moje trzy spotkania z Różą i Larst...

—Dzisiaj jest już czwarte — stwierdza Lis.

—Dzisiaj jest konsekwencją tamtych trzech spotkań — majorowi przypomina się błysk ironii w jej oczach, gdy rozmawiał z Różą w kawiarni po wypadku zatrucia.

—Wielka tancerka, kobieta mająca już swoją legendę, utalentowana, sławna, interesująca ludzi tak ze względu na tajemnicę sukcesu, jak i na osobisty urok. A więc kobieta wyróżniająca się z masy, wyrastająca ponad przeciętność. Chociaż jej sława jest ugruntowana w pewnym tylko, dość wąskim, środowisku. Dalej już są tylko echa, jakieś fragmentaryczne strzępki w wiadomości w telewizji, magazynach ilustrowanych...

—Tak. Krąg wyznawców jest szczuplejszy niż, powiedzmy...

bitelsów — dodaje pułkownik.

—Szcuplejszy — potwierdza inspektor. — Ale zgadzasz się z tym, że ma ona nieprzeciętną pozycję?

—Oczywiście.

—Otóż nawyki, usposobienie, nawet jej kaprysy znane są dość szerokiemu kręgowi ludzi — na pewno większemu niż moje czy twoje. A usposobienie, charakter Róży Larst jest bardzo nierówny.

Powiedziałbym ekscentryczny. To widać, to rzuca się w oczy. O jej nastrojach, humorach, atakach lęku, rozdrażnieniach, fumach wreszcie po tygodniu pracy w teatrze wiedziała już cała Opera...

—Przyjmuję tę opinię. Kobieta niekonsekwentna. Rządzą nią impulsy, nastroje. Trudno przewidzieć, co może zrobić pod wpływem chwilowego bodźca. Ale mój drogi, to są wywody dobre dla adwokata obrony na sali sądow/ej, który będzie przekonywał, że Róża Larst nie jest zdolna do zabójstwa z premedytacją...

—Poczekaj. Nie usiłuję cię teraz przekonać o jej winie czy niewinności. Określiłem pokrótce jej mentalność, cechy charakteru, o których wie cały teatr — podkreśla ostatnie słowa. — Teatr, to znaczy zna je również środowisko prasowe, związane z teatrem, a także co najmniej dwa kluby: Spatif i Stowarzy.szenie Dziennikarzy. To znaczy, że wiedzą wszyscy...

—Ci, którzy są tego ciekawi, Andrzeju.

—Oczywiście. Nie twierdzę, że jedynym zajęciem tych 9 — Naszyjnik z hebanu 129 środowisk było omawianie przymiotow i wad Kóży Larst. Ale chcę podkreślić, że ktokolwiek się nią interesował, mógł bez trudu uzyskać szczegółowe informacje na jej temat.

— Zgadzam się, mógł.

— I to jest zamknięty rozdział, z którego mogłoby nic nie wynikać- Ale zrządzeniem przypadku Róża Larst zostaje świadkiem napadu. Powiedziałbym koronnym świadkiem.

— Dużo nam przyszło z tego świadkowania — prycha Lis.

— Nasze korzyści z tego tytułu w tej chwili są bez znaczenia Ktoś zaniepokojony jej spostrzeżeniami, które mogła nam przekazać, usiłuje usunąć Różę, pozorując wypadek zatrucia gazem.

— Nie ponosi cię fantazja? — lcrzywi się Lis. — Wiem, wiem! — broni się przed repliką inspektora unosząc dłonie. Wiem! Wyschnięty czajnik. Jedź dalej.

- Właśnie chcę dokończyć tę hipotezę, nie przeszkadzaj.
- Kończ, waść, wstydu oszczędź — mruczy pod nosem pułkownik.
- Zamysł zawodzi. Powtarzać go to nieucienna wpadka. Ten ktoś jest przezorny, przewidujący, ostrożny. Teraz namyśla się dłużej i wie, że musi przeprowadzić usunięcie Róży tym razem bez pudła. Ale jej już zabić nie może.
- I wymyśla, żeby to zrobił za niego sąd? — medytuje Lis.
- Tak. Róża Larst zginie w majestacie prawa. Takie jest jego założenie. W najgorszym dla tego kogoś wypadku Róża Larst pójdzie na długie lata do więzienia.
- Zakładasz, że to wszystko zrobili członkowie gangu Ypsylon?
- Jestem przekonany i zrobię wszystko, aby to udowodnić — stwierdza inspektor.
- Zamysł dość prawdopodobny, tylko jak, twoim zdaniem, „ktosie” to przeprowadzają? — interesuje się pułkownik.
- Przyszła im z pomocą znajomość u:spობienia Róży

i jej osobistych spraw, które wydają się tajemnicą tylko Larstowi i jej samej. Postarano się, aby Róża zorientowała się, jakie stosunki łączą jej męża i tę młodą tancerkę. Kiedy Róża zaczęła w ostry, powszechnie widoczny, sposób szykanować tę dziewczynę, sprawa dojrzała. Klimat został przygotowany z niezrównaną maestrią. Nawet dzień generalnej próby został bezbłędnie wybrany. Wszyscy orientowali się, że diwa robi wszystko, łącznie z okrucieństwem, aby nie dopuścić Joanny do premiery.

— Wyreżyserowane poszlaki zabójstwa? — zastanawia się pułkownik.

— Przygotowane w drobiazgach, psychologicznie umotywowane charakterem rzekomej sprawczyni. Osadzone w tle, z klimatem i przekonywającymi motywami — dowodzi inspektor.

— A jak zdobyto jej pistolet? Włamanie do willi, w której mieszka cztery osoby, w której jest pies? Andrzej, to bardzo mało prawdopodobne.

— Ale nie jest niemożliwe. Znam kilku ludzi, którzy do konają takiego włamania, i zaręczam, że nie pozostawią najmniejszego śladu. ^

— Renomowana kadra warszawskich „skakierów”?

— Chociażby. Ale w tym wypadku nie wchodzi w rachubę notowani włamywacze, bo żaden szanujący się „szpringo- wiec” nie przyjmie zlecanej roboty, związanej z kradzieżą broni. To przywodzi na myśl stryżek albo najmniej dziesięć lat. Kodeks karny znają nie gorzej od nas. Więc to dla nich impreza nieopłacalna.

— Jedź dalej — mruczy pułkownik. — Przypuszczam, że to nie jest jedyne twoje założenie?

— Nie jedyne — przyznaje major. — Drugi wariant; ktoś, z jakichś przyczyn, których nie mogę w tej chwili określić, bo się ich nawet nie domyślam, chciał zabić Joannę. Wykorzystał ku temu jako osłonę osobę Róży Larst z tych samych względów, co w wariacie pierwszym. Ale w tym wypadku zamierzeniem było pozbawienie życia Joanny, a Róża Larst miała osłonić prawdziwego mordercę.

— To jest okropnie nieprzekonywające, Andrzej. Ta dziewczyna ma dwadzieścia lat. Z tego, co wiemy, nie miała nawet ludzi sobie niechętnych, a coś dopiero wrogów nastających na jej życie.

— Ona również jest świadkiem do sprawy liryptonim Ypsyłon.

— To naprawdę żaden świadek. Zgodzisz się ze mną, że takich

świadków było setki. Gdyby grupa Ypsylon chciała ustalić wszystkich takich świadków, musiałaby dysponować zespołem wywiadowców większym niż go ma milicja w całej Polsce.

— Myślałem nad tym. Jeżeli ustalę ponad wszelką wątpliwość, że nie wchodzi tu w grę czyjeś osobiste poracliunki z dziewczyną, to pozostaje prawdopodobieństwo, że Joanna, być może sama nie mając o tym pojęcia, otarła się w jakichś okolicznościach osobistych o grupę Ypsylon lub jednego z jej członków i to tak niebezpiecznie blisko, że poczuli się przez nią zagrożeni. *

— Przeszkodził temu Larst; jego nieprzeciętny talent chirurga — stwierdza Lis. — Miej oko na ten szpital, Andrzeju.

— Mam. To była jedna z pierwszych decyzji, którą podjąłem w tej sprawie — mówi Korosz.

— Już nie podejrzewasz Larsta? — chce wiedzieć pułkownik.

— Tak bardzo to go nigdy nie podejrzewałem. Jednego jestem pewien: Joannie Morąg z jego strony nic nie groziło i nie zagraża.

— Gdzie Joanna mogła zetknąć się z członkami gangu? — zastanawia się Lis. — W jakich środowiskach bywała?

— Prawdopodobnie romans z Larstem z różnycli względów zawęził jej środowisko. Pozostał więc zespół baletowy, ale tylko w godzinach pracy. Nawet nie miała przyjaciółki od serca, czy to normalne, żeby młoda i zakochana dziewczyna nie miała przyjaciółki? Następnie Larst — ale już nie jego otoczenie. Krytycy teatralni — to już całkiem luźne, oficjalne kontakty. Jeden z nich interesował się dziewczyną bardzo serdecznie. Młody chłopak, początkujący sprawozdawca teatralny, podkochiwał się w Joannie...

— Informacje Cieślaka?

— Wszzechwiedzącego Cieślaka, perły wywiadowców — śmieje się major.

— Nieoceniony chłopak w znoszeniu kuchennych plotelc — mówi pułkownik. — Ten młody dziennikarz?...

— Krystian Szapar, jak już mówiłem, początkujący sprawozdawca teatralny. Poza tym próbuje sił w reportażu. Bez stałego etatu w gazecie. Wolny strzelec.

— Więc Szapar wiedział o związku Joanny z Larstem?

— To była tajemnica poliszynela. Wszyscy wiedzieli. Szapar najprawdopodobniej też. Nie, nic z tego, co myślisz, Heniu. Szapar od kilku dni choruje...

— Co mu jest?

— Zdaje się, że grypa. Poza tym Cieślik twierdzi, że sylwetka Szapara jest podobna do faceta z grupy Ypsilon.

— Cieślik znajduje coraz więcej podobnych. Podejrzani rosną u niego w postępie geometrycznym... Sam opracowałem sylwetki blisko trzydziestu osób, które mi przyniósł Cieślik ze swoich wędrówek „szlakiem alkowy” — wzdycha sceptycznie Lis. — Zajmij się jednak tym Szaparem. Warto poznać jego alibi na krytyczny dzień, oczywiście myślę o dniu napadu — dodaje po chwili.

— Jednak niezupełnie lekceważysz kuchenne informacje Cieślika — uśmiecha się major.

— Skoro nie lekceważę informacji tysięcy maniaków, do-wcipnisiów z Bożej łaski albo wręcz matolek, to dlaczego mam lekceżyć spostrzeżenia wytrawnego wywiadowcy — wzrusza ramionami pułkownik.

— Ta historia z Joanną bardzo mnie niepokoi — wzdycha major. — Po pierwsze muszę piznać wszjrstkich ludzi, którzy byli na generalnej próbie.

— Winszuję! Pięćdziesiąt osób. Na Cieślika i *jego* perso-nel mogę w najbliższym czasie nie liczyć? — dowiaduje się Lis.

— To nie potrwa zbyt długo — uspokaja major. — Sam rozumiesz, że te ustalenia są konieczne.

— Przypuszczasz, że mordercę znajdziesz wśród tych pięćdziesięciu osób obecnych wówczas w teatrze?

■ — Jeśli nawet nie, to trafię na jakieś powiązania, ciekawe kontakty... już to uważałbym za sukces.

— Czy wejść do teatru w czasie generalnej próby jest tak łatwo? — zastanawia się Lis.

— Niezupełnie. Ale człowiek, który zranił Joannę, musi znać obyczaje, rozkład dnia pracy zespołów, topografię budynku, rozmieszczenie całego wnętrza Opery. No i jego obecność za kulisami nie powinna nikogo zdziwić. To nie mógł być nikt obcy.

— A jeżeli — cedzi Lis — i ta druga — owszem, dość logicznie skonstruowana — hipoteza okaże się wytworem twojej pomysłowości, co masz jako następne założenie?

Major nie odpowiada, długo przypala papierosa, dziobie zgaszoną zapałką w popielniczkę.

No cóż... pozostanie Róża Larst. Motywy są wystarczające, aby przekazać sprawę prokuratorowi — inspektor gaśnie nagle, szarzeję.

— Broń jej... skoro ci na tsmi nawet osobiście zależy. Opracuj

inne założenia. Przyznaję, że proces o zabójstwo dokonane przez Różę Larst byłby tylko procesem poszlakowym.

— Poważnie tak sądzisz? — ożywia się inspektor.

— Jak widzę, masz mnie za zupełnego matolka. Piłuję cię tak, żeby się zorientować, w jakim stopniu padła ci na mózg uroda tej kobiety.

— Róża Larst nie jest kryminalistką — stwierdza major.

Do gabinetu z hałasem wchodzi Cieślik.

— z samochodu profesora Larsta precelek! — obwieszcza od progu.

— 7__

— O wpół do piątej usiadł na latarni na Żwirki. Z wozu kupa szmelcu. Już go „drogówka” odholowała. Profesor ma pięknie rozbitą głowę. Podobno skończyło się na szyciu i opatrunku. Ma podejrzane szczęście, żeby z takiej kraksy wyjść tylko z ogoloną makówką — podkreśla Cieślik.

— No to co z tego? — bagatelizuje Lis.

— Nic — mruczy Cieślik — włosków nie ma, samochód nie istnieje... Eee — macha z niechęcią ręką — mam jakichś takich niewydarzonych dowódców... Te rozważania teoretyczne nad psychiczną osobowością członków gangu zgubią pułkownika — zezuje na Lisa badając, kiedy ma przestać.

— Co oprócz Larsta? — zbywa wiadomość major.

— Ojciec Joanny, Grzegorz Morağ, jest klezmerem w „Niezapominajce”. Opinia nienaganna. Ogromne abmicje na pimkie scenicznej kariery córki. Gotów podlizywać się wszystkim, aby dziecku ułatwić start. Aktualnie leży chory, powaliła go wiadomość o wypadku córki. Był w klinice u Larsta — widział dziewczyną.

— Cieślik, zbieraj te swoje plotki ostrożnie — interweniuje Lis.

— Co pułkownik będzie uczył... tego. Przepraszam. Nie stosuję metod brutalnych ani partackich. Nie jestem dzielnicowym, co to zbiera informacje o podejrzanym u niego samego — odyma się wywiadowca.

— Nie odgrywaj się na dzielnicowych — obrusza się Lis.

— A na kim mam się odgrywać? Na pułkowniku czasami niebezpiecznie, no i ten szacunek nie pozwala — prawi wywiadowca. — Morağ był w klinice z Pawłem Olechem: to baletmistrz z teatru — podejmuje dalej sprawozdanie. — Przyjaźnią się od lat. To nawet nie ipiożna uznać za podlizywanie się Morağa baletmistrzowi ze względu na córkę, bo ona jeszcze była mała, kiedy ci panowie się kolegowali.

— Co mówi Olech o Róży Larst? — zwraca się pułkownik do Korosza.

— Należy do tych ludzi, którzy zdecydowanie nie chcą jej obciążać — odpowiada major. — Bardzo powściągliwie, obiektywnie stwierdza animozję obu kobiet. O powodach wiedział — ojca dziewczyny nie informował. W ogóle nie ma skłonności do plotek i babrania się w cudzych intymnościach. Nawet podczas ćwiczeń, bardzo brutalnych, jakie stosowała Róża wobec Joanny, interweniował u zakładowego lekarza, ale o tym nie wspominał. Ten szczególnie znam z relacji lekarza, który również sprawia wrażenie obiektywnego.

— Dalej o Olechu — rozkazuje pułkownik Cieślukowi.

— Ceniony pedagog, wybitnym tancerzem nigdy nie był, ale baletmistrz i choreograf z niego tęgi. Opinia nienaganna. Lubi wypić, zabawić się, ale w miarę. Żyje samotnie — mieszka w czynszówce. Bliskich kobiet dotychczas nie stwierdziłem. Rysopisowi do sprawy gangu YpsyJon nie odpowiada. Styl życia, wydatki — w normie, nie przekraczają dochodów.

— Jego stosunek do Joanny? — chce wiedzieć major.

— Jak do córki przyjaciela. Pomagał jej w Operze, ale nie kosztem innych. Ta dziewczyna zdaniem osób kompetentnych jest utalentowana. Bardzo — ale po męsku — przeżywa wypadek Joanny ze względu na jej ojca, no i ze względu na nią też. Zna ją od dzieciństwa — uczył ją. Ma bardzo za złe Larstowi. Oczywiście nie operację, tylko amory z Joanną. Co do operacji to panuje opinia — w świecie lekarskim oczywiście, nie baletowym — że to wyczyn jeden na tysiąc. Joanna nie miała prawa żyć, a Larst jest niemal cudotwórcą.

— Dowiedziałeś się, Cieśluk, o alibi Szapara na dzień napadu? — interesuje się major.

— Trudna historia — wzdycha Cieśluk. — Ci dziennikarze są tacy ruchliwi. Mam nie potwierdzone wiadomości, że wieczorem był u Joanny na kolacji, ale kiedy tam przyszedł, po godzinie napadu czy przed — nie wiem.

— Chciałbym to wiedzieć — żąda major.

^ — Też chciałbym — zapewnia Cieśluk.

— „Szpringowcy”, „skakierzy”? — dowiadyuje się major.

— Nikt im takiej roboty nie nadawał — zaprzecza Cieśluk. —

Powtarzam, majorze, że żaden szanujący się włamywacz nie pójdzie

na zlecony skok po pistolet. To dla nich nieetyczne zajęcie. Jeszcze tylko pozostał „Pasikonik”. Nie mogli go dziś moi poddani trafić, pewno gdzieś jest na robocie — pechowiec, ani chybi wpadnie.

— Jaki „Pasikonik”? — pyta Lis, myśląc o czymś innym.

— Włamywacz — wzrusza ramionami Cieślak, zdziwiony niedomyślnością Lisa, — Ale to tylko tak, dla spokoju sumienia, bo ręczę, że „Pasikonik” na pewno na taki numer nie poszedł. Powtarzam, żaden fachowiec nie podskoczy po broń, i do tego na zlecenie. A partacz nie zrobi takiego włamania, bo to majstersztyk, to da się porównać jedynie z operacją Larsta. Inne branże, ale poziom wykonania ten sam.

— Profesor Larst — melduje sekretarka.

— Pani poprosi do pokoju przyjąć — poleca major.

Za chwilę rozmawia z Larstem. Uspokaja profesora, że sprawa na pewno nie będzie miała rozgłosu.

— Może potrzebna jest kaucja? — dopytuje się Larst.

— Może pan zabrać żonę do domu ■— zawiadamia inspektor.

— Dziękuję — zdawkowy, chłodny ton. Larst nie odczuwa z tego powodu najmniejszej radości. Przeciwnie; prawie boi się widoku, obecności Róży.

Inspektor posyła milicjanta po tancerkę.

— Nie zostanie pani zatrzymana — informuje sucho. — Może pani iść do domu.

— Panie majorze!

— To nie jest równoznaczne z uwolnieniem pani od podejrzeń — mówi szorstko inspektor. — Jest pani nadal podejrzana o zabójstwo. Tylko nie zachodzi konieczność zatrzymania pani w areszcie śledczym. Natomiast musi pani pod-

pisać zobowiązanie, że w każdej chwili stawi się na wezwanie milicji.

— Tak — Róża spogląda z rezygnacją na zacięć, chłodną twarz oficera.

— Ponadto miejscowa jednostka milicji, to znaczy najbliższy komisariat, ma być każdorazowo informowany przez panią o zmianie miejsca pobytu. Brak informacji przez dwadzieścia cztery godziny o miejscu, w którym się pani znajduje, zobowiązuje milicjantów do potraktowania pani jako zbiega i doprowadzenie do aresztu śledczego. To wszystko — major podsuwa jej blankiet zobowiązania.

Diwa podpisuje papier bez kropli krwi na twarzy. Inspektor stawia swą cyfrę na przepustkach i lekkim pochyleniem głowy żegna

oboje.

Profesor nie odzywa się do żony ani słowem. Róża ze względu na kierowcę również nie zadaje żadnych pytań, mimo że niepokoi ją opatrunek na głowie męża.

W domu Larst, równie milcząco, jak podczas drogi, wprowadza żonę do jej pokoju.

— Myślę, że będziesz miała dość taktu — mówi stojąc w drzwiach — abyśmy jak najmniej odczuwali twoją obecność w tym domu.

Róża zrozumiała, że nie ma już domu.

— Jerzy! — Róża rzuca się w stronę męża. — Jerzy, ty naprawdę wierzysz, że ja...

— To rozstrzygnie sąd — lodowaty, obojętny ton zupełnie obcego człowieka.

— Dziękuję. Rozumiem — gaśnie tancerka. Ciężko siada na fotel.

W zmaltretowanej kobiecie powoli budzą się resztki godności, urażonej dumy.

Bronić się — trzeba się bronić. Przynajmniej dobrego imienia. W najgorszej chwili życia nie pozostał przy niej ani jeden kochający czy chociaż życzliwy człowiek. To chyba też konsekwencja jej życia, jej postępowania. Jakaż była za

ślepią, że liczyła jeszcze do tej chwili na Jerzego. Przecież)ystarczyłoby mniejszego wstrząsu niż ten, aby ich fikcyjny związek, związek ludzi, którzy dawno odeszli od siebie, pękł, rozsypał się jak kupka piasku.

Nazajutrz po bezsennej nocy Róża — skulona w kącie tapczanu »— chciwie łowi poranne głosy domu. Trzask drzwi, tupot nóg po schodach — Bohdan wyszedł do szkoły. Przyjeżdża samochód — Jerzy pojechał do kliniki. Dlaczego nie własnym? Nareszcie, dzwoniąc kluczami, opuszcza mieszkanie gospościa — słyhać psi zachwycony jazgot. To Horacy idzie z Anną po zakupy.

Zwykle odgłosy — na które nigdy dotychczas nie zwróciła uwagi — wydają jej się największym, bo utraconym, szczęściem.

Róża musi gdzieś zamieszkać. Nie zostanie w tym domu dłużej ani dnia.

Wyjeżdża do miasta. Nigdy nie załatwiała sama tego rodzaju spraw. Jak w Warszawie kupuje się mieszkanie? Nie ma się do kogo zwrócić. Wszystkie nazwiska, jakie przychodzą jej na myśl, to ludzie z tamtego życia, z tamtej strony bariery. Nie zniosłaby tych umykających spojrzeń, źle maskowanej odrazy, skrępowania czy obojętności.

Co się stało z moją sławą? Gdzie się podziały te tłumy znajomych, przyjaciół? — myśli oszołomiona. — Ani jednego telefonu, ani jednego człowieka. Cóż warta cała moja popularność, jeśli teraz jestem tak okrutnie sama.

Przypomina się jej francuski impresario i oszczędności w paryskim banku. Nic lepszego nie przychodzi jej do głowy. Poza tym nie musi być wdzięczna swojemu irnpresario — ten człowiek policzy sobie dobry procent.

Zamawia błyskawiczną z Paryżem. Dobrze trafiła — pan Q. jest w swoim biurze. Rozpływa się w uśmiechach.

W taki oto sposób, via Paryż, Róża załatwia jedną swą niewawem zjawia się u niej nieznajomy człowiek i oświadcza, że może obejrzeć spółdzielcze mieszkania, bo pan Q. z Paryża przygotował już przelew dewiz na bank PKO i Róża musi tylko wypełnić czek.

Znękana kobieta decyduje się na pierwszą spółdzielczą kawalerkę, jaką jej pokazano. Jest nawet garaż dla jej Lanci. Domek czterolokalowy, na dalekim Mokotowie.

Gdy' Larst wraca wieczorem z kliniki — nie odstępuje prawie od

łóżka Joanny — w pokoju Róży zastaje kartkę ze skąpym wyjaśnieniem:

Dziękuję za wszystko — Róża.

Profesor czuje cię niesmaku i łagodny, prawie przyjemny smutek — że jednak rozwiązało się jego małżeństwo.

Pierwszą noc tancerka spędza w nowym mieszkaniu, w którym nie ma jeszcze ani jednego sprzętu, siedząc pod ścianą, owinięta w swój płaszcz z nurków. Nad ranem, zmęczona zmęczeniem, wreszcie zasypia.

Rano, zaraz po ósmej, major Korosz słyszy jej głos w telefonie.

— Zmieniłam mieszkanie, proszę uprzedzić komisariat o moim zameldowaniu w innej dzielnicy — podaje adres. Przeprasza. Odkłada słuchawkę.

Dla Róży nastają straszne, jałowe dni. Samotne, beczynne, okrutne dni bezruchu, oczekiwania. Z początku są jeszcze stany lęku, wściekłości, żalu i nadziei. Róża przechodzi wszystkie kręgi od skrajnej rozpaczki po chwilę optymizmu. Gorączkowo usiłuje coś zrobić, czymś się zająć w tym swoim świecie, ograniczonym ścianami mieszkania. Potem już zmusza się, aby się przynajmniej ubrać, uczesać. Prawie nie opuszcza domu. Coraz rzadziej wychodzi, aby coś zjeść, ostatnio zdarza się to raz na dwa, trzy dni.

Uwięziona w tym mieszkaniu — albo obija się o nieliczne sprzęty, albo zamiera na długie godziny, wpatrzona w telefon, który milczy. Nikogo.

Nie przychodzi jej na myśl, że poza milicją nikomu nie podała adresu ani numeru telefonu.

Nadchodzą stany apatii — tak kompletnej, że tancerka już w ogóle nie rusza się z fotela przy oknie, na wprost ebonitowego pudełka telefonu, cichego jak czarny, śpiący wąż. Nie czuje głodu — ten lekki szum w głowie jest nawet przyjemny. Czasami zapada w czujny sen, oparta o wysoką poręcz fotela — wyszukanego wśród antyków Desy przez wysłannika paryskiego impresaria.

Otwiera oczy, nie wie, czy po kwadransach, czy po godzinach. Platynowy zegarek Róży, jubilerskie cacko, zapięty na przegubie dłoni, nie wskazuje już godzin. Róża po prostu przestała go nakręcać.

Czas — pora dnia — jakież to obojętne, Czas płynie, cieknie sobie. Róża jest poza czasem, poza dobrem i złem. Nie ma już pragnień, rozterek, uczuć. Trwa. Obojętne na wszystko, dochodzi

jakiegoś kresu.

Budzi się właśnie z jednego z tych płochliwych, lekkich snów, w których nie męczą jej już koszmary. Ma przed oczyma telefon i stary sztych w cieniutkich ramkach — piękny, oryginalny, wkomponowany z niezaprzeczalnym gustem w całość wnętrza rękoma obcego człowieka, który zrobił to wszystko solidnie, z inwencją — za pieniądze.

Dzwonek u drzwi.

Róża jest tak przekonana, że za tymi drzwiami może być tylko milicja, że widok majora Korosza wcale jej nie zaskakuje.

Pewnie przyszedł zabrać ją do więzienia, którego groźba do niedawna przyprawiała ją o szalony strach i wyzwaliała gorączkową energię bronięcia się przed nim za każdą cenę.

Teraz nie czuje nic — tak dalece obojętne jej jest, co się z nią stanie.

— Proszę mi podać płaszcz — prosi ze zdawkowym uśmiechem. W jej tonie — Róża nie zdaje sobie z tego sprawy — w geście brzmi jeszcze echo dawnej Róży Larst, primabaleriny stołecznych scen wielu krajów; kobiety przyzwyczajonej do usług.

— Pani wychodzi? — major myśli z przykrdścią, że ona nie chce znosić jego towarzystwa. Wstyd mu, że się tu znalazł.

— Przecież pan przyszedł po mnie — stwierdza Róża.

— Nieporozumienie — major unosi brwi. — Przyszedłem panią odwiedzić — wyjaśnia, ale nie opuszcza go uczucie zażenowania. Przecież ta kobieta nie upoważniła, go do prywatnych odwiedzin. Róża zastyga na swoim fotelu. Jej nieruchomość, wyszczupłała, blada twarz i ciemne kręgi pod oczyma, wreszcie martwota pięknego wnętrza, sprawiającego wrażenie nie zamieszkałego, wyjaśniają mu w jakimś stopniu stan tancerki, sygnalizują niebezpieczny kres, do którego doszła.

— Jak się pani miewa? — zaczyna niezręcznie i jeszcze bardziej] czuje się skrępowany.

— Dziękuję. Dobrze.

■— Może coś pani potrzebuje?

— Dziękuję. Mam wszystko, co mi potrzeba.

— Szukałem pani w teatrze. Dyrekcja jest zdziwiona, że pani porzuciła pracę... Czekają tam na panią — major nie mówi, że w Operze panowało przekonanie, że Róża je.st w więzieniu, ponieważ od dnia wypadku nie dała znaku życia.

— Sądzi pan, że powinnam podjąć pracę?

- Oczywiście. Nie wolno siedzieć tak... i rozmyślać.
- Tak mi jest dobrze.
- To nieprawda. Pani się załamała. Nie wolno do tego dopuścić. Jeżeli już nic panią nie interesuje, to... proszę bronić przynajmniej swego dobrego imienia...
- Tańcem?
- Tak. Swoim czynnym życiem. Powinna pani zachować twarz. Należy wyjść do ludzi, zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. To, co pani robi ze sobą, to zbrodnia — major mówi chaotycznie, ale jego żarliwy ton zwraca uwagę Róży.
- Pan *iTfi* to mówi? Zależy panu na przekonaniu mnie, że bym żyła?
- Dlaczego to panią dziwi?
- Przecież panu powinno zależeć na schwytaniu mordercy...
- Kto pani powiedział, że nie zależy mi...
- Pan nie wierzy, że to jednak ja? — w Róży obudził się cień zainteresowania. — Dlaczego pan nie wierzy?
- Powinniśmy pójść na kolację — stwierdza major.
- Dziękuję. Jadłam już — gaśnie Róża.
- Może mnie pani czymś poczęstuje, nie jadłem dziś nawet obiadu — kłamie major.
- Robi mi pan kłopot, akurat nic nie mam w domu. Inspektor idzie do miniaturowej kuchni. Jest w niej lodówka. Sprawdza jej wnętrze. Pustka. Nic nie ma w tym domu, nic nie zdradza nawet, że kiedykolwiek było tu coś do jedzenia. Wszystko jest nowe, puste, nie używane.
- Idziemy na kolację — stwierdza kategorycznie. — I proszę nic nie mówić, że pani nie ma ochoty albo że nie jest głodna.
- Naprawdę nie mam ochoty.
- Trudno. Zabieram panią wbrew jej woli. Proszę włożyć wizytową sukienkę, bo to będzie bardzo wytworna kolacja. Róża siedzi nieporuszona. Inspektor otwiera szafę. Przegląda suknie. Zdejmuje z wieszaka czarny welur.
- Proszę to włożyć — oświadcza. — Bardzo ładnie będzie pani w tej czerni.
- Pan jest nawet... miły — blade uśmiecha się Róża.
- Czekam — major jest obsesywny, uparty. Nie chce myśleć, że zachowuje się niezbyt delikatnie.

— Pan jest źle wychowany — ton Róży przeczy jej stwierdzeniu.
Bierze suknię i idzie do łazienki.
Major w tym czasie wydzwaniania Cieślaka.

— Poruczniku, koleżeńska przysługa — mówi lekko. Jest trochę speszony. — Kupcie coś do jedzenia, dużo. I dostarczcie to... — podaje adres Róży.

— Co do jedzenia?

— No coś, co lubią kobiety. Zapytajcie Ireny — mówi

0 zastępcy Cieślika — ona już będzie wiedziała.

— Zrobione. Kiedy mam dostarczyć tę spiżarnię?

— Zaraz.

— Major tam będzie?

— Nie. Wychodzimy.

— Aha, ale majora wzięło... przepraszam, niech się major nie złości. Przez okno mam wejść?

— Dlaczego przez okno? — inspektor jest zażenowany

1 wściekły.

— No. Jak się tam mam dostać, skoro wychodzicie?

— Jak chcesz.

— Załatwione. Rozumiem. Niech się major nie martwi. Zamówienie przyjęte.

— Cieślik... mam nadzieję, że nie zwierzysz się Lisowi?

— 'Co major? — oburza się porucznik. — Jestem uosobienie dyskrecji, poza tym mam do was słabość... tylko... no, rozumiecie...

— słuchawce zapada cisza. Cieślik jest szczerze zaniepokojony o Korosza i nie potrafi tego wyrazić. — Powodzenia!... ■— mówi wreszcie. Nic innego nie przychodzi mu na myśl.

Przez okno wlew'a się do szpitalnego pokoju jaskrawe słońce przedwiośnia. Joanna mruży oczy i przesuwa owalne lustro na brzeg stolika, aby umknąć od promieni odbitych w taflి zwierciadła. Zniecierpliwiona, zaciąga zasłonę — złotawy, ciepły ton spow'ija separatkę. Dziewczyna wraca przed lustro. Starannie czesze króciutkie, ledwo odrośnięte włosy zwijające się luźnymi pierścieniami wokół głowy. Odsuwa lustro i krj'tycznie ocenia swój fryzjerski kunszt. Podkreśla oczy i jasną kredką maluje wargi. Zapala papierosa. Z podkurczonymi nogami mości się przez chwilę w fotelu. Fotel jest chłodny, obity nieprzytulną skórą. Joanna starannie zaściela go białym kocem, ściągniętym z łóżka. Kładzie pod ręką przybory do manicuru. Po chwili jej uwagę pochłania opilowywanie paznokci.

— Dzień dobry. Jak się czujesz? — wchodzi Larst. Rozwija z celofanu kwiat.

— Kwiat — cieszy się Joanna i wstawia go do wazonu.

— Jaki to kwiat? — pyta Larst siadając naprzeciw dziewczyny. — Jaki to kwiat? — uważnie przygląda się Joannie.

— No... kwiat — dziewczyna wraca do pilowania paznokci.

— Odłóż to — Larst delikatnie zabiera pilnik z rąk Joanny. Dziewczyna z westchnieniem zaplata dłoń i posłusznie patrzy w twarz Larsta.

Profesor spostrzega koc okrywający fotel.

— Kto wysłał ci fotel?

— Ja.

— Sama to zrobiłaś? — dopytuje się Larst.

— Sama.

— Dlaczego? — interesuje się Larst.

— Czy to coś złego? — ploszy się Joanna wyłamując palce.

— Nic złego — uspokaja profesor. Nakrywa dłońią ręce Joanny, uspokajając jej nerwowe, rozbiegane palce. Podaje jej papierosa tylko dlatego, aby nadać jakiś cel jej ruchom.

Dziewczyna bierze papierosa, ogląda go.

— Peł-Meł — odczytuje napis na bibułce i z triumfem patrzy na Larsta. — To gatunek... nazwa — poprawia się szybko. — Nazwa papierosów.

Larst czuje ukłucie w sercu na widok jej wysilków, aby mu zrobić przyjemność. Ponieważ on ciągle żąda od niej- nazywania rzeczy, przedmiotów, tłumaczenia Lstoty zjawisk, sensu jej odruchów, postępowania, czynności od najpro- stszych do najbardziej skomplikowanych — więc uprzedza jego pytanie sądząc, że ją znowu zapyta.

—Dlaczego wysłałaś fotel kocem? — powraca Larst do poprzedniego pytania.

—Obicie fotela jest z dermy — Joanna uchyla róg tkaniny — ono jest chłodne, nieprzyjemne w dotyku. Nieprzy- tulne i ziębi, więc dlatego okryłam fotel mięciutkim kocem — tłumaczy dokładnie, starannie dobierając słowa i kontrolując oczyma efekt swych wyjaśnień na twarzy profesora.

—Jak się nazywasz? — zapytuje Larst.

Twarz Joanny chmurzy się — sprawia jej przykrość to wielokrotnie ponawiane pytanie.

—Jo-an-na — rozciąga sylaby dziewczyna.

—I jak jeszcze?

—Joanna Morąg — mówi z westchnieniem. — Urodziłam się

dziesiątego maja 1945 roku w Warszawie. Mój ojciec ma na imię Grzegorz. Mieszkam w Warszawie... — wymienia dokładnie adres. — Z zawodu jestem tancerką. Ukończyłam szkołę baletową w roku... — mówi jednym tchem, jakby recytowała nudną, dobrze wyuczoną lekcję.

Twarz Larsta tężeje.

— Przyjrzyj mi się, Joanno — żąda.

Dziewczyna posłusznie spełnia to życzenie.

— Poznajesz mnie? — Larst opiera ręce na jej ramionach, przybliża twarz.

— Tak — stwierdza dziewczyna i uwalnia się z uścisku jego dłoni. — Nazywa się pan profesor Larst, jest pan ordynatorem oddziału neurochirurgii, operował mnie pan — marszczy w namyśle brwi — to była trepanacja czaszki... Bardzo ciężki zabieg. Jest pan dopsłconiałym chirurgiem. Dzięki panu żyję. Jestem panu wdzięczna za uratowanie mi życia... Bardzo lubię żyć — znowu ten monotony znudzony ton, powtarzający wyuczoną formułkę. Zniecierpliwienie i pobłażanie dla tych, którzy zbyt często wymagają od niej lego rodzaju deklaracji.

— Kto ci to powiedział? — Larst jest niezadowolony z tej lekcji wyuczonej na pamięć, powtarzanej jak formuła matematyczna, nie wiadomo, czy rozumianej.

— Pielęgniarka — wyjaśnia Joanna.

Zasepiony Larst milknie. Będzie musiał zwrócić uwagę personelowi, aby nie wyręczał go w taki sposób przy rehabilitacji Joanny. To już jest wiadome, że dziewczyna z zadziwiającą precyzją zapamiętuje zdania, które uważa za ważne dla otaczających ją ludzi. Jego oczy. przez chwilę przesuwają się po wazonie z kwiatem.

—• Co to za kwiat, Joanno?

— No, kwiat... jest żółty...

— Dobrze. Rzeczywiście jest żółty — chwali Larst. — Ale przypomnij sobie, jak on się nazywa. Na pewno wiesz, przynosiłem ci takie kwiaty — Larst myśli o czasach przed wypadkiem Joanny.

—■ Nigdy pan nie przynosił, dzisiaj pierwszy raz — protestuje dziewczyna, umykając ze spojrzeniem.

— Przypomnij sobie nazwę kwiatu — nalega Larst.

— Dlaczego pan mnie męczy, czy to takie ważne, jak się nazywają jakieś kwiaty? — zniechęca się dziewczyna. — Kwiatów jest tak dużo...

— Ważne, Joanno.

— Pan koniecznie chce się przekonać, czy jestem normalna — mówi z westchnieniem dziewczyna. — Jestem najzupełniej normalna. Tylko mam zanik pamięci. Występuje to po ciężkich urazach mózgu, szczególnie piałów skroniowych, które są ośrodkami pamięci. Zdarza się, że są to zmiany nieodwracalne, trwałe. Niekiedy ustępują po pewnym czasie. Nie jest jednak pewne, czy odzyskam pamięć. O tym nie wie również pan, znakomitość w specjalności neurochirurgicznej i neurologicznej, a cóż dopiero ja... laik. „Przypadek” jak określają pacjentów w klinice. Zamiast mnie męczyć wymaganiami, abym przypomniawsza sobie rzeczy, których przypomnieć nie mogę, należy mnie uczyć...

Zaskoczony Larst przerywa ten prawie specjalistyczny wywód:

— Skąd to wszystko wiesz, Joanno?

— Jeśli się przyznam, będzie pan niezadowolony.

— Ktoś ci o tym opowiedział, ktoś z personelu kliniki? — i pyta, nie bardzo wierząc w swoje przypuszczenia.

— Nie. Dobrze pan wie, że personel kliniki nie zrobi nic wbrew pana zaleceniom. Lekarze i pielęgniarki traktują mnie jak debilne dziecko. Uważam, że pana zalecenia w tej mierze są złe....

— Bardzo pryncypialnie oceniasz moje kwalifikacje medyczne — smutno uśmiecha się Larst.

— ...złe — ciągnie Joanna. — Wszyscy uważacie, nie wiem dlaczego, że nie powinnam wiedzieć o swoim upośledzeniu... tak, tak — uprzedza protest profesora. — Sądziłiście, że mogę się załamać, gdy zdam sobie sprawę ze swego nieszczęścia...

— To nie jest nieszczęście, Joanno, tym bardziej że nie jest powiedziane, że to stan trw/ały.

— Wcale pan nie jest tego pewien, pan mnie pociesza i usiłuje wzbudzić we mrfle nadzieję. Otóż oświadczam panu, że brak pamięci, jeżeli mi nawet — liczę się z tj-m — pozostanie na stałe, nie uważam za nieszczęście. Sądzę, że będzie to można jakoś nadrobić... że będzie można z tym żyć. Więc zamiast mnie męczyć żądaniami obudzenia wspomnień, których nie mogę wskrzesić... należy mnie uczyć...

— Skąd masz tę wiedzę o swoirn stanie? — nie ustępuje Larst.

— Czytałam.

— Skąd wzięłaś literaturę?

— Napisałam do ojca — przyznaje się Joanna. — Widzi pan, że kojarzę prawidłowo? — stwierdza z ironią. — Po nauczaniu mnie

mego adresu i tego, że mam ojca, dom... potrafiłam skorzystać z tego natychmiast. Czyli potrafię my-

1

śleć — musi to pan przyznać, panie profesorze. Dlaczego nie dopuszcza pan do mnie ojca. Skoro go mam, chcę go poznać... na nowo.

— Jeszcze nie czas, Joanno.

— Czy mój ojciec wie?

— O czym?

— Że jakaś część jego córki umarła? No, bo ta pamięć... Zgodzi się pan ze mną, że wraz z jakimiś częściami moich płatów mózgowych obumarła również część mojej osobowości, więc i mnie...

— Joanno, stanowczo protestuję przeciw sposobom, jakimi zdobywałeś wiadomości na temat swojej choroby — przerywa Larst — i oczywiście przeciw diagnozom, jakie sobie stawiasz. O rodzaju terapii, jaką należy stosować, w dalszym ciągu jednak ja będę decydował — łagodni ton uśmiechem. — Oddaj mi tę literaturę, moja ty pojętna uczennico.

— A jeżeli nie oddam? — w oczach dziewczyny przekorne błyski.

— Każę ci odebrać wbrew twojej woli — oznajmia Larst. — Widzisz, Joanno, pacjent nie powinien psuć dzieła lekarza... Lecząc cię wkładam w to całą swą wiedzę, doświadczenie, umiejętności. Czyżbyś sądziła, że lepiej znasz się na tym ode mnie? Dlaczego mi przeszkadza. Przecież pragnę cię wyleczyć. Czyżbyś mi nie ufała?

Joanna siedzi nieporuszona — z oczyma wbitymi w swoje dłonie. Wreszcie pod wpływem ostatnich słów doktora, a właściwie wobec jego tonu topnieje w niej upór — sięga pod koc przykrywający fotel, wyciąga książkę.

— Proszę — podaje Larstowi. — I tak już ją przeczytałam — dodaje przekornie. — Czy jest pan zadowolony?

— Niezupełnie. Jak się nazywa ten kwiat, Joanno?

— Proszę powiedzieć jego nazwę. Zapamiętam. — Joanna tłumnie ziewanie.

— Musisz pobudzić pamięć, Joanno, o to właśnie mi chodzi. Musisz sobie przynajmniej usiłować przypominać. Wyobraź sobie, że to rodzaj gimnastyki. Oczywiście nieco inne ćwiczenia niż te, które zadaje ci masażysta.

— On jest żółty... nie masażysta, kwiat.

— To już mówiłaś...

— Żółte są kaczęńce, tulipany też bywają żółte — Joanna śledzi wyraz twarzy Larsta.

— Nie zgaduj, Joanno, z mojej miny, bo nic nie zgadniesz — surowo nakazuje profesor.

Dziewczyna milknie, koncentruje swą kaleką pamięć, v/pa- trzona w kwiat.

— Ż o n k i l e — mówi wreszcie z ciężkim westchnieniem.

— Bardzo dobrze, Joanno. Tak, to żonkil — szczerze cieszy się Larst. W tej chwili nie chce myśleć, że to jest prawie nic. Oderwana, pojedyncza nazwa wobec zupełnej niepamięci faktów, zdarzeń, ciągłości życia.

— Jak ja mam na imię, Joanno?

— Jerzy.

— Skąd to wiesz?

— Od pielęgniarki.

— Nic ci nie przypomina to imię?

Przeczący, znużony ruch głową i bezradne spojrzenie ciemnych ze złotymi punkcikami oczu w szczuplutkiej twarzy.

— Kochałaś mnie, Joanno — nie wytrzymuje Larst, zapominając o testach, jakie przygotował dla niej na dziś. — Znałaś mnie bardzo dawno, długo przed swym wypadkiem...

Opowiada zdarzenia, które jego zdaniem najbardziej mogły zapaść w jej świadomość. Dziewczyna słucha grzecznie — nawet z ciekawością, ale tak, jak się słucha opowieści o kimś innym, obcym.

— Nie pamiętam — boleśnie ściąga brwi. — Nic nie pamiętam, ale... — urywa bezradnie, bo nie umie sprecyzować swoich odczuć względem profesora.

Lubię go — myśli. — Więc chyba zachowałam jakąś ciągłość tamtego życia, ciągłość osobowości — przypomina jej się przeczytany termin.

— Prawdziwie potrafią kochać tylko matki — stwierdza po namyśle Joanna.

— Skąd ci to przyszło na myśl?

— Czy najprostsze rzeczy koniecznie muszę wiedzieć „skąd”?

Ocenia pan, panie profesorze, że jestem tak okaleczona, że sama nie złożę żadnego pojęcia, że mogę tylko powtarzać zasłyszane opinie, spreparowane specjalnie dla mnie poglądy, nieledwie zdania. Bezmyślnie niczym papuga — mówi rozżalona Joanna.

Larst nie żąda już od dziewczyny, aby określiła, jak wygląda papuga.

— Nie denerwuj się, Joanno — mówi pojednawczo — wiesz, że w^cale tak nie myślę.

^ Płyną dni. Profesor nie przerywa starań, aby przyw/rócić dawną Joannę, Joannę sprzed mistrzowskiej operacji.

Nie ustają badania. Sztab lekarzy różnych specjalności konsultuje swoje spostrzeżenia, obserwuje reakcje, odruchy, zachowanie się dziewczyny. Sztab specjalistów, wspomagany precyzyjnymi aparatami medycznymi — ostatnim krzykiem techniki medycznej — zgłębia przyczynę tego odcięcia osobowości, mroku, jaki okrył dwadzieścia lat życia dziewczyny w jej odczuciach i pamięci.

Naukowe raporty brzmią jasno, logicznie; uściślone łacińskimi terminami, opatrzone podpisami, przed którymi tłoczą się imponujące tytuły naukowe, podają całą wiedzę o ciele i „gsyche” Joanny. Drobiazgowo informacje, wsparte wykresami precyzyjnych instrumentów medycznych, rejestrują każdą reakcję, każdy impuls jej okaleczonego mózgu. Jednak połączone wysiłki zespołu słynnych lekarzy nie mogą zerwać czarnej płachty niepamięci.

Larst z zaciętym uporem walczy o wskrzeszenie pamięci Joanny. To już nie tylko kobieta, którą kochał; teraz kocha ją chyba jeszcze bardziej. Joanna stała się jego dziełem — mimo woli odczuwa, jak gdyby to on stworzył ją od nowa.

To bolesne, rozpaczliwe dzieło tworzenia rozpoczął w bezcieniowym świetle jupiterów' sali operacyjnej, gdy rozdzierany sprzecznymi uczuciami, podjął się beznadziejnej operacji. Stwarzał tę dziewczynę podczas długich tygodni czuwania przy jej łóżku, gdy nieomal w każdej minucie wydierał ją śmierci. Tworzy ją nadal, walcząc zaciekle

O wskrzeszenie umarłej pamięci.

Cały mój wysiłek — myśli z goryczą — wiedza, wola i miłość, wszystkie umiejętności licznego zespołu specjalistów dały tylko tyle?

Joanna, jego dzieło, jego twór kwitnie już zdrowiem i urodą. Połączone starania lekarzy, pielęgniarek, dietetyczki i masażyistów dały efekty. Nic w jej wyglądzie nie zdradza niedawnych dramatycznych przeżyć.

Jest żywa, inteligentna, pełna uroku i jak dawniej obdarzona darem pozyskiwania sobie ludzi. Toteż jest oczkiem w głowie opiekującego się nią personelu.

Na specjalne, nie pisane prawa dziewczyny w klinice składa się jeszcze i to, że była; „beznadziejnym przypadkiem” — cudem umiejętności ordynatora przywróconym do życia, więc w jakimś sensie jest chlubą całej kliniki. Poza tym cały oddział orientuje się, jakiego rodzaju względami otacza profesor Larst tę dziewczynę —

nikt nie ma mu tego za złe. Ta młoda tancerka jest tak piękna, profesor włożył tyle wysiłku, żeby zachować ją przy życiu, ocalić.

Joanna wie, że w klinice jest na specjalnych prawach i korzysta z nich bez skrupułów. Nikt się temu nie dziwi. Pacjentka jest codziennie poddawana szeregom doświadczeń przez grono ludzi, od których nazwisk i tytułów naukowych kręci się w głowie przeciętnemu pracownikowi szpitala. Te zabiegi są wyczerpujące, często nieprzyjemne — więc personel rozpieszcza dziewczynę, starając się rekompensować jej to wszystko.

Larst nie jest zdziwiony, gdy Joanna lekkim krokiem tancerki wchodzi do jego gabinetu. Jest przekonana, że do profesora może wejść o każdej porze dnia.

— Nie przeszkadzam? — jej pytanie jest czysto retoryczne. Rozsiada się też zaraz w fotelu naprzeciw Larsta.

— Joanno, nie jesteś moim jedynym pacjentem — żartobliwie wzdycha profesor.

— Ale jestem najciekawszym przypadkiem na oddziale neurochirurgii i neurologii — oświadcza dziewczyna.

— Joanno, zlituj się! Nie mogę słuchać twego szpitalnego żargonu.

— Sam pan używa tego terminu, tylko tak pan jest do niego przyzwyczajony, że umyka pana uwadze. Nie sądzi pan, panie profesorze, że jestem już zupełnie zdrow'a?

Larst podejrzliwie przygląda się dziewczynie. Co ona zno- v/u wymyśliła? Oczywiście — poza brakiem pamięci — Joanna jest zdrowa pod każdym względem.

— Tęsknisz do domu?

Milczenie. Jakiś grymas na tv/arzy, niecierpliwy gest dłoni.

— Pan wie dobrze, że nie tęsknię. Nie tęskni się do nieznanego... Muszę panu powiedzieć, że boję się tego nieznanego, czuję się bezbronna i bezradna wobec tego... — gest w stronę okna, za którym drzewa pokryły się już delikatnym jak mgła nalotem zieleni.

■— Nie trzeba się bać, Joanno. Zaaklimatyzujesz się. Klinika nie może pozostać całym twoim światem.

— Sądzi pan, że przystosuję się do życia na zew'nątrz? Do normalnego życia? —■ to pytanie brzmi martwo, bez wiary.

— Naturalnie, Joanno. Kiedyś będziesz się śmiała, że mogłaś mieć takie wątpliwości.

— Tu jest mi dobrze — mówi wolno dziewczyna zapatrzona w

subtelną .zieleń za oknem. ■— Ja wiem — podejmuje szybko ■— że nie mogę w nie.skończoność przebywać w klinice... Pacjentka, która lubi szpital? To dziwne i chyba nienormalne, prawda, panie profesorze?

Larst jeszcze raz ma okazją stwierdzić, że dziewczynę męczy jej stan, którego jest w pełni świadoma.

— Ja wierzę — Joanna mocno akcentuje to słowo — że zabiegi pomogą mi... dlatego chcę pozostać w klinice, chyba że pan jest innego zdania? ...Bo to wcale nieprawda, że mi wszystko jedno, jak będzie z tą moją nieszczęsną pamięcią... Ja tylko tak przygotowuję się na wszelki wypadek, żeby w razie niepowodzenia nie wpaść w... rozpacz.

— Pomogą na pewno, Joanno — skwapliwie potwierdza Larst. — Medycyna ma rozległe możliwości terapii w takich wypadkach. Daleko jeszcze do ich wyczerpania wobec ciebie — kłamie profesor i myśli, że przecież sam ma już poważne wątpliwości co do pełnej rehabilitacji Joanny.

— A jeżeli zostanę takim kalekim, odmienionym stworem, jak ja mam żyć? — to pytanie po raz pierwszy zadane jest w obecności profesora, ale ona nie kieruje go do Larsta, zadaje je po raz setny samej sobie.

— Zdaje się, że coś chciałaś ode mnie, Joasiii? — Larst nie może już słuchać tych dręczących, obsesyjnych rozważań.

— Tak — opanowuje się Joanna. — Proszę na mnie spojrzeć, jak ja wyglądam?

— Bardzo pięknie — oświadcza żartobliwie Larst.

— Pięknie — przedrzeźnia Joanna. — Obrzydła mi doszczętnie ta pasiasta piżama, ten bury worek — dwoma palcami demonstruje połę szlafroka — a najbardziej te trepy, to ma być obuwie? — z uniesionej stopy spada przydeptany szpitalny pantofel.

Ton dziewczyny, gdy to wszystko mówi, jest tonem rozkapryszonej kobiety, która wie, że wiele jej wolno.

Larsta nie myli ten ton — Joanna udaje. W gruncie rzeczy nie bardzo ją obchodzi, w co jest ubrana. Znowu weszła w narzucony przez siebie samą styl, którym broni się zaciekle przed kapitulacją, przed rozpaczą.

— Regulamin kliniki nie przewiduje... — Larst przyjmuje Jej reguły gry.

— Chcę wyglądać jak kobieta — kaprysi Joanna.

— Co kobieta potrzebuje do wyglądu?

— Cywilną bieliznę, sukienkę, godziwe pantofle, mogą być na szpilce, i... naszyjnik — Joanna marszczy czoło, jej myśli zaczynają miotać się jak oszalałe. Jest zdziwiona własnym żądaniem. Dlaczego naszyjnik? — pyta siebie w myślach. Ogarnia ją nieuzasadniony popłoch, panika, wreszcie paraliżujący lęk. Jej napięcie rośnie do granic wytrzymałości.

— Dlaczego naszyjnik? — pyta głośno, bezradnie; natarczywie patrzy na Larsta, jak gdyby u niego szukała pomocy w rozwiązaniu tej wątpliwości.

— Jaki to ma być naszyjnik, Joanno? — spokojnie, cicho pyta profesor, żeby nie spłoszyć tego czegoś, co być może w tej chwili budzi się w świadomości dziewczyny.

Nieemożliwe — myśli Larst nie mniej napięty niż dziewczyna — żeby to wszystko, co umyka usiłov/aniom lekarzy, powstało za sprawą przypomnienia jednego szczegółu, żadnego przedmiotu, do którego on sam nigdy nie przywiązałby żadnej wagi.

Larst wie, jaki to naszyjnik obudził jedyne wspomnienie minionego życia Joanny.

Dziewczyna w swoim bardzo prostym, raczej sportowym stylu ubierania się nie lubiła i nie nosiła żadnych ozdób. Nic z tych modnych i efektownych brosz, klamer, naszyjników, pierścionków, stylizowanych na prymityw czy starą słowiańską biżuterię, jaką w ostatnich latach z powodzeniem oferowała kobietom Cepelia, Orno czy Desa.

Kiedyś, w pierwszych miesiącach ich znajomości, nieśmiało jeszcze zachwycenia sobą, pod wpływem uczuć trudnych do wyrażenia słowami, podarował jej naszyjnik, który poruszył jego wyobraźnię.

Larst nie znał się i nie zna na finezji i wartościach dzieł sztuki — ale wówczas jego intuicyjny wybór był bezbłędny. Pamięta, jak przyniósł jej to cacko, zdjęte prosto z wystawy Desy. Pamięta jej zachwyty i radość z tego prezentu. Pamięta nawet, jak zawiesiła go sobie na szyi — wyglądał tajemniczo i egzotycznie na tle malachitowej zieleni jej prostej sukienki. Odtąd nosiła go często — był jej jedyną ozdobą tego typu.

— Wiesz, nie kupuj mi więcej żadnych naszyjników — powiedziała kiedyś, gdy przystanął z nią przed wystawą, na której pyszniły się srebrne wisiory, nabijane turkusami, koralowcem. —

Ten naszyjnik, który mi dałeś, będzie jedyny. To mój amulet, na szczęście — zwierzała się tonem zabobonnej kobiety, wierzącej głęboko w wymyślony przez siebie przesąd.

— Jaki to ma być naszyjnik? — cicho powtarza Larst.

— Nie wiem — mówi z rozpaczą dziewczyna. Domyśla się, czuje, że poruszyła coś z zatartych sw'oiich wspomnień, że w zupełnej czerni jej niepamięci błysnęło wątłe światełko, które może rozgorzeć płomieniem i wtedy wróci do niej cała jej przeszłość, ale może również zniknąć jak chimeryczny błędny ognik...

— Idź do siebie, Joanno — decyduje Larst. — Zaraz będziesz miała ten naszyjnik.

Ojciec Joanny jest przerażony nagłą wizytą prof. Larsta.

— Co się stało z moją córką?! — krzyczy zaciskając dłonie z niespodziewaną siłą na ramionach Larsta. — Co znowu pan zrobił z moim dzieckiem?!

Morąg nie panuje nad sobą, w jego zwężonych oczach Larst widzi obłądną nienawiść.

— Dość tego! Postaram się dostać do mojej córki przez prokuratora.

— Właśnie przyjechałem prosić pana natychmiast do kliniki — profesor z trudem uwalnia się z uchwytu.

Ojciec Joanny milknie zbity z tropu — całe tygodnie był bezwzględnie izolowany od Joanny, a tu nagle ten pośpiech. Morąg błędnie — kurczy się jak od uderzenia.

— Ona... — nie ma odwagi wykrztusić dalszego ciągu okrutnego podejrzenia.

— Bjc może, że ona dzisiaj zupełnie wyzdrowieje — stwierdza Larst. — Prędeż, proszę mnie zaprowadzić do pokoju Joanny. Muszę dostać jej zieloną sukienkę i naszyjnik...

Oszolomiony, popyciany przez profesora Morąg nie ma czasu zastanowić się ani zapytać, co może mieć wspólnego z wyzdrowieniem córki jej zielona sukienka.

Prowadzi lekarza na piętro. Obaj podnieceni sięją bałagan w schludnym pokoiku. Wreszcie jest zielona sukienka.

Naszyjnik, którego obaj długo nie mogą znaleźć, wisi na krawędzi prostokątnego lustra przytwierdzonego do ściany.

W klinice Morąg po raz pierwszy dowiaduje się całej prawdy o Joannie — załamuje go to tak, jak gdyby usłyszał, że dziewczyna nie żyje.

— Proszę się opanować — żąda Larst — będzie pan potrzebny do eksperymentu. Być może, że widolc pana wywoła u niej wstrząs. Dlatego dotychczas nie zgadzałem się na wasze spotkanie.

Profesor idzie do Joanny — dziewczyna wstaje na jego widok, ubrana w sw'ą zieloną sukienkę. Larstowi drżą ręce, gdy w milczeniu podaje jej hebanowy naszyjnik.

Joanna przyjmuje kunsztowne cacko i dobrze znanym mu ruchem zakłada na szyję — podchodzi do lustra.

Egzotyczna ozdoba; hebanowe prostokąty, łączone między sobą pięcioma ogniwoami łańcuszka z ciemnego, cyzelowanego srebra, oplatają szyję Joanny. Pośrodku hebanowo-srebrnego ciągu przytwierdzona jest stylizowana kobieca główka z warkoczykami, również rzeźbiona w hebanie. Czarna, płaska, wydobyta z kawałka drewna zaledv/ie kilkoma niedbałymi ruchami dłuta.

Joanna stoi zapatrzona w czarne segmenty, w matowe błyski starego srebra — ogarnia ją dziwne wrażenie, że znajduje się tuż, tuż obolw rozwiązania jakiejś tajemnicy, że stoi u samego progu ciemnego korytarza — wystarczy pchnąć jakieś drzwi, aby wyjść na swobodę, do światła...

Larst zastygł przy drzwiach, wpatrzony w odbicie twarzy dziewczyny widoczne w lustrze.

— Ja znam ten naszyjnik — powoli mówi dziewczyna i przerywa rozpoczęte zdanie. Pod wpływem głośno wypowiedzianych słów oddała się od niej ta upragniona tajemnica, której odkrycia była już tak bli.sko. Pozostaje wrażenie ciemnego korytarza, zanika przecucie osłepiającej jasności.

Powoli odwraca się do Jerzego. Delikatnie gładzi hebanową główkę idola — na twarzy wyraz rozpaczliwego zawodu.

— Błędny ognek — szepcze z żalem.

Profesor rozumie, że tak określa stan, który przed chwilą przeżyła.

— Znam ten naszyjnik — stwierdza Joanna. — Musiałam go mieć i bardzo lubić, na pewno wiąże się z nim jakieś wspomnienie z mego życia. Pan wie, jakie... dlatego go pan przyniósł. Ja wiem tylko, że go znam i że jest dla mnie bardzo miły...

— Co jeszcze o nim wiesz, Joanno? — nie daje za v/ygraną Larst.

— Nic więcej — dziewczyna bezradnie rozkłada dłonie. — Lubię go — gładzi czarne segmenty.

Profesor gwałtownie otwiera drzwi.

— Proszę paRa! — natychmiast wchodzi czekający niecierpliwie na korytarzu Moraę.

— Joasiu, córeczko! — rzuca się do dziewczyny, zamykając ją w uścisku.

Joanna oddaje pocałunki, stara się — Larst widzi to jasno — spełnić oczekiwania człowieka, który ze wzruszeniem woła do niej: córeczko! Robi wszystko, aby nie wyrządzić mu przykrości.

Tak dobrze gra swoją rolę, że mogłaby wprowadzić w błąd mniej znającego ją lekarza, a coś dopiero Moraę, którego kwitnący wygląd córki myli zupełnie.

— Poznałaś mnie, Joasiu, prawda? — stwierdza z absolutną pewnością.

— Tak... tatusiu.

— Już nie mówisz mi tatek?

— Tak... tatek.

— Świetnie wyglądasz. Mam zamiar zabrać ją do domu — zwraca się do Larsta, a do córki: — Dość tego leniuchowania, wylegiwania się... Musisz jak najszybciej zacząć ćwiczyć. Wyobrażam sobie braki w twojej technice...

Larst nie ma czasu mu przerwać. Uprzedzają go nieporadne słowa Joanny:

— Braki w technice... — drewniany, monotony głos.

— Co się tak przyglądasz — dziwi się Moraę, nieświadomy spustoszeń w jej pamięci, mimo że przed kilkoma zaledwie minutami uprzedził go o tym profesor. — Powinnaś zabrać się do roboty.

— Tak, oczywiście — dziewczyna jest bliska łez. Gorączkowo przypomina sobie wszystkie nauczone fakty ze swego życia. — Będę tańczyła...

— Będiesz wielką tancerką...

— Będę wielką tancerką — powtarza jak echo słowa, które nic dla niej nie znaczą, nie budzą żadnych skojarzeń. Czuje zmęczenie i niechęć do tego obcego człowieka, który jest jej ojcem, ale który ją nic nie obchodzi. Uważa, że jest natarczywy i zbyt hałaśliwy.

Moraę spostrzega wreszcie, że coś jest nie w porządku.

— Co ci jest, Joasiu? — potrząsa ją za ramiona; zwała się na niego niedawne przażenie.

Joanna ma już dość tego — zmęczył ją poprzedni wysilek, wrażenia związane z naszymi, a teraz to udawanie...

— Idź już... tatek. Jestem bardzo zmęczona... Widzisz, jeszcze

niezupełnie wyzdrowiałam. Szybko się nużę.

Larst gwałtownie wyprowadza oniemiałego Moraga.

— Ona mnie wcale nie poznała — splywa na niego okrutne olśnienie.

— Nie poznała pana — sucho stwierdza Larst.

— Czy ona... wyjdzie z tego?

— Mamy taką nadzieję. Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby wróciła jej pamięć. Dzisiejsza pana wizyta była zaaranżowana w tym celu- Niestety, nie dała rezultatu. Zachował się pan... niedelikatnie — dodaje — tak nie wolno.

— Takich środków używa pan do jej rehabilitacji? — krzywi się Morag, nie zwracając uwagi na wymówkę profesora. — Przecież to prymitywne... naszyjnik! — prychnął z pogardą. — Ile potrzeba pieniędzy na przyzwoite leczenie? Proszę się nie krępować, stać mnie na to, żeby ratować jedyne dziecko. Stać mnie na podwojenie, potrojenie najwyższego honorarium, jakie otrzymał pan kiedykolwiek w swej praktyce.

Larst czuje do tego człowieka nieprzepartą antypatię. Powstrzymuje się od wyrzucenia go za drzwi tylko dlatego, że to ojciec Joanny.

— To nie kwestia pieniędzy — sili się na cierpliwość. — Joannę leczą... — wymienia szereg tytułów i nazwisk liczących się w medycynie.

— Ale przecież istnieją inne, bardziej nowoczesne środki — nastaje Morag, uspokojony nieco tytułami naukowymi lekarzy zajmujących się jego córką.

— Wszystkie inne środki zostały wyczerpane — twardo akcentuje profesor, powstrzymując wściekłość.

— Więc pan nie jest pewien, że to jej minie?

— Nie — Larst nie ma zamiaru oszczędzać tego gruboskórnego człowieka. — W pewnych przypadkach medycyna jest bezsilna.

— Jeżeli ta utrata pamięci pozostanie jej na stałe to... czy będzie mogła tańczyć? uprawiać z powodzeniem swój zawód?

— To się okaże... proszę pana — cedzi Larst, wyprowadzony z równowagi. — Odnoszę wrażenie, że najbardziej niepokoi pana los dalszej kariery córki. Na czym panu więcej zależy: na jej zdrowiu czy na karierze?

— Jej zdrowie to również jej pow/odzenie — oświadcza nie stropiony Morag. — Nie mogę się pogodzić z myślą, że moje dziecko, rozumie pan, moje jedyne d z i e c k o , może pozostać do końca życia

jakims... głupkiem.

— Przypadek Joanny nie jest chorobą psychiczną. Jeżeli nie będzie mogła być tancerką, jest dość młoda i inteligentna, aby opanować inny pożyteczny zawód.

Morąg nieruchomości z wrażenia, wreszcie stwierdza z nieprzyjemnym spokojem:

— Ona b ę d z i e tancerlta, pozostanie na scenie wbrew pana opiniom. Nie pozwolę jej zepsuć kariery bez względu na to, czy odzyska pamięć, czy nie. Kategorycznie żądam wypisania jej ze szpitala. Jest zdrowa — a do stosowanych przez pana metod rehabilitacji nie mam zaufania. Zresztą sam potrafię stosować podobne, a może i lepsze od tych, które tu dzisiaj widziałem.

— Proszę wyjść i nie pokazywać się w klinice — pryska spokoj Larsta. — W przeciwnym wypadku postaram się zapewnić córce warunki do leczenia przy pomocy prokuratora.

— Przepraszam. Uniosłem się. Pan wybaczy, jestem okropnie nieszcześliwy — Alorąg natychmiast pokornieje.

Zespól lekarzy orzeka wreszcie, że jedyną n,adzieją rehabilitacji Joanny może być tylko przypomnienie jej, gwałtov/- ne przypomnienie, miejsc, zdarzeń, sytuacji, które mogły na niej wyrzeć kiedyś głębokie wrażenie.

— Wracamy do metod naszych dziadków — stwierdza Larst. — Liczymy na przypadek, jesteśmy bezsilni, za mało wiemy...

— Współczesna medycyna, kolego — wzrusza ramionami profesor Herbst — przypomina w niektórych gałęziach czło- v/ieka, który za pomocą młotka usiłuje naprawić precyzyjny mechanizm.

Larsta drażni ten truizm, mimo że przyznaje rację profesorowi. On, Larst, jest tym człow'iekiem z młotkiem.

Przedstawia kolegom propozycję terapii Joanny, uwzględniając ich opinie. Wie, że nie spocznie, zanim nie wyczerpie wszelkich możliwych środków, dopóki pozostanie chociażby cień nadziei.

Najpierw zawozi Joannę do Jej domu. Morąg sili się na uprzejmość, zdaje sobie sprawę, że Larst, szorstki i niechętny w stosunku do niego, jest niesłychanie oddany jego córce.

Wnętrze mieszkania nie robi na dziewczynie żadnego wrażenia. Przyjmuje informacje, że to jest jej dom. Bez cienia sentymentu, raczej z uczuciem ulgi, wychodzi z profesorem, obdarzając swego ojca zdawkowymi grzecznościami.

Następna próba — to Opera. Larst myśli z przykrością, że powinien porozmawiać z Różą, aby omówić powtórzenie morderczych 11 ćwiczeń, jakie stosowała na próbach z Joanną. Ale buntuje się w nim

v/szystko na myśl, że będzie musiał widzieć się i rozmawiać z żoną. Z trudem decyduje się na tę wizytę.

Róża jest zaskoczona jego przybyciem. Przez chwilę opacznie tłumaczy sobie obecność Jerzego w swym nowym mieszkaniu. Już postanowiła: nigdy nie pojedna się z tym człowiekiem, który opuścił ją w najtrudniejszym okresie jej życia.

Ale już pierwsze słowa Larsta rozwiewają jej wyobrażenia — Jerzy nie przyszedł prosić o pojednanie. Róża czuje niejasny zawód i natychmiast kipi w niej złość, upokorzenie. Błyskawicznie podejmuje decyzję — nie spełni ani jednej prośby Jerzego. Nigdy. W tej chwili jest dawną Różą z czasów międzynarodowych sukcesów; samolubną, egocentryczną, mściwą i okrutną.

— Odmawiam wszelkiego udziału w twoich eksperymentach,
Jerzy — głos dźwięczy jak szkło.

— Masz zobowiązania moralne względem tej dziewczyny.

— To ty i ona macie moralne zobowiązania względem mnie.

— I ty chciałaś mnie przekonać o swojej niewinności — mówi z pogardą Larst. — Zachowujesz się jak potwór... Przecież tu chodzi o zdrowie człowieka, którego skrzywdziłaś...

— Twoje opinie o mojej niewinności czy winie nic mnie nie obchodzą. Jesteś dość dobrym lekarzem, żeby ją wyleczyć bez mojej pomocy, a na dobrych chęciach ci nie zbywa.

— Rózo...

— Żegnam pana ■— tancerka wstaje.

Larst, pełen żalu do żony, wybiega z mieszkania. Róża przez krótki moment przeżywa coś na kształt triumfu, nasyconej zemsty. Po chwili ogarnia ją niepokój, jakaś wewnętrzna pustka i niejasne uczucie niezadowolenia. Nie ma czasu zastanawiać się nad źródłem tego niesmaku, gdyż dzwoni major Korosz. Sucho zawiadamia, że oczekuje ją na Puławskiej w Komendzie.

Major jest rzeczowy. Bez wstępów zadaje pytanie:

— Dlaczego odmówiła pani pomocy w eksperymencie profesora Larsta?

— To o to chodzi! — W Róży rośnie upór. — Jerzy przyszedł do pana na skargę.

— Zachowuje się pani jak dziecko. Jak nierozumne dziecko.

— Nie jestem lekarzem, tylko baletnicą — niemądrze wykręca się Róża.

— Profesor Larst nie oczekuje od pani pomocy w dziedzinie medycznej. Proszę nie udawać, że pani nie rozumie — major mówi szorstko, rośnie w nim rozdrażnienie i niechęć do Róży.

— Nie będę im pomagać — wybucha primabalerina. — Skrzywdzili mnie tak, że bardziej nie można skrzywdzić człowieka. Zburzyli mi życie. Doszczętnie.

— Nie będziemy tutaj rozstrząsać wyrządzonych sobie wzajemnie przez państwa krzywd. Potrzebna jest pani pomoc przy eksperymencie, który może przywrócić pamięć Joannie.

I to jest w tej chwili najważniejsze.

Róża milknie, unikając uporczywie wzroku majora.

— Czyżby pani zależało na tym, aby Joanna nie odzyskała pamięci? Czyżby pani bała się jej?

— Dlaczego mam się bać?

— Ta dziewczyna mogłaby stwierdzić, kto do niej strzelał.

Róża błędnie i wpatruje się w majora.

— Adwokat, którego się pani radziła, niewątpliwie wyjaśnił pani, że na podstawie dotychczasowych danych może mieć pani proces poszlakowy.

— Nie zasięgałam opinii adwokata — kłamie diwa.

— Owszem, zasięgała pani — przerywa major. — Robi pani wszystko, łącznie z tym kłamstwem, aby obciążać siebie w'szelkimi

możliwymi sposobami, żeby ściągnąć na siebie jak największą ilość podejrzeń, jakby te, które już są, były nie dość ciężkie...

— Powinien pan mieć trochę dobrej woli...

— Mam jej nadmiar. Stoimy przed alternatywą: albo pani jest niesłuchanie naiwna i dla swoich małych, bardzo brzydkich racji nie chce udzielić pomocy profesorowi, albo boi się pani, że Joanna w chwili odzyskania pamięci wskaże panią jako swego niedoszłego zabójcę. Chciałbym wierzyć w to pierwsze, ale pani robi wszystko, aby mi tę wiarę odebrać.

— Wcale bym się nie dziwiła, gdyby przez zemstę to zrobiła — mówi Róża pobielalymi wargami.

— Myślę, że przypisuje pani własne cechy innym ludziom — chmurzy się major.

6. Wiosenna burza

— Czy będzie panu przeszkadzało, panie profesorze — mówi z namysłem major — gdyby na eksperymencie, który pan przygotowuje, byli wszyscy obecni wówczas na generalnej próbie?

— Mnie osobiście to niezbyt dogadza. Sensacja... — Larst myśli o Joannie i Róży.

— Sensacji i tak pan nie uniknie. Kilka osób więcej czy kilka mniej... komentarze w środowisku nieuniknione.

— Zależy panu na tym, majorze?

— Bardzo. Oczywiście, jeżeli to może przynieść szkodę dziewczynie, to... rezygnuję.

— Żadnej. Tylko nie jestem dokładnie zorientowany, kto wtedy był... — niechętnie ulega Larst.

— Ja natomiast świetnie — uśmiecha się inspektor. — Jeszcze jedno... — major namyśla się przez chwilę. — ^ Czy byłby pan skłonny tolerować kilku być może bardzo dociekliwych ludzi...

— Jeżeli nie będą przeszkadzali... Mówię o eksperymencie... Widzi pan, to ostatnia nadzieja na przywrócenie równowagi Joannie...

• — To taktowni ludzie — wyjaśnia inspektor. — Jednak może się zdarzyć, że zobaczy ich pan w najmniej spodziewanym miejscu, proszę wtedy nie zwracać uwagi. Mogę na pana liczyć?

— Pan będzie wśród tych taktownych osób? — Larst jest trochę ubawiony ostrożnymi sformułowaniami majora.

— Nie — potrząsa głową inspektor. — To będą ludzie nikomu nie znani. Ja nie nadaję się do tego rodzaju funkcji.

— Co oni będą robili, majorze?

— Nic tajemniczego. Obserwacja reakcji ludzi obecnych na sali.

— Rozumiem. Może pan na mnie liczyć. Zapewniam, że nie zauważę żadnego z pańskich taktownych ludzi. Ja również mam prośbę... — Larst milknie, niełatwo mu przychodzi wypowiedzenie tej prośby.

— Domyślam się. Pan podejrzewa swoją żonę? Pan jest przekonany o winie pani Róży.

— Tak. Chciałbym uniknąć rozgłosu ze względu na syna. Wyślałem go do Krakowa, do znajomych... w środku roku zmieniliernu szkołę. Trzymam go z daleka od tego skandalu, to zbyt ciężkie brzemie na barki piętnastoletniego

11 — **Naszyjnik z hebanu** chłopca. Chciałbym, aby mimo wszystko zachował szacunek dla matki. On sądzi, że Róża jest na *tournee*...

— Nie podejrzewam pana żoily... To znaczy ją biorę pod uwagęQ jako ostatnią z podejrzanych osób.

— Jest pan uprzejmy, majorze, ale...

— To nie uprzejmość. Proszę pamiętać — inspektor uśmiecha się leciutko — że to nie pierwsza sprawa, którą prowadzę w swojej karierze śledczej. Miałem okazję poznać nieco ludzi.

— Pan może się mylić.

— Mogę.

— Ma pan konkretne podejrzenia względem innej osoby? — profesor sąduje inspektora wzrokiem.

— Być może.

Tego samego dnia po południu, w sali prób baletu Róża Larst w czarnych trykotach stoi oparta o pianino. Pali papierosa. Na sali są jeszcze: muzyk, który siedzi nad otwartą klawiaturą, solista grający Romea i profesor Larst.

— Różo — profesor podchodzi do żony — bądź bardzo surowa, tak surowa, jak nigdy dla nikogo nie byłaś podczas ćwiczeń.

— Bądź spokojny, będę bardzo surowa — powtarza z rezygnacją tancerka — jeżeli ona w ogóle będzie ćwiczyć. Jeżeli nic nie pamięta... Próbowałaś przynajmniej, czy ona potrafi chociaż jedno *pas*?

Larst nie ma czasu na danie odpowiedzi. Na salę wbiega Joanna takim krokiem, tak pewnie, jakby ją opuściła przed chwilą.

Gwałtownie zatrzymuje się na środku — wygląda przez moment na zagubioną w tej wielkiej, pustej sali.

Larst denerwuje się, niepewny, czy Róża zechce i potrafi uchwycić moment, czy nie popsuje mu koncepcji, którą przemyślał w szczegółach. Jest zupełnie bezradny, zdany na dobrą wolę swej żony. Róża działa bezbłędnie — nie pozwala ochłonać Joannie. Podnosi dłoń, daje znak pianście.

Zwraca się do Joanny ostro, władczo. Jej słowa brzmią jak komenda.

Joanna stoi niezdecydowana, ale pod wpływem kategoriycznego brzmienia tego głosu i dźwięków pianina prawie bezwiednie przyjmuje wyjściową pozę, jakby za chwilę miała zrobić pierwsze *pas*. Nie może jednak oderwać oczu od twarzy Róży. Trwa t-o sekundę, ale zdezorientowany pianista urywa frazę.

W naglej, złowrogiej ciszy spada głos Róży;

— Czy pozwoliłam panu przerwać? — odwraca się ze wściekłym spokojem do przerażonego muzyka, który dobrze zna nieokielznane wybuchy di wy. Róża nie odstępuje od swoich dawnych zwyczajów. Robi to tak dobrze, że wszyscy, nie wyłączając Larsta, wierzą w jej udany gniew.

Joanna stoi zafascynowana wyrazem wściekłości na twarzy tej pięknej, złotowłosej kobiety.

— Akompaniament, proszę! — znów ton bezwzględnej władczyni. Do Joanny: — Solistka... ćwicz!

Kategoriyczny rozkaz dźwięczący w tym ostrym głosie sprawia, że Joanna zakreśla kilka nieporadnych, lękliwych *pas* na lśniącem parkiecie posadzki, a potem, wyzwolona nagle, płynie, unosi się nad

podłoga w lekkich piruetach zakochanej Julii Capulettich...

Róża czuje skurcz w gardle. Nie może powstrzymać łez, które pozostawiają dwie wilgotne smugi na jej policzkach. Czuje teraz litość dla tej dziewczyny wirującej po sali. Stara się nie poddawać ogarniającemu ją wzruszeniu, narzuca tempo — tak jak żądał tego jej mąż. Stawia surowe, niesłuszne wymagania.

— Żle! — przekrzykuje pianino, łykając łzy. — Żle!! Stop! — zatrzymuje pianistę.

Jej gwałtowna furia spada na Joannę. Larst zaciska dłoń i budzi się w nim coś na kształt podziwu dla tej udręczonej kobiety, która z takim samozaparciem i konsekwencją powtarza swe dawne niechlubne metody, aby tym razem pomóc dziewczynie, której nie znosi.

— Przyjrzyj się, Joanno! — żąda Róża i powtarza kilka fraz partii Julii.

Profesor Larst myśli, że ten taniec Róży jest jej piekłem. Co prawda ona nie tylko pomaga Joannie — zastanawia się — pomaga przecież i sobie. Jeżeli dziewczynie powróci pamięć, Róża odzyska swoje dobre imię — uspokaja sumienie profesor i nie bardzo już wierzy w winę żony.

— Powtórz, Joanno — Róża zastyga w końcowym *pas*.

Joanna znów z dawnym uporem interpretuje tę scenę po swojemu. Nagle zatrzymuje się i siada na podłodze.

— Muszę odpocząć — usprawiedliwia się, zdyszana. Wierchem dłoni ociera spocone czoło.

Tylko chora Joanna mogła złamać dyscyplinę ćwiczeń i spokojnie usiąść na podłodze. Nigdy przedtem nie zrobiłaby tego.

Róża wzrokiem szuka pomocy u profesora. Takiej sytuacji nie przewidziała. Larst daje jej przyzwalający znak dłonią.

— Odpocznij — zgadza się szorstko Róża. — Chodź, przebierzesz się. Do rozpoczęcia generalnej próby pozostało piętnaście minut — znów ostry, władczy ton sprawia, że Joanna bez słowa protestu poddaje się nakazom diwy.

Pierwszy akt baletu na .scenie, w pełnych dekoracjach, odbywa się tak jak owego pamiętnego dnia, gdy za kulisami znaleziono tę małą tancerkę ze śmiertelnym postrzałem głowy.

Róża siedzi w pierwszym rzędzie na widowni — czujna, napięta. Siedzi ruchy Joanny na scenie. Tylko wytrawne oko może dostrzec nieporadności jej tańca, spowodowane brakiem ćwiczeń od wielu tygodni. Końcowe sceny Joanna wykonuje z Viryraznym wysiłkiem —

to też oznaka braku treningu.

Profesor nie pozwala na odpoczynek: tempo, tempo. Trzeba w krótkim czasie nawarstwić jak najwięcej wrażeń, sytuacji, które już były, które już przeżyła. Możliwie jak najdokład*- niej je powtórzyć.

Zabiera Joannę za kulisy — nikt ze zgromadzonych ludzi nie ma odwagi pośpieszyć ich śladem. Rezerwa i chłód Larsta trzyma wszystkich ciekawych z daleka.

— Prowadź, Joanno, do swojej garderoby — żąda Larst. — Znasz drogę.

— Wydaje mi się, że znam — zgadza się dziewczyna i wolno, z wahaniem robiąc następny krok prowadzi profesora korytarzem. — Wydaje mi się, że znam tu każdy kącik...

— Idź — prosi Larst. — Idź i nic nie mów.

Dziewczyna posłusznie milknie i, rozglądając się wokół, idzie w kierunku rekwizytorni.

Dobrze — myśli Larst, który dokładnie poznał rozkład zaplecza sceny. O kilka kroków przed nimi stoi w zagłębieniu korytarza wielki, srebrzystobiały łabędź Lohengrina. Jeszcze tylko kilka metrów i zrównają się z królewskim, lekko zakurzonym ptakiem.

— Co tu... — zaczyna Larst.

Ale przerażenie wtlacza mu resztkę słów w krtań. Joanna kurczowo chwytą się ramienia Jerzego i wydaje pełen grozy, nieludzki krzyk, potem jak oszalała przywiera do profesora.

W łabędziu Lohengrina poruszyło się coś, błyskawicznie prostuje się jakaś postać — wyciągnięte ramię z ciemną lufą pistoletu mierzy w stronę profesora.

Larst, nie bardzo zdając sobie sprawę, co robi, z całej siły podbija tę rękę.

— Auu! — wydaje głos lokator łabędzia — ale pan profesor ma wykop jak napastnik z „Legii” — mężczyzna zręcznie wyskakując z łabędzia, nie przestając rozcierać ręki.

Larst przytula przerażoną i bladą Joannę — ogarnia go furia.

— Kim pan jest? — jedną ręką zgarnia kłapy intruza, który nie zdradza już żadnych złych zamiarów.

Mężczyzna na pozór łagodnym ruchem ręki uwalnia się z uchwytu profesora — Larst czuje mrowie w nadgarstku.

— Pardon! Za mocno? Naprawdę nie chciałem. Szanuję pańskie cenne ręce, ale od urodzenia nie lubię, jak mi ktoś niszczy ubranko, pan rozumie... alergia. Proszę się nie gniewać — dodaje pojednawczo — zaraz wszystko wyjaśnię.

Larst domyśla się, kogo ma przed sobą.

— Pan jest jednym z „taktownych” majora Korosza?

— Do usług — pochyła się w przesadnym ukłonie mężczyzna i prezentuje Larstowi odznakę służby wywiadowczej.

— Po jaką cholere pan tu wlaź? Kto panu na to pozwolił? — 16!

krzyczy Larst.

— Ciii — przykłada palec do ust wywiadowca — kto pana nauczył zadawać takie pytania? — gorszy się obłudnie. I, zanim zaskoczony tą bezczelnością profesor zdążył coś odpowiedzieć, wywiadowca znika, rozplywa się niczym duch Opery.

— Usiądźmy gdzieś — prosi Joanna.

Larst prowadzi ją do pokoju, który został mu oddany na czas eksperymentu. Joanna opada na fotel. Siedzi milcząca, z przymkniętymi oczyma.

Uchylają się drzwi i do gabinetu wsuwają się kolejno: Róża, Olech, lekarz Opery i Lidka F. — druga Julia, dublerka Joanny.

— Joasiu — nad dziewczyną pochyla się Paweł Olech; ze współczuciem gładzi ją po głowie.

Joanna podnosi na niego szkliste, nie widzące oczy — tłumি szloch.

— Jest pan na pewno znajomym — szepcze — dzisiaj tylu ludzi mówiło do mnie po imieniu... a ja nic, jak ślepa, ani jednej twarzy, którą bym znała, ani jednej, którą mogłabym sobie przypomnieć... Jak ja mam żyć?

— Jestem baletmistrem, twoim nauczycielem, Joanno.

— Dobrze... Róża Larst, Lidka F., koleżanka z zespołu, mój profesor... zapamiętam — obiecuje apatycznie. — Jak pan myśli, czy z tym upośledzeniem przyjmą mnie z powrotem do baletu, przecież nic innego nie umiem robić?

W klinice, gdy Joanna zasypia po wrażeniach męczącego dnia, Larst dzwoni do majora Korosza; oburzony opowiada niu o incydencie w Operze. Inspektor usprawiedliwia się. Wzywa Cieślika.

— Poruczniku, kto zrobił ten nieodpowiedzialny wyglup w teatrze? Cieślík, nie patrząc na inspektora, długo usuwa jakiś niewidoczny pyłek ze swojej marynarki.

— Nic wam nie wiadomo o facecie w łabędziu — cedzi rozszluszczony major. — Pytam jeszcze raz, kto...

— *Ego* — ze skruchą przyznaje Cieślík.

Major zaniemówił, podejrzliwie przygląda się wywiadowcy.

— Czy wy macie dobrze w głowie?

— Przypuszczam, że tak.

— Kto wam pozwolił to zrobić?

— Jak powiem, że Duch Święty, to major nie uv/ierzy — mruczy Cieślík.

— Ręce opadają. Jak ja mam z wami pracować?

— Chciałem dopomóc Larstowi — oświadcza poważnie wywiadowca.

— Przecież to miał być dla tej małej wstrząs, tak? A co to za wstrząs:

fikanie nogami, wrzaski tej his... przepraszam, primabaleriny i spaceru po korytarzach pod rękę z Larstem?

— Sądźcie, poruczniku, że lepiej znacie się na neurologii od Larsta?

— Nie. Ale sobie co nieco poczytałem na ten temat... pa sjonujące, zalecam majorowi do poduszki. Trzeba wiedzieć, że medycyna notuje niezwykle rzadko przypadki zupełnej niepamięci, przy zachowaniu całkowitej sprawności umysłowej i fizycznej. *

— Sądźcie, że Larst nie zna tych wyczytanych przez was rewelacji? — parska major.

— Ja nie mówię, że nie zna— cierpliwie tłumaczy Cieślik. — Ale on jest zakochany. Libido ogłupia, czyżby mój nieoceniony zwierzchnik o tym nie wiedział? — Cieślik słodko mruży oczy. — No i profesor Larst, nie mając perspektywy spojrzenia ze względu na swe skłonności, podświadomie mógł wykluczyć taki rodzaj wstrząsu jako zbyt okrutny, uważając że to, co robi, jest wystarczające...

— A genialny Cieślik postanowił skorygować błąd profesora medycyny o światowej sławie i wlaź do starego rekwizytu.

— Nie zaprzeczam, że jestem genialny — zgadza się Cieślik. — I nie zaprzeczam, że skorygowałem błąd Larsta. Mój pomysł był końską kuracją — przyznaje — na którą Larst w stosunku do tej dziewczyny nie zdobyłby się nigdy i tu leży feler. Lekarze nie powinni zajmować się kuracją swoich kochanek...

— Cieślik, opinie na temat kochanek później. Dobrze?

— Dobrze — wywiadowca jest uosobieniem zgody.

— Co wam z tego przyszło oprócz wytarcia kurzu ze starego rekwizytu?

— Majorze, ona chyba odzyskała pamięć.

Inspektor przez chwilę w milczeniu ostentacyjnie ogląda wywiadowcę.

— Rozumiem wreszcie, po co wlaźeś do tego labędzia — cedzi major — ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak bezczelnie łiesz.

— Nie kłamie. Odniosłem wrażenie, że ona odzyskała pamięć.

— Dlaczego Larst nie odniósł takiego wyrażenia, tylko ty i to w tak krótkiej chwili?

— Larst jest zbyt wypełniony swoją wiedzą medyczną. Widzi major, człowiek posiadający ogrom wiadomości w jakiejś dziedzinie uwzględnia tyle możliwości, że czasami może się pomylić... — mętnie tłumaczy wywiadowca.

— Nie ro-zu-miem.

— W tym, co sobie poczytałem — ciągnie Cieślik — stoi napisane

jak byk: ...w takich wypadkach człowiek może symulować zanik pamięci częściowej, na w'yrywki, całkowitej, a także w kratkę, a żaden najlepszy nawet specjalista, stado specjalistów łącznic z całą teclnika, impulsami i w ogóle, nie udowodni mu tego.

— Nie udowodnić a nie wierzyć to różnica.

— Ale Larst nasiąknięty jest jak gąbka wiedzą o niewiedzy medycyny na ten temat. Poza tym mnie trudniej oszukać, bo ja kocham wszystkie blondynki, a on właśnie tę brunetkę. Kape?

— Chcecie powiedzieć, że dziewczyna przypomniała sobie wszystko i z jakichś względów nie chce się do tego przyznać nawet przed kochanym mężczyzną?

— Ja majora wprost uwielbiam za bystrość i inteligencję — Cieślik składa błazeński ukłon. — Właśnie od godziny usiłuję wam to wytłumaczyć.

— Ale dlaczego, jaki może mieć w tym cel?

— Właśnie. Mnie różne myśli chodzą po głowie, ale samemu mi się wydają takie jakieś nie bardzo...

— Wal, Cieślik, tyle już naplotłeś, że dalsze głupstwa nie zrobią na mnie większego wrażenia — mówi lekko major, ale sam jest coraz bardziej zainteresowany mglistą jeszcze co prawda koncepcją wywiadowcy.

— Mnie to bezpośrednio wiąże się z mordercą, ale dlaczego? — biedzi się porucznik. — Ona chyba przypomniała sobie mordercę i... albo go kocha...

— Larst mordercą? Cieślik, to już naprawdę niemożliwe. Przecież wiesz dokładnie, że w czasie wypadku on był w klinice w towarzystwie licznego zespołu ludzi. Przecież nie zdematerializował się ani nie rozdziwił. Nawet medycyna nie zna takich przypadków.

— Nie Larst — protestuje porucznik. — Czy tylko kocha się chłopca, majorze? Można kochać ojca, brata, ciotkę...

— Prababcię... — przerywa inspektor.

■ — ...można się bać, można chcieć kogoś osłonić, można być zaszantażowanym. No, nie wiem — kończy Cieślik. — Mam takie mgliste przypuszczenia...

— Cieślik, koncepcja jest nieprawdopodobna...

— Ale jest — nadyma się porucznik.

— Jest. Trzeba to jednak sprawdzić. Jakie wrażenia macie oprócz tego? Jakie obserwacje z Opery? Nikt nie zwrócił waszej uwagi jakimś szczególnym zachowaniem?

— Owszem, Róża Larst. Reszta siedziała i gapiała się jak na dobry spektakl, tym lepszy, że w amatorskim wykonaniu profesora

medycyny — to wszystko. Długo jeszcze ta dziewczyna pozostanie w szpitalu?

— Nie wiem, to zależy od Larsta.

W tym czasie profesor Larst siedzi u siebie w klinice. Właściwie dawno powinien być już w domu. Czeką na niego zaległa literatura fachowa, rozpoczęta praca. Odstępuje go myśl o pustce rozległej willi. Wszystko zaniedbał nie odstępując Joanny.

Myśl o Joannie nie opuszcza go ostatnio ani przez chwilę. Co zrobić z dziewczyną? — należy ją wypisać ze szpitala. Nic już więcej nie można dla niej zrobić. Każdy następny dzień w szpitalu jest dniem straconym. Opóźnia jej przystosowanie się, wejście w życie na nowo.

Profesor waha się. Tu ma ją blisko — może w każdej chwili czuwać nad nią. A tam?

Larsta nurtuje obawa, czy stała obecność ojca będzie miała dobry wpływ na samopoczucie dziewczyny.

Najchętniej zabrałby Joannę do siebie. Nie zastanawia się, czy dziewczyna przystałaby na taką propozycję. Gdyby przynajmniej złożył wniosek o rozwód z Różą, jego sytuacja osobista byłaby jaśniejsza, ale tak? Larst czuje, że nie może teraz, przed wyjaśnieniem winy lub niewinności Róży, starać się o rozwód.

Nazajutrz z samego rana, z ciężkim sercem poleca wypisać Joannę ze szpitala.

— Joanno, dzisiaj idziesz do domu — mówi z udaną wesołością.

— Nie chce pan mnie już dłużej w klinice?

— Nie chcę, ale chętnie będę cię odwiedzał w domu.

— Okropnie nie lubię domu.

— Tale ci się tylko wydaje. Masz wspaniały dom, kochającego ojca, no i... mnie na dodatek. Poza tym masz teatr.

— Nie będę tańczyła.

— Powinnaś coś robić, Joanno. To nie znaczy, że koniecznie musisz tańczyć w balecie.

— Rozumiem. Pomyślę, co będę robiła. Dziękuję, panie profesorze — dziewczyna wstaje. — Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił — mówi ciepło, serdecznie. Jest opanowana, spokojna, jak gdyby podjęła wreszcie jakąś bardzo trudną decyzję.

W domu zachowuje się naturalnie, jakby opuściła go przed godziną.

— Dzień dobry, tatek — wita Morąga. — Gdzie mnie zainstalujesz?

— Przecież masz swój pokój — dziwi się wzruszony Morąg. Przeszywa go myśl, że to dla niej nie jest takie oczywiste.

Joanna nie odpowiada. Ponuro, badawczo obserwuje ojca.

— Chodź — Morąg chce zatrzeć tamto wrażenie. Boi się, że wyrządził jej przykrość; pośpiesznie wprowadza córkę na pięterko.

— Dziękuję, zostaw mnie .sama, muszę się rozgościć — okrasza te słowa bladym uśmiechem.

Morąg bez protestu wycofuje się za drzwi. Schodzi na dół, staje pod pokojem Joanny. Nasłuchuje. Lekkie kroki, chyba wyszła do łazienki, znów kroki — odgłos zamykanych drzwi. Cisza.

Ciekną minuty. Stary zegar, przedwieczny czasomierz z wagami i kukułką — który kupił kiedyś na skutek gorących próśb Joanny — wybija kwadrans. Kukulka z chrobotem starego mechanizmu ogłasza godzinę; znów kwadrans, następna godzina. Na górze martwa cisza. Morąg nie może już tego dłużej znieść.

Idzie do kuchni, przygotowuje kanapki, ustawia na tacy jakieś wino, dzbanek z kawą i v/ędruje na piętro. Puka, ale nie czeka na sakramentalne słowo „proszę”, boi się, że ono nie padnie.

Joanna leży z rękoma pod głową i patrzy w sufit.

—7 Przyniosłem coś do zjedzenia — ustawia tacę w pobliżu tapczana.

^

— Dziękuję za troskliwość, ale nie jestem głodna.

— Źle się czujesz? — Morąg niepewnie patrzy na córkę.

— Dobrze, zupełnie dobrze.

— Może nie pójdę dzisiaj do pracy...

— Dlaczego masz nie iść?

— Wymagasz opieki.

— O, jeżeli o to chodzi, to wymagałabym opieki całe życie. Musisz się do mnie przyzwyczaić, tylko obawiam się, że to nigdy nie nastąpi. Musisz zdać sobie sprawę, że inna nie będę, rozumiesz? Twoja córka, tamta twoja córka — nie żyje.

— Dramatyzujesz, Joanno. Wydaje mi się, że powinnaś szybko zacząć pracę, natychmiast poczujesz się lepiej. Spróbuj, już rozmawiałem w teatrze...

— Jaką pracę?

— Przecież mówię, że w teatrze. W balecie, córeczko. Już rozmawiałem w dyrekcji... czekają na ciebie.

— Nigdy nie będę tańczyła — mówi bardzo stanowczo Joanna. — Zapamiętaj to sobie i nigdy nie wspominaj mi baletu.

— Ale dlaczego?

— Czuję się tam źle, nie pamiętam ani jednej ludzkiej twarzy. Co z tego, że pamiętam taniec... muzykę.

— Co ci to szkodzi, dziecko?

- Szkodzi. Może tobie nie szkodzi. O, tobie nie szkodzi wiele innych rzeczy... — dziewczyna powściąga swój nagły wybuch.
- Joanno, przyzwyczaisz się — perswaduje Morąg. — Nie możesz marnować tylu lat nauki, pracy, starań...
- Jeżeli chcesz, żebym pozostała w tym domu, to nie wspominaj mi o balecie, rozumiesz?
- To twoja nieodwołalna decyzja?
- Nieodwołalna.
- Joasiu, dziecko...
- Czy ty mi pozwolisz spokojnie wegetować?! — dziewczyna zrywa się z tapczanu.

Kukulka w jadalni na dole odlicza godzinę. Jej schryplę: kuku! słyhać w całym domu. Zapadł wieczór — Morąg spostrzega, że już czas na niego. Pójdzie do pracy — to nawet chyba lepiej. Joanna musi przyjść do siebie. Niepotrzebnie zaczynał tę rozmowę o teatrze właśnie dziś.

- Muszę iść, Joasiu.
- Dobranoc, ojcze.

Joanna leży nieruchoma, z oczyma wbitymi w sufit. W napięciu pilnie śledzi odgłosy dochodzące z dołu. Morąg krząta się w kuchni — szum wody, dźwięk naczyń, kroki w przedpokoju. Szczęk zamykanych drzwi, chrobot przekręcanego klucza, szmer stóp na żwirze — trzask furtki — cisza.

Dziewczyna podnosi się z tapczanu. Nasłuchuje przez moment — pierwsze, ciężkie krople deszczu — zapowiedź wiosennej burzy — uderzają o szyby. Joanną wstrząsa dreszcz.

Cicho stąpa po schodach, sprawdza zamek wejściowych drzwi — zakłada ciężki łańcuch. Obiega całe mieszkanie, zaglądając we wszystkie kąty. Uspokojona nieco, zaciąga szczelnie zasłony w oknach dwóch pokoi na parterze. O szyby bębni ulewa — po świetle błyskawic przetaczają się grzmoty.

Joanna stoi na środku pokoju ojca i rozgląda się, jakby miała zamiar przeprowadzić inwentaryzację, a następnie zaczyna poszukiwania.

Na pierwszy ogień idzie szafa, zwykła szafa w ścianie z wysokim pawlaczem i półkami u dołu. Joanna metodycznie przeszukuje półki schowka. Robi to tak, by nikt nie zorientował się, że była tu przeprowadzona szczegółowa rewizja. Dziewczyna najpierw ogląda sprzęt, który ma zamiar zrewidować. Wzrokowo ustala, w jakim porządku poukładane są przedmioty, utrwała sobie ten obraz przez dobrą chwilą, by później zacząć kontrolę, która odkryć ma wszystkie

tajemnice, jakie powierzyć jej mogą martwe przedmioty.

Joanna jest niezmordowana. Szafa przestała już ją interesować. Teraz układa wszystko z powrotem, bez zniecierpliwienia, pamiętając o zachowaniu pedantycznego porządku i sposobu ułożenia bielizny, ubrań, drobiazgów.

Sygnal telefonu — Joanna zastyga w bezruchu — chce go przeczekać, przetrzymać. Telefon uporczywie alarmuje.

Deszcz wali o szyby z wiosenną furją.

Jest coś niewytłumaczalnego, co zmusza człowieka do podjęcia słuchawki telefonu. Joanna z mieszaniną opoj'u, złości, przjmnsu i lęku podnosi słuchawkę.

— Joanno — uradowany głos.

— Dom... pana Grzegorza Morąga — ceremonialnie mówi dziewczyna.

— Joasiu..;

— Pana Morąga nie ma w domu — jak automat stwierdza Joanna.

— Ja nie do pana Morąga, chcę rozmawiać z tobą.

— Słucham...

Z tamtej strony słuchawki krótka konsternacja i zaraz:

— Joanno, mów...

Dziewczyna delikatnie kładzie słuchawkę na widełki. Telefon za chwilę zachłystuje się terkotem, alarmuje jak oszalały. Joannę denerwuje ten uporczywy sygnał. Zdejmuje buczącą słuchawkę, odkłada na bok, przyciska poduszką. Nareszcie spokój, cisza.

Dziewczyna powraca do swego przerwane go zajęcia.

Upłynęło sporo czasu, zanim przejrzała wszystkie zakamarki obszernego mieszkania. Nie ominęła nawet własnego pokoju.

— Piwnica i garaż — mruczy do siebie Joanna. Do suterenu prowadzi strome stopnie z hallu.

Przeгляд piwnicy nie trwa długo — jest w niej dość pusto.
Pozostał garaż — namyśla się Joanna, wsłuchując się w szum
ulewy, która z uporem atakuje szyby.

Znów zaczyna poszukiwania, tym razem szuka kluczy od garażu.
Zbiera wszystkie klucze, jakie tylko może znaleźć, i narzuca
deszczową pelerynę. Gasi światło, wędruje od okna do okna, przystaje,
uchylając zasłony, i obserwuje ulicę niewyraźnie majaczącą za ścianą
deszczu.

Gdy otwiera drzwi, wiatr szarpie i owija wokół niej folię
deszczowca — krępuje ruchy. Zniecierpliwiona Joanna zdejmuje i
ciska pelerynę do wnętrza — zamyka drzwi.

Zanim pizbiega kilka kroków dzielących ją od garażu, jest
przemoczona do ostatniej nitki. O mało nie przewraca się o pojemnik
na śmieci, który stoi opodal zamkniętych wrót garażu.

Jest ciemno, Joanna wytęża oczy, próbując dopasować jeden z
rozlicznych kluczy, jakie zabrała z sobą — bez powodzenia. W
momencie gdy odgarnia włosy, z których ścieka jej na oczy woda,
słyszysz lekki trzask furtki, potem szmer kroków na żwirze.

Dziewczynę ogarnia panika — wstrzymuje oddech, przywiera do
drzwi garażu, ale zdaje sobie sprawę, że mimo ciemności jej sylwetka
odcina się na tle jasnej faktury wrót. Ostrożnie przesuwają się nieco
dalej i przykuca za pojemnikiem.

Mężczyzna w deszczowcu ociekającym wodą, z postawionym
kołnierzem i rękoma w kieszeniach wynurza się z mroku. Przystaje
pod domem i zadzierając głowę przygląda się oknu na piętrze. Powoli
odchodzi.

Dziewczyna szcękając zębami czeka jeszcze dobrą chwilę.
Kilkoma susami przebywa przestrzeń dzielącą ją od drzwi. Wpada do
hallu i rygluje wszystkie zamki. Wreszcie zmienia doszczętnie
przemoczone ubranie i ostrożnie uchyla zasłonę w oknie ciemnej
jadalni.

w wąskiej szparze odchylonej zasłony widzi tylko fragment
trawnika w smugach deszczu. Przybliżyła twarz do szyby. W tej chwili
błyskawica rozdziera horyzont oślepiającym zygakiem.

Joanna cofa się gwałtownie od okna. Pod powiekami ma jeszcze
obraz twarzy mężczyzny przywarłej do szyby. W upiornym, białym
świecie ociekająca strugami deszczu twarz, odcięta od reszty tułowia
ramą wysoko umieszczonego okna, sprawiała niesamowite wrażenie.

Joanna powstrzymała krzyk, ale ogarnia ją lęk. Stoi przez
moment mnąc w dłoni brzeg zasłony. Następnie pchana jakąś
złowrogą ciekawością — bezszelestnie skrada się do drugiego okna.

Znów wygląda ostrożnie przez szparę odchylonej story. Teraz widzi niewyraźną, majaczącą przez ścianę deszczu sylwetkę tamtego człowieka z podniesionym kołnierzem deszczowca.

Idź sobie, dlaczego tu wiesz jak sęp? — przemawia w myślach do tamtego pod domem.

Przycupnęła w pobliżu okna i nasłuchuje odgłosów z zewnątrz. Burza przetacza się powoli, gwałtowność deszczu słabnie, przechodzi w lekki, monotony szmer. Poprzez ten szmer Joanna słyszy skradające się kroki — raz są przy oknie, potem milkną, aby pojawić się gdzieś w okolicach drzwi. To znów wydaje jej się, że człapią po rozmiękłym trawniku od strony garażu.

Kukulka — wśród westchnień i chrobotliwych jęków starego czasomierza — ogłasza pierwszą godzinę nocy.

Joanna opanowuje rozdygotane nerwy, gorączkowo pracującą wyobraźnię, która podsuwa jej coraz straszniejsze, nie-samowite obrazy. Czuje się okropnie bezbronna i samotna. Tęskni do ludzi. Boże, żeby chociaż usłyszeć normalny ludzki głos! Przecież jest telefon — splywa na nią olśnienie.

Nakręca numer kliniki — słyszy kobiecy nieznajomy głos — prosi Larsta.

— Profesor Larst operuje — informuje tamta.

— Kiedy skończy operację? — nie daje za wygraną Joanna.

— Proszę zadzwonić rano... Czy pani wie, która jest godzina? — ziewa nieuprzejmy głos.

— Tak, wiem... ja... pani mnie nie zna? — jąka się Joanna.

— Nie znam. Dobranoc — stuk odkładanej słuchawki.

Znów tylko monotony szmer deszczu za oknami, przecucie czyjejs upartej, napawającej lękiem obecności pod domem i o samotnienie.

Muszę się z tego otrząsnąć, bo zwariuję — myśli Joanna. — Nie zostanę w tyri domu — ogarnia ją nieprzeparte pragnienie, żeby natychmiast opuścić ten pusty, przepełniony złowrogimi szm[^]T-imi, nie dający poczucia bezpieczeństwa dom. Tylko jak wyjść, żelzy nie natknąć się na tamtego spod okna, w lśniącym, ociekającym deszczem płas[^]czu.

Bralinie jej odv[^]agi — czuje się na wieki uwięziona w tym pokoju ze szczelnie zaciągniętymi, ciężkimi storami.

Przecież na górze zocawiałam światło — przypomi.aa sobie i cichutko wspina się stromymi schodami do swego pokoju. Tutaj czuje się nieco lepiej. Stoj.ica lampa rzuca łagodne, ciepłe światło przesiane

przez zlocisty abażur.

Joanna przysinda na zydelku, uważając, aby jej cień nie padał na za.-lonięte okno.

W zasięgu jej ręki stoi taca z butelką v/ina, którą wieczorem przyniósł jej ojciec. Dziewczyna zagląda do dzbanka, napelnia filiżankę wystygłą kawą. W połowie drogi do ust gwałtownie odstawia kubeczek, aż ciemny płyn chlusta na spodek.

Trucizna — przeszywa ją bezsensowna myśl. Zatruta kawa — mdlący lęk ściska gardło. Zwariowałam — następna myśl. Zupełnie zwariowałam. Ale nie m.a już najmniejszej ochoty skosztować wystygłej kawy. Jej uwagę przyciąga butelka z winem.

Gancia — odczytuje etykietkę i uważnie ogląda srebrną

folię zamykającą szyjkę butelki. Kapsel jest nienaruszony, wino nie było otwierane.

Pilnikiem od paznokci Joanna wydlubuje część korka, resztę, której nie może wyciągnąć, wpycha do butelki. Nieufnie ogląda pod światło kieliszek, odstawia go jednak i pije wino wprost z butelki. Po pierwszym łyku czuje przypływ głodu — przypomina sobie, że nic nie jadła od rana, od śniadania w klinice. Łakomie patrzy na tacę z kanapkami przygotowanymi przez ojca. Odwraca oczy.

Przynosi sobie z kuchni pajdę chleba i zjada, popijając słodkawą, letnią Gancią.

Czuje się teraz lepiej — wino idzie do głowy, tonuje napięcie, rozprasza trochę paraliżujący strach, przynajmniej na tyle, że dziewczyna zaczyna krzątać f[^]ię po pokoju. Pakuje niewielki neseser. Wybiera najpotrzebniejsze rzeczy. Zakłada na szyję hebanowy naszyjnik. Pudruje twarz, którą wino powlokło ciemnym rumieńcem.

Znów łyk wina — chce jej się śmiać. Tłumi ten chichot robiąc miny do lustra. Zdaje sobie sprawę, że to działanie Ganci.

Ojciec przychodzi około piątej — medytuje — dzisiaj, ze względu na mnie, może przyjść wcześniej. Wyjdę o trzeciej — postanawia.

Już się rozwidnia. Znowu łyk wina. Czuje się coraz lepiej — wspaniale. Wino to cudowny środek, nie zostało ani śladu po tym parszywym lęku. Może sobie ten typ człapać wokół domu, miesić błoto, ha, ha — deszcz, błoto, ależ on musi być mokry jak żaba.

Dobrze, wyjdę o trzeciej, niech spróbuje mnie zaczepić... Nie boję się. Nie boję się ani jego, ani nikogo.

Jednak resztki ćmiącego lęku nie dają się tak zupełnie zepchnąć.

Nie myśleć o tym — nakazuje sobie stanowczo Joanna i wypija resztkę wina. Nie myśleć i robić to wszystko, co postanowiła.

laa

Sprząta swój pokój. Kanapki wyrzuca w kuchni, ukrywa je pod śmieciami w pojemniku. Starannie myje naczynia, ustawia na miejsca. Pustą butelkę po winie wpycha do neseseru.

Ojcze, doszłam do wniosku, że nie wytrzymam z Tobą pod jednym dachem. Dzisiejszy dzień potwierdził moje przypuszczenia. Nie zniosłabym Twoich żądań, ambicji zwiedzanych z moją karierą, nawet Twojej troskliDości. Wybacz brutalność, jestem szczerą, a każda szczerść jest trochę brutalna. Ten dom. Twoje wyrzuty za zawód, jaki mimo woli Ci sprawiłam, doprowadziłyby mnie do obłędu. Nie martw się o mnie — gdy tylko będę miała stały adres, zawiadomię Cię.
Joanna

Pismo jest trochę krzywe. Dziewczyna kładzie kartkę na

widocznym miejscu — to już wszystko.

Pieniądze — myśli — przecież nie mam ani grosza. Idzio do biurka ojca i odsuwa szufladkę, w której zawsze leżały pieniądze na domowe wydatki. Ta szuflada nigdy nie była zamykana. Są, lfeżą pedantycznie ułożone setki, kilka banknotów pięćsetzłotowych.

Joanna sięga po sto złotych, lecz po namyśle cofa rękę. Stoi niezdecydowana — kukulka trzykrotnie chrypi swoje: kuku!

Przez gęstą tkaninę zasłon sączy się mętny brzask, z półmroku występują zarysy sprzętów, jakby powleczone szarym pyłem — Joanna z trzaskiem zamyka szufladę.

Okryta deszczowcem wychodzi z domu. Ulica jest pusta. Bura jasność, sącząca się z chmurnego nieba, i wino utwierdzają jej odwagę. Leciutka mżawka przyjemnie chłodzi gorącą twarz.

Szybko zdaża w stronę miasta — ciężar neseseru, płaczące siQ poją peleryny i szumiący w głowie rausz nie ułatwiają wędró-wki. Po kilkunastu minutarh dziewczyna jest zmęczona — przekłada walizczkę z jednej dłoni do drugiej, ale to przynosi tylko chwilową ulgę.

Taksówka kusząco zwalnia i ociera się prawie o krawężnik, kierowca zachęcająco spogląda na dziewczynę borykającą się z bagażem. Joanna z dotkliwą świadomością, że nie ma pieniędzy, wsiada do samochodu.

— Klinika neurologiczna — dysponuje.

Pod szpitalem każe kierowcy zaczekać i wchodzi do izby przyjęć.

Zaspana dyżurna nie jest skłonna do rozmowy, podejrzliwie taksuje Joannę wzrokiem.

— Chciałam porozumieć się z profesorem Larstem.

— Nie ma — pada z okienka.

— Nie ma go w klinice?

— Przecież powiedziałam, że nie ma.

— Poproszę adres profesora — żąda Joanna.

— Prywatnych adresów nie udzielam, profesor przyjmuje tylko tutaj — kobieta odsuwa się w głąb dyżurki, nie widać jej twarzy w okienku.

Joanna stoi niezdecydowana.

— Ja bardzo proszę...

— Nie jestem upoważniona — słyszy z czeluści okienka.

Dziewczyna cicho wycofuje się z izby, para świdrujących oczek przeprowadza ją do drzwi.

— Jestem w okropnym kłopotcie — zwierza się kierowcy. — Nie

znam adresu... w klinice nie chcą go podać.

— Adresu lekarza? — domyśla się szofer i przygląda się dziewczynie z podejrzliwym zainteresowaniem. — Książka telefoniczna — stwierdza. — Proszę zaczekać, zaraz znajdę, rwyj to ma być adres?

Teraz kierowca szturmuje zaspane, niechętne okienko — wraca po chwili.

— Mam — wymienia adres. — Może pani najpierw zadzwoni, zanotowałem telefon, pora jest taka... raczej nie do wizyt — doradza.

— Nie trzeba — mówi z udaną pewnością siebie Joanna, która z jednej strony za nic nie chce prosić o przysługę podejrzliwą kobietę z izby przyjęć, a z drugiej strony trochę jest niepewna reakcji profesora.

— Jesteśmy — informuje kierowca, sprawdzając numer domu Larsta.

Joanna znowu każe mu czekać i naciska dzwonek. Słyszy jego donośny dźwięk w uśpionym domu i ogarniają ją wątpliwości, czy pomysł szukania pomocy u profesora był najszcześniejszy. Jak zostanie przyjęta o tej porze w nie znanym domu? Dopiero teraz przychodzi jej na myśl Róża i ogarnia ją panika. Gdyby nie taksówka i brak pieniędzy na zapłacenie kursu, uciekłyby spod tych drzwi,

W głębi domu poszczekuje pies. Po chwili jego gromkie „hau” słychać pod samymi drzwiami. Szczęk łańcucha, w szparze uchylonych drzwi nieufne, podejrzliwe oko.-

— Muszę rozmawiać z profesorem — z desperacką odwagą informuje Joanna.

— Profesor śpi.

— Proszę go obudzić — żąda Joanna z całą stanowczością, na jaką ją stać.

— A panna kto? — nieżyczliwie świdruje dziewczynę podejrzliwe oko.

Joanna wymienia nazwisko i ponawia żądanie.

— Niech pani przyjdzie o przyzwoitej godzinie — decyduje oko.

— Ja muszę zaraz widzieć profe.-ora, trzeba zapłacić taksówkę — z rozpaczą nalega Joanna.

— To niech pani płaci i nie robi awantur po nocy w inteligentnym domu — poucza oko i uważając rozmowę za skończoną chce zamknąć drzwi.

Kierowca zaintrygowany tą dziwną, trochę nietrzeźwą pasażerką, a także w obawie o pieniądze za kurs wyrasta za plecami Joanny. Słyszy ostatnie słowa „Oka” i zręcznie umieszcza stopę w rozwartych drzwiach — teraz nie ma mowy o ich zamknięciu, tylko Horacy usiłuje chwycić zębami but intruza.

— Czego pan chce? — groźnie atakuje rozszłoszczone oko.

— Proszę spełnić prośbę tej pani i zawiadomić profesora — wstawia się za Joanną szofer.

— Pan mi tu nie będzie rozkazywał. Jak się nie wyniesiecie, to wypuszczę psa — grozi oko.

— Służąra nie powinna tyle gadać, tylko robić, co jej każą, i to grzecznie, bo inaczej może stracić miejsce — opiniuje kierowca, który już zorientował się w profesji olta.

— Opryszek, łobuz, na takich jest milicja!

— Że też taki porządny dom stać tjlko na takiego lichego garkotłuka — z rozmysłem drażni kierowca, żeby wywołać jak najwięcej hałasu.

Za drzwiami wszczyina się tum.ult. Gosposia gulgotce jak rozszoszczony indyk, pies ze wściekłym harkotem atakuje szparę w drzwiach. Wreszcie kierowca słyszy, że osiągnął lo, co zamierzał, wywołując awanturę z góspodynią.

— Co się tam dzieje, Anno? — słycać głos Larsta; pies, podniecony bliskością pana, rzuca .się na drzwi z rozjuszoną, pokazową wściekłością.

— Jakaś taka — z pogardą mówi Anna — i taki jeden łobuz chca do pana profesora.

— Jerzy! — woła z rozpaczą Joanna.

Drzwi otwierają się natychmiast.

— Co się stało, Joanno? Cicho, Horacy! — pies, odczuwając nastroje pana, daje teraz pokazowy spektakl radości; skacze, kręci się w kółko i piszczy przeraźliwie z dziką Bciechą.

— Trzeba zapłacić za taksówkę — wybucha płaczem Joanna.

— Proszą przygotować pokój dla pani — poleca Larst niemo stojącej, przepełnionej zgrozą Annie.

— Który pokój? — chce wygrać na czasie Anna; oprócz oburzenia rozpiera ją ciekawość.

— Nie trzymałbym takiej ani minuty — oświadcza kierowca i wciska w ręce gospodyni neseser Joanny. — No, żywo! Pokój dla pani — szarogęsi się, pewien bezkarności,

— Bardzo dobrze zrobiłaś, Joanno, że przyjechałaś tutaj — Larst usadawia dziewczynę w fotelu, rzuca jej na kolana pled i zapala elektryczny piecyk. Zziębnięta dziewczyna dygoce — trochę z zimna, trochę ze zdenerwowania.

Anna wnosi parujący dzbanek, marudzi przysuwając stolik, rozstawiając filiżanki; pochłania wzrokiem przybyłą, łowi zachowanie się Larsta.

— Sam to zrobię — mówi zniecierpliwiony profesor.

— A tego... który pokój mam przygotować? — terkocze Anna. — Czy ten na górze, po pani...

— Jadalnię — ucina profesor. ■— I proszę nie przychodzić więcej z pytaniami, Anno, i tak wiesz lepiej, co jest w domu i co może być potrzebne.

Markotna gosposia opuszcza wreszcie pokój.

— Ani chybi, Horacy — informuje p.sa — nastąpiła nam nowa pani, już ja się na tym znam, piesku, ho, ho, twój pan do pani Róży taki nie był. Popatrz, wygląda, że nie rozróżnia kobity od mężczyzny, a taki pies na dziewczyny. Z czego **to** tajemnicę robi przede mną? Ale smarkata ta nowa — wzdycha z urazą Anna.

— Nie mogę zostać u ojca — mówi Joanna czując, że Larst czeka na jej wyjaśnienia. — Nigdy nie wrócę do tego domu. Nie mogę tam żyć.

— Różnica zdań na temat twojej pracy w balecie? — ostrożnie dowiadyuje się Larst.

— Nie tylko — potrzęsa głową dziewczyna. Powoli, aby

zyskać na czasie, pociąga łyk kawy. Zastanawia się, co ma powiedzieć, żeby przekonać Jerzego, a równocześnie nie wyjawić wszystkiego, co wie lub czego się domyśla.

Horacy drapie do zamkniętych drzwi — profesor wpuszcza psa nie przestając obserwować Joannę.

— Nie czuję się tam bezpiecznie — mówi cicho dziewczyna.

— Byłaś sama w domu?

— Ktoś chodził pod domem całą noc.

— Widziałaś tego łciosa?

Joanna nie odpowiada.

— Była burza, wiatr, samotność w takich warunkach atakuje wyobraźnię — ostrożnie wątpi profesor.

— To nie halucynacje — szybko zastrzega się Joanna. — Widziałam w oknie twarz przylepioną do szyby... co prawda tylko przez moment, w świetle błyskawicy.

— Piłaś, Joanno? — Larst cd razu zorientow^ał się, że dziewczyna jest pod działaniem alkoholu.

— Całą butelkę wina — przyznaje się Joanna. — Dzięki temu nie oszalałam ze strachu. Ale wcale nie jestem zalana — przekonuje jak większość pijanych. — Muszę wyrzucić tę pustą butelkę — przypomina sobie. Jest w ne.seserze.

— Anna to robi — uspokaja Larst. — Mów dalej, Joasiu!

— Mam uciiciie — wybucha wreszcie dziewczyna — że tam — myślę o domu ojca — chcą mnie otruć.

— Co?... Ależ kto cię ma otruć, ojciec? Dziewczyno, to tylko nerwy. Jesteś jeszcze p>od wrażeniem swojej choroby.

— Jej przyczyn, chciał pan powiedzieć? — cicho podpowiada Joanna. — Nie twierdę, że właśnie ojciec chcć mnie otruć, w każdym razie chyba nie ojciec.

Zapada kłopotliwe milczenie.

— Pan mi nie wierzy? Może to rzeczywiście urojenia, coś nie klapuje w tym moim zepsutym mózgu. Kiedy mam stąd odejść, panie profesorze?

— Pozostaniesz tutaj, Joanno — mówi Larst — tak długo, jak zechcesz. A teraz musisz odpocząć.

— Tak — zgadza się posłusznie Joanna. Nie idzie jednak do pokoju przygotowanego dla niej przez Annę.

— Jerzy — prosi natarczywie — niech Anna nikogo nie wpuszcza do domu podczas twojej nieobecności. Przyrzeknij mi to, dobrze? Inaczej nie zmrużę oczu. Niech nikogo nie wpuszcza, ona to potrafi. Jak jesteś ly, to niczego się nie boję.

Larsta porusza jej dziwny ton, który nie jest chyba skutkiem wypicia wina, i jego imię wypowiedziane tak, jak się zwracała do niego kiedyś... Profesorowi mimo woli udziela się nastroj oczekiwania na niebezpieczeństwo. Przecież ktoś chciał już ją zabić. A jeżeli nie zrezygnował?

Larsta przenika nieprzyjemny chłód. Wie, że musi uważać, bardzo uważać na dziewczynę i nie bagatelizować tych jej „urojeń”.

Gdy wraca wieczorem na spóźniony obiad, zastaje Joannę bawiącą się z Horacym. Dziewczyna jest odmieniona. Nic nie zostało z porannych lęków. Zawstydzonym milczeniem kwituje aluzje Larsta do tak nagłej decyzji opuszczenia domu.

— Chciałabym gdzieś wyjechać — oświadcza.

— Dokąd chciałabyś pojechać, Joanno?

— Wszystko jedno. Chcę wyjechać z Warszawy... Odpocząć, pobierać się, jakoś ułożyć sama z sobą. Może wtedy będzie mi łatwiej wrócić do domu, teraz to zbyt gwałtowny kontrast po... klinice.

— Nie sprawiasz mi żadnego kłopotu — zapewnia Larst. — Jesteś moim droгим gościem. Możesz zostać... na zawsze, już ci mówiłem.

— Dziękuję — mówi Joanna i zadaje sobie pytanie: co jest z Różą? — ...Ale chciałabym wyjechać, i to tak... żeby nikt innie nie znalazł, nie nachodził, nie przypominał...

— Rozumiem.

Następnego dnia rano, gdy miotany niepokojem Morąg dociera wreszcie do mieszkania profesora, Anna informuje go przez zabezpieczone łańcuchem drzwi.

— A była, była — mówi o Joannie — ale jej nie ma.

— Gdzie jest?

— Ja tam nie wiem, pan profesor powiózł ją rano samochodem, pewnikiem do sanatorium.

— Gdzie, do jakiego sanatorium?

— Tego to już nie wiem. Nie opowiadał mi się.

— To skąd pani wie, że do sanatorium?

— Wystarczyło na nią spojrzeć — Anna już chce powiedzieć o porze i sposobie przybycia Joanny do ich domu. Jest głęboko przeświadczona, że w taki sposób nie zachowuje się normalny człowiek, ale w porę przypomina sobie zakaz profesora.

— Co takiego dziwnego uderzyło panią w wyglądzie mojej córki?

— To pan ojciec? — współczuje Anna, ale katagoryczny zakaz nie wpuszczania nikogo nie traci nic ze swej mocy; zakaz obejmuje również ojca. — Rozumiem, panu przykro, że ona jest puknięta...

brał tę miejscow/ość. Ordynuje tam jego kolega, a więc Joanna będzie miała zapewnioną serdeczną opielcę. Nie bez znaczenia jest również urok tego położonego nad Wisłą miasteczka, no i nie jest tak daleko, co tydzień, a czasem częściej będzie mógł do niej przyjechać.

Doktor i jego żona czekają na gości z obiadem. Joanna zostaje ulokowana w maleńkim pokoiku z łamanym sufitem i - niskim oknem mansardy, umieszczonym nad podcieniami renesansowej kamieniczki. Ma widok na Farę i spadziste uliczki wiodące ku Wiśle.

Profesor zaraz po obiedzie wraca do Warszawy. Przed odjazdem wstępują z Joanną do kawiarenki w Rynku.

— Panie profesorze, na pewno ojciec już mnie szuka — stwierdza Joanna. — To nieuniknione, że trafi również do pana. Jeśli się dowie, gdzie jestem, gotów zatruć mi tutaj każdą godzinę.

— Przesadzasz, Joanno, może tu przyjechać najwyżej raz na tydzień. Jeżeli się nie ma samochodu, to Kazimierz leży bardzo daleko od Warszawy.

— Raz na tydzień to też stanowczo za dużo.

— Joanno, przecież to twój ojciec — Larst jest trochę zgorszony bezwzględnością dziewczyny. — Kocha cię po swojemu — z przykrością myśli, że jego syn może też w taki sposób, jak Joanna mówić o swoim ojcu.

— Drętwe komunały — Joanna wpada w nagłą złość. — Dla mnie to nie ojciec, tylko wstrętny kabotyn, chytry, przebiegły, wyrachowany sknera, chory od niewyżytych ambicji, zimny potwór... Wolalabym być podrzutkiem niż przyznawać się do takiego ojca. Nie chcę go tu widzieć.

Dziewczyna jest tak rozdrażniona, że Larst ulega i przyrzeka utrzymać w tajemnicy miejsce jej pobytu. Ale nie dotrzymuje słowa. Nachodzony, molestowany, dręczony przez Moraga, który błaga, żebrze, mówi mu wreszcie, że Joanna jest w Kazimierzu.

— Panu tam nie wolno się pokazywać — zastrzega Larst — jeżeli nie chce pan, aby Joanna w ogóle zniknęła. Tym razem przysłała do mnie, nikt jednak nie może zaręczyć, że do rnie wróci, tym bardziej gdy się dowie, że złamałam daną jej obietnicę.

— Nie chciała mnie widzieć, dlaczego? — męczy się zupełnie bezradny, pełen goryczy Morąg. Jego wygląd i cierpienie budzą litość.

— Nie wiem. Pan bywa niedelikatny w swoich naleganiach, aby podjęła pracę w Operze. Ona tego nie chce, ma uraz na punkcie 18]

tańca.

— Tyle wysiłku, starań, tyle pracy i pieniędzy na marne —
wzdycha Morąg. — Dlaczego? — powtarza z tępyim uporem.

— Czy pan wreszcie zrozumie — Larsta znowu ogarnia niechęć
do tego człowieka — że pana córka jest po ciężłej operacji mózgu?
Mózgu!

Morąg nie pokazuje się więcej u profesora. Nawet do niego nie
dzwoni. W najbliższą sobotę Larst jedzie do Kazimierza pełen
niepokojem, czy nie spotka tam Morąga. Sądząc z zachowania Joanny,
jej ojciec nie pojawił się dotychczas w miasteczku. Profesor oddycha z
ulgą — nareszcie coś zrozumiał ten natrętny, opętany karierą córki
człowiek.

Myli się jednak. Morąg wytrzymał zaledwie kilka dni, a potem bez
wyjaśnień zwolnił się z pracy. Następnego dnia wysiadł z autobusu w
Kazimierzu i zaangażował się do orkiestry w „Esterce”.

Reprezentacyjna knajpa w Ka[^].imierzu, ze względu na
rozpoczynający się sezon, kompletowała akurat drugi zespół.

Morąg jest ostrożny. Staxa się, aby Joanna nie wiedziała
o jego obecności w Kazimierzu. Wypatruje ją z daleka
1 z daleka niczym złodziej przemyka się śladem córki krętymi
uliczkami. Cierpie na myśl, co będzie, gdy Joanna wybierze się
kiedyś wieczorem do „Estcrki” i zobaczy na podium dla orkiestry
swego ojca.

Kazimierz jest stanowczo za małym miasteczkiem, aby taka
konspiracja mogła trwać długo. Któregoś dnia Joanna spostrzegła
swojego ojca na Rynlvu.

Dziewczyna nie kryje się, nie ucieka — ogarnięta zimną furią dogania
IVlorąga.

— Co tutaj robisz? — pyta zamiast powdtania; słowa padają jak
kamienie.

— Zaangażowano mnie do orkiestry — bąka Morąg i ogarnia go
złość, że czuje się jak winowajca.

— Larst powiedział ci, że jestem w Kazimierzu — stwierdza
Joanna. — Jalcim prawem mnie ścigasz. Jestem dorosła 1 nie życzę
sobie ani twojej kurateli, ani twego widolcu.

— Mojej opieki sobie nie życzysz — wpada w furię Morąg — ale
bez skrupułów korzystasz z pieniędzy Larsta, bo ci się nie chce
pracować.

— Co cię to obchodzi? — cedzi Joanna.

— Dla mnie to hańba, żeby moja córka była utrzymanką żonatego
człowieka. — Morąg chce ją dotknąć.

— Nie byłoby dziwne, żeby córka takiego ojca była nawet prostytutką — cedzi przez zęby dziewczyna.
Morąg blednie, przez chwilę nie może zdobyć się na odpowiedź.

— Jesteś ordynarna... I za co?...

— Mówię ci po raz ostatni, żebyś przestał mnie ścigać. Najlepiej zrobisz, jeżeli zapomnisz, że w ogóle masz córkę, bo jeśli doprowadzisz mnie do ostateczności... mogą zrobić coś strasznego...
Morąg patrzy na nią w milczeniu.

— Nie zobaczysz mnie więcej — mówi wreszcie.
Joanna nie dowierza zapewnieniom ojca. Nagle obrzydził jej ten cały Kazimierz. Oświadcza zaniepokojonym gospodarzom, że natychmiast wraca do Warszawy. Żadne perswazje, nawet fakt, że dzisiaj już nie będzie autobusu do Warszawy, nie odnoszą skutku.

— Wrócę autostopem — oświadcza dziewczyna.
Doktor, solennie zobowiązany przez Larsta, do czuwania nad nią, zamawia błyskawiczną z Warszawą. Mówi Larstowi o decyzji Joanny, która kończy właśnie pakowanie neseseru.

— Joanno, zaraz po ciebie przyjeżdżam — obiecuje Larst. —
Czekaj na mnie i nie ruszaj się z Kazimierza. Za dwie godziny będę u ciebie.

— Ojciec tu się pojawił, miałam z nim straszną rozmowę — informuje Joanna. — Jeżeli możesz, przyjeżdż — prosi ciepło, pokornie.
— Bardzo chcę cię zobaczyć... Jerzy — dodaje chytrze, wiedząc, jakie wrażenie robi na nim, gdy wymawia jego imię.

Profesor gna z Warszawy na złamanie karku. Usiłuje spojrzeć na siebie obiektywnie, z boku i ogarnia go żenujące zdziwienie.

Kiedy i jak to się stało, że ta dziewczyna tak bez reszty nim zawładnęła? Przecież nie zawsze tak było. Przecież była jednak marginesem jego życia, przynajmniej, nie miałym, ale nawet nie bardzo mógł się dla niej zdecydować na rozstanie z Różą.

Przypomina sobie wspólnie z Różą i dochodzi do wniosku, że zawsze był sam. Oddany, uległy, gotów spełniać i spełniający każdą zachciankę, często kosztem jego osobistej wygody, z krzywdą własną.

— Trzymaj się, stary durniu — mruczy przez zęby — inaczej wszystkie ci będą chodziły po głowie. — Postanawia być surowy dla Joanny.

Ale Joanna nie ma już żadnych kaprysów. Wita go smutna, pełna poczucia winy, trochę wystraszona jego chmurną - twarzą.

W Warszawie, w obszernym domu Jerzego prawie jej nie widać. Spokojna, cicha, nie mająca żadnych wymagań — stara się być użyteczna, pomaga Annie.

Gospościa nie może się jej nachwalić, Joanna niesłuchanie przypadła jej do serca. Jest tak lojalna, że gotowa nawet do spisku z dziewczyną przeciw profesorowi.

Larst jest zdziwiony, że nie musi zwalczać kaprysów Joanny.

Dziewczyna szybko zorientowała się, jakiego rodzaju prace profesor może wykonywać w domu — niebawem stała się pomocna i jemu. Skrętnie wynotowała i przejrzyście posegregowała fiszki, codziennie przygotowuje mu literaturę, zawsze tę potrzebną. Starannie, pracowicie przepisuje na maszynie nieczytelne, gęsto usiane odnośnikami rękopisy Jerzego.

Po pewnym czasie Larst zdaje sobie sprawę, że byłby niemal bezradny, gdyby musiał się obejść bez pomocy Joanny.

Któregoś dnia profesor niespodziewanie wcześniej — bez uprzedzenia — wraca do domu i słyszy muzykę. Larst to zna: partia Odylii z trzeciego aktu „Jeziora Łabędziego”. No tak, pełno w tym domu tańm z nagraniami najsłynniejszych orkiestr świata.

Zaintrygowany słucha melodii — z góry dobiega szelest kroków, czasami mocniejsze stąpanie.

Joanna tańczy — pojmuje Larst. Po prostu ćwiczy.

Anna jest niezmiernie zdziwiona pojawieniem się profesora w kuchni. Absolutnie nie leży to w jego zwyczajach. Gospościa sądzi, że pan nie bardzo wie, gdzie znajduje się kuchnia w jego domu.

— Co się tam dzieje na górze, Anno?

— A co ma się dziać — obrusza się Anna, jak zwykle gdy chce zyskać na czasie albo gdy nie wie, co ma odpowiedzieć. Pytanie profesora napawa Annę niepokojem.

Tamta była tancerką — myśli o Róży — i taki to był dom, ni pies, ni wydra. Chłop kobity nie miał, to pewnie ma ten... kompleks do baletnic. No, a patrzeć, druga też baletnica — to może się rozzłościć... Dlatego ona tak się z tym kryje — tłumaczy sobie postępowanie Joanny.

— Dawno Joanna ćwiczy?

— Aby z godzinę albo i mniej — broni pupilki Anna.

— Mnie interesuje, czy często to robi i kiedy zaczęła pierwszy raz?

— Aby dzisiaj tylko, tak jej coś przyszło do głowy — mówi Anna. — Już tak od rana była jakaś taka markotna, niewyraźna i powiada: „Wie Anna, tak mi coś z tą głową, to poćwiczę sobie, może mi się polepszy” — fantazjuje gospościa.

Larst wybucha śmieciem.

— No i co panu tak wesoło — fuka Anna; chc'[c ukryć zmieszanie, gorliwie przestawia garnki, reguluje płomień. — Zaraz będzie obiad, nie wiedziałam, że pan dzisiaj tak wrześnie — zagaduje, coraz mniej pewna siebie.

— Jeszcze nigdy, Anno, tak głupio nie kłamałaś — stwierdza Larst.

— Ja tam nic nie wiem —■ mruczy gosposia. — Niech się pan pyta Joasi.

— Anno, to bardzo ważne, proszę mi powiedzieć — poważnie Larst.

— Joasia nie kazała... co jej pan będzie żałował. Dziewczyna nie latawica żadna. Pilnuje dornu, że aż dziw, jak rzadko która, bo to przecież takie młode, nie wymawiając nikomu — peszy się Anna tą mimowolną aluzją. — Pracowita, a że sobie pofika trochę, co to panu przeszkadza?

— Zupełnie mi nie przeszkadza — przekonuje Larst. — Przeciwnie, jestem zadowolony.

Anna patrzy na niego nieufnie, pewna, że to podstęp ze strony profesora.

— Joanna ma talent — zwierza .się, Larst konfidencko. Wie, że to jest argument dla Anny. Gosposia jest przyzwyczajona, że w tym domu zawsze był szacunek dla talentu.

— Talent to ma... — mruczy usatysfakcjonowana Anna. — To powiem panu, że ona tak sobie gra i tańczy od tego dnia, jak pan ją przywiózł z tego sanatorium... Tak też sobie pomyślałam, że ona już ozdrowiała ze wszystkim, jak ją tak

do tego ciągnie. A zmyślnie to robi, nie przymierzając jak pani Róża... — Anna urywa spłoszona i zła na siebie, że w porę nie ugryzła się w język. Wspominanie Róży w tym domu uważa za nietakt — ...ładnie jej w tył ci czarnych maj- kacli — zagaduje — tego... w rajslöpachi.

— Prosiła, żeby mi o tym nie mówić? — upewnia się Larst.

— Ano — wzdycha Anna. — Pewno się wstydzi, że tak ją do tego ciągnie albo się boi pana. Tylko niech mnie pan nie wyda, będzie miała do mnie żal, a ja jej nie wróg.

Larst wraca do hiallu, zaciowując się teraz możliwie głośno. Muzyka nie cichnie. Przez moment kokofonia dźwięków — i już Łazuka śpiewa swój popularny pr. ^ebój.

V/Iączyla adapter — stwierdza Larst. — Dlaczego się przede mną kryje? — nie może rozgryźć profesor. — Ale skoro robi z tego tajemnicę, należy ją u.szanować — i Larst ani słowem nie w.spomina Joannie, że odkrył jej zainteresowania.

Morąg leży na tapczanie z oczyma wbitymi w przeciwległą ścianę. Gasi papierosa — na stoliku koło tapczanu, w dużej kamionkowej misie piętrzą się niedopałki, wokół rozsypany popiół, napoczęta butelka koniaku, kieliszek, do którego dolewa trunek, jakieś jedzenie oprószone popiołem.

Cięnięta w ką na wpół otwarła walizka prezentuje wnętrze, w którym liżywana bielizna miesza się z czystą, drobiazgi i kartki nut leżą stłams- ^one.

Morąg sięga po kieliszek i zapala następnego papierosa. Od kilku dni znajduje się w stanie permanentnego rau.szu. Nie, ani przez chwilę nie upił się do nieprzytomności — nie lubi tego. Ale to lekkie, systematycznie podtrzymywane oszołomienie alkoholem jest mu potrzebne; tonuje furie, nieprzytomną wściekłość, która jest złym doradcą, która może doprowadzić do nieobliczalnych czynów. Morąg nie może sobie pozwolić na robienie głupstw — tego też nie lubL Rausz pozwala mu na chłodniejsze rozważania.

Co za paradoks — myśli — wódka pomaga w trzeźwej ocenie sytuacji, w logicznym rozumowaniu. Jego rozumowanie m u s i być logiczne, zazębiające się z sobą, precyzyjne jak matematyczne równanie.

Kilka dni minęło od jego powrotu z Kazimierza. Wszystko wie. Widział nawet wyjazd Joanny z profesorem. Jednak wezwała Larsta. Było to dla niego jakimś pocieszeniem, gdy miotany niepokojem śledził córkę, bojąc się, aby nie zrobiła jakiegoś desperackiego kroku.

Też — Naszymiż Johanna jest u profesora. Czasami nocą podkra

się pod tamten dom. Raz ją widział, jak wysiadła z Larstem z samochodu. Przyjechali z miasta, może byli na dansingu, może na kolacji po teatrze.

To straszne, kiedy jedyne dziecko... Uspokój się, durniu. Jesteś sam z sobą, nie musisz się zgrywać. Przecież to nie zgrywa, to rzeczywiście moje jedyne dziecko, moja duma... — toczy samotny monolog.

Może zadzwonić do Larsta? — rozważa. — Po co? Larst go nie znosi, jeszcze niechęć do niego przeniesie na Joannę. Ona chyba go kocha...

Trzeba coś robić, czymś się zająć. Nie można tak bez przerwy leżeć i myśleć. Mimo oszłomienia koniakiem — można oszaleć. Czynna, energiczna natura Morağa domaga się działania.

Ogolony, starannie ubrany wychodzi na miasto. Wlókczy się bez celu i sam nie wie jak — bo przecież zakazał sobie — znajduje się w okolicach willi profesora. Jest zły na siebie, *te* znów go tam zaniósł.

Umyka w/ popłochu, bo spostrzega Joannę prowadzącą na smyczy Horacego, a obok niej zażywną postać Anny, obładowaną paczkami. Córka, zajęta harcami psa, nie zauważa go.

Morağ z jakąś gorzką zazdrością myśli, że Joannie dobrze jest w domu profesora. Chyba lepiej niż kiedykolwiek było U niego, u ojca.

Przecież jej niczego nie żałowałem? — rozmyśla. — Chowałem ją jak księżniczkę, miała wszystkiego w bród, wszystko jej kupowałem, na co tylko miała ochotę, w zamian wymagałem tylko jednego, żeby dbała o karierę, czy to tak dużo? I przecież to dla jej dobra. Może nie trzeba było jej tyle dawać, tak o nią dbać. Gdyby była bardziej samodzielnie wychowana, nie poszłaby teraz na utrzymanie Larsta. A jeżeli jemu się znudzi ta dwuznaczna sytuacja, co ona wtedy zrobi? Może się stoczyć. A może... wróci do ojca?

Znów wlecze się przez miasto, zajęty swymi myślami. Wspina się na piętro czynszowej kamienicy, w której mieszka Paweł Olech.

— Grzegorz! — w/ita go zaskoczony gospodarz. — Co się z tobą dzieje, chłopie? Niepokoiłem się o ciebie — prowadzi go w głąb mieszkania.

Olech nie jest sam. W obszernym klubie siedzi drobna, filigranowa kobieta. Gładko ściągnięte węzłem czarne, lśniące włosy, za olbrzymie oczy w trójkątnej twarzy, matowa skóra o odcieniu kości słoniowej, prosta suknia koloru wina, nieco za duże kolczyki w uszach.

Kobieta przykuwa uwagę. Jej dziwna uroda nasuwa porównanie z

delikatnym chińskim malowidłem, a jeszcze bardziej z kunsztowną, kruchą statuetką z kremowej kości.

— Napij się? — Olech stawia trzeci kieliszek i nakrycie.

— Z przyjemnością — mówi -Morąg i nie może oderwać oczu od chińskiej figurki.

Kobieta jest przyzwyczajona do tego, że mężczyźni w taki sposób reagują na jej widok. Uśmiecha się leciutko do Morąga i podnosi kieliszek do ust — powoli sączy trunek.

— Jak się czujesz? — patrzy na przyjaciela zatroskany Olech.

— Dość podle — stwierdza Morąg. — Ale już lepiej niż kilka dni temu.

—• Barykadowałeś się w domu czy co? Nie mogłem się dozwonie. Kilka razy dobijałem się do ciebie. Nie wolno ulegać depresji.

— Nieszczęście, Pawle, straszne nieszczęście. Nie masz dzieci, to nie wiesz, jak to się czuje. Pozbierałem się już jakoś. Nie byio innie, siedziałem w Kazimierzu, chciałem tro- L-:ię odpocząć.

— Jak się miewa Joanna, chyba wiesz, że nie zgłosiła się do Opery?

— Wiem — kiwa głową Morąg. — Larst tłumaczy, że ona Fia trwały uraz do tańca i nie wolno jej do niczego zmuszać.

— Powinna coś robić — bez przekonania stwierdza Olech.

— Na razie wydaję ją za mąż — ton Morąga jest inny, iywKzy.

— Larst ma już rozwód? — interesuje się Olech.

— Niebawem będzie go miał — kłamie Morąg. — Jeszcze t'ochę to potrwa... formalności, rozumiesz.

— Ostatecznie to nie taki zły kandydat — powściągliwie śmiecha się Olech.

— Ja sędzę, że to najlepsze w tej sytuacji, co może być — oświadcza Morąg. — Widzisz, ona jednak jest niezupełnie normalna. Niby wszystko na pozór w porządku, a jednak wcale z nią nie jest dobrze. Nie nadaje się do żadnej pracy, a już o wyrobieniu nazwiska na scenie nie ma nawet co nriarzyć. Powńedzmy, że nawet w końcu udałoby się ją namówić do podjęcia pracy... prawdopodobnie już na zav.'sze 'jłyaby jedną z wielu, no, może jakieś epizody, ale chyba tylko za protekcją. Nie mogę się dalej ludzić, że byłaby znana i uznana przynajmniej na skalę Warszawy... Ciężko mi o tym myśleć i mówić, wiązałem z jej karierą tyle nadziei. Ona też to czuje, jest ambitna, dlatego nie chce wracać na scenę...

— To nic nie w[^]iadomo, Grzegorz. A może zmienić jej teatr? Co byś powiedział na Poznań? To można załatwić. Woże nowe otoczenie,

nowi ludzie...

— Nie pocieszaj mnie. Niech wychodzi za mąż za Larsta — pogodziłem się już z tym, nie chcę wzbudzać w sobie próżnej nadziei. Ostatecznie małżeństwo z Larstem zapewni jej jakąś pozycję.

— Jeżeli o to chodzi, to nie najgorszą pozycję — zgadza się Olech.

— ■ Larst to przecież sława — Morąg zapala się do sławy Larsta — znany, szanowany, ustalona opinia w kraju i za granicą. Żona profesora Larsta to jest coś. To nie najgorsza partia dla córki klezmera...

— Grzegorz — nie może wytrzymać Olech — mówisz jak ostatni snob. Przykro tego słuchać.

— Oceń trzeźwo szanse Joanny — przerywa Morąg, nieczuły na epitety. — Nie zwracaj uwagi na słowa, możliwe, że niezbyt starannie je dobieram. Dziewczyna nieprzydatna do żadnego zajęcia, nie mogąca uprawiać swego zawodu. Wymagająca opieki. Kto się ożeni — co tu omijać to słowo — 7 kaleka?

— To pełna uroku dziewczyna. Jej kalectwo, jak to nazywasz, nie rzuca się w oczy.

Pozornie, Pawle, tylko pozornie tego nie widać... Ale powiedzmy, co jest bardzo wątpliwe, że znajdzie się jakiś młody człowiek, jakiś chłystek bez pozycji, z pensją tysiąc pięćset. Co ją c/.eka przy boku takiego męża? Wegetacja...

— Ostatecznie ty też zarabiasz — mówi z naciskiem Olech.

— Ja nie jestem wieczny. A poza tym nie mam najmniejszego zamiaru utrzymywać męża mojej córki.

— Nie każdy młody człowiek zaraz jest chłystkiem bez pozycji. Domyślasz się, że Szapar bardzo poważnie interesował się i interesuje Joanną. Co masz przeciw niemu?

— Nic — krzywi się Morąg. — Ale przyznasz sam, że między Szaparem i Larstem nie może być najmniejszego porównania. Szapar to początkujący dziennikarzyna...

— Cholernie ci imponuje ta profesura Larsta. Nie zapo- i- vinaj. ż5 on ma dorastającego syna z pierwszego małżeństwa i w ojóle...

— Joanna nie ma żadnych skłonności do Szapara — łagodzi Morąg.

— Więc nie ma o czym mówić — uśmiecha się z przymusem Olech. — Wobec tego zdrowie profesorowej Larst *in spe* — unosi kieliszek.

Chińska statuetka milczy przez cały czas rozmowy mężczyzn. Jej egzotyczna twarz pozostaje nieruchoma.

Kiedy Olech wychodzi do kuchni, aby uzupełnić napoje i przekąski, Morąg przechadza się po pokoju. Zajęty rozmową, w rozrztargnieniu dotyka półek z książkami, bawi się drobiazgami na biurku.

Morąg sprawia wrażenie, że jego wędrówka po pokoju jest bezcelowa, lecz w istocie konsekwentnie poszukuje czegoś, po co tutaj przyszedł. Wreszcie dostrzega ten przedmiot i ukrywa w rękawie marynarki.

Powracający z kuchni Olech zastaje go siedzącego w fotela i ze swadą opowiadającego jakieś niedawne wrażenia z Kazimierza. Z zadowoleniem spostrzega zmianę nastroju Morąga.

— Nie ma to jak koniak — stwierdza napelniając kieliszki.

— A także towarzystwo pięknej kobiety — dodaje Morąg i z nieco staroświecką galanteią pochyla głowę przed chińską statuetką.

Ożywienie Morąga znika, gdy v/raca do domu. Następnego dnia wzywa lekarza.

Doktor nie może postawić diagnozy. Pacjent ma niesłuchanie dziwne reakcje. Czasami sprawia wrażenie, że nie bardzo rozumie, co się z nim dzieje, ztraca orientację, gdzie się znajduje, poczucie czasu i rzeczywistości.

Choroba umysłowa? — biedzi się lekarz. Nie można go zostawić bez opieki. Szpital?

— Nie pójdę do szpitala — oświadcza nagle pacjent, jak gdyby szedł za jego myślą. — Stać mnie na opłaceniu pielęgniarzki, jeżeli pan to uzna za konieczne. Poza tym proszę skonsultować się z profesorem, Larstem, to mąż mojej córki.

— Więc pan ma córkę? Trzeba ją natychmiast zawiadomić.

— Profesor Larst poinformuje pana, dlaczego nie należy zawiadamiać njojej córki — mówi Morąg i popada w zupełną apatię.

Wezwany przez lekarza profesor przyjeżdża natychmiast. Morąg ożywia się nieco na jego widok.

— Panie profesorze, proszę nie pozwolić zabrać mnie do szpitala i wytłumaczyć doktorowi, że moją chorobą nie wolno niepokoić Joanny.

Doktor jest trochę zdziwiony, że Morąg tytułuje męża swojej córki. Larst zgadza się z Morągiem, że jednak lepiej nie zawiadamiać Joanny, ale stanowczo zaleca szpital.

Morąg bardzo niechętnie ulega decyzji Larsta. Profesor zabiera go do kliniki.

Larst czuje się zobowiązany zająć ojcem Joanny i ma sobie za złe, że oprócz obowiązku nie jest w stanie wykrzesać z siebie żywszych uczuć dla tego w gruncie rzeczy nieszczęśliwego człowieka.

7. Mężczyzna w zielonym lodzie

— Krystian Szapar, majorze, coraz namiętniej mnie Interesuje. Coraz bardziej w/ydaje mi się, że to jest ziolo — oświadcza Cieślik i wyciąga się w fotelu, nie zauważając stojącego z boku przy oknie Lisa.

— Widzeń jeszcze nie macie, Cieślik? — interesuje się pułkownik Lis i rozsiada się naprzeciw wywiadowcy. — Hipnoza, radar w palcach, fluidy? Co, nic z tych rzeczy?

— Jak pułkownik dowie się o wszystkim, co ja wiem, to, zupełnie się zniechęci do swoich sylwetek psychofizycznych — wykrzywia się Cieślik.

- Zdaje się, że Cieślik zdobył tym razem mniej kuchenną plotkę, skoro tak się puszy — uśmiecha się pułkownik.
- Facet wbrew pozorom nie ma alibi ani na dzień napadu, ani na dzień wypadku w Operze — stwierdza triumfalnie wywiadowca.
- Na d z i e ń jeden i drugi to ma — krzywi się Ko-rosz. — Znaczenie mają godziny. Daj się wypchać, Cieślik, taką rewelacją.
- Przejęzyczyl'em się. Oczywiście, że mówię o godzinach.
- Wal, Cieślik, to może być interesujące — poważnieje Lis.
- Rozkład godzin Szapara na dzień napadu wygląda tak — porucznik wyciąga notes: — Do dziesiątej rano nie wychodził z domu. Potem wiedeńskie śniadanko w Bristolu, po drodze do redakcji...
- Skąd wiesz, że wiedeńskie? — pyta rozbawiony major.
- Bo tam innych nie ma, proszę ukochanego zwierzchnika. Później kawa na dole w tymże Bristolu, redakcja, następnie pobyt w Operze. S^wendał się po sali prób baletu, akurat zespół ćwiczył Copelię, znowu redakcja, tym razem „Muzyka”, bo on chałturzy, gdzie się da, obiad...
- Gd.zie? — chce wiedzieć pułkownik Lis.
- ...w Małej Kameralnej na Foksal. Następnie spotkanie z Wielkim Krytykiem w lokalu Związku Muzyków na Kruczej, niedaleko Grand Hotelu. Tam jest bardzo miły lokalik — obiady, wino, kawa... urocze kelnerki...
- Cieślik, o walorach obsługi później — żąda major.
- Dobrze — zgadza się wywiadowca. — Może major nie pytać, o czym rozmawiał Szapar z Wielkim I'Crytykiem — bo nie wiem. I po jego wyjściu z klubu również już nic
- o Szaparze nie wiem — Cieślik znacząco zawiesza głos.
- To jeszcze nic mi nie mówi — stwierdza Lis. — Odtworzenie całego dnia po upływie takiego czasu... Może być nieprecyzyjne.
- A ja pułkownikowi mówię, że Szapar nie ma alibi na >04 dwie godziny krj-tycznego dnia napadu — stanowczo podkreśla wywiadowca. — Wnioski nie należą do mnie, chociaż mam na to własny pogład. Tylko niech pułkownik uważnie słucha...
- Od jakiej godziny urywa wam się ślad Szapara w tym dniu? — chce wiedzieć Lis.
- Dziewiętnasta, dziewiętnasta trzydzieści — niestety ściślej nie mogę ustalić.

- Dalej!
 - Dalej jest pustka. Właśnie ta interesująca przerwa w życiorysie Szapara. Następnie wylania nam się dopiero w domu Morąga, dokąd przyszedł z Joanną.
 - Która to mogła być godzina?
 - Około dziewiątej wieczorem.
 - Gdzie spotkał Joannę? — interesuje się major.
 - Nie wiem — odpowiada Cieślik.
 - Nie mogliście tego ustalić?
 - W żaden żywy sposób — przyznaje się Cieślik.
- Inspektor wychodzi do sekretariatu.
- Pani Alicjo, proszę taśmę z przesłuchania świadka Joanny Morąg w dniu... — prosi sekretarkę.
- Dziewczyna sięga po gruby skorowidz. Przez chwilę sprawdza rubryki.
- Rolka numer sześć — informuje inspektora.
- Korosz otwiera szafę, w której w specjalnych przegrodach leżą ciasno uszeregowane metalowe talerze z nagranyimi taśmami. Wybiera odpowiednią rolkę i zakłada na magnetofon:
- „...wyszłam z kawiarni, w której byłam umówiona ze znajomym — płynie jasny głos Joanny. — Po przejściu kilkunastu kroków usłyszałam strzały. Ludzie uciekali do bram i ja pobiegłam do najbliższej bramy...
- W którą stronę pani szła?
 - W stronę Opery, śpieszyłam się na spektakl.
 - Która mogła być godzina, kiedy pani opuściła kawiarnię?
 - Za pięć wpół do ósmej.
 - A znajomy, z którym była pani umówiona, pozostał w kawiarni czy wyszedł razem z panią?
- Cisza. Tylko z lekkim szmerem obraca się szpula z taśmą **1** po chwili trochę inna barwa głosu Joanny;
- On w ogóle nie przyszedł...”
 - Dalej nieistotne — inspektor zatrzymuje magnetofon.
 - Nie mógł, jołop — wtrąca z pretensją Cieślik pod adresem oficera śledczego przesłuchującego Joannę — zapytać, **z** kim była umówiona? To się nazywa rzetelna robota?
 - Powinien — przyznaje Lis. — Ale słyszysz, że dziewczyna się spieszyła, więc chciał być delikatny, a tymczasem pominął ważną, być może, informację.
 - Głina-dżentelmen — prycha Cieślik. — Dziewczę się spłoniło, że niby nieudana randka, a mogła być umówiona z bandziorem i -

nasz subtelniak puścił taką informację. A major mówi, że ze mną nie może pracować. Teraz oczywiście będzie: Cieślik, masz ustalić, z kim była umówiona w tej kawiarni Joanna. Kropka. Potrzebne na wczoraj. I ja przez takich patalchów jak ten bubek od przesłuchań ganiam potem do ostatniego tchu moich ludzi. Ach, żeby jedno pytanie, jedno proste pytanie: z kim pani była umówiona? Przecież to teraz tydzień roboty dla mnie!

— Nie podniecaj się, Cieślik, mogła być umówiona z Lar- stem i tego dowiemy się w prosty sposób, bez używania twego cennego personelu — uspokaja inspektor.

— A jeżeli nie z Larstem, to co wtedy? — chce wiedzieć Cieślik.

— To jednak będziesz musiał ustalić ten fakt — stwierdza pułkownik.

— Bo ja jestem Duchem Świętym!. Jeżeli pułkownik...

— Cieślik, skończyłeś? — przerywa inspektor.

— I to marnie — mruczy porucznik.

— To dość interesujące — major wraca do przerwanej 200

myśli. — Wiesz, Heniu, co mnie -uderzyło? Cieślik to od razu

zauważył...

— Wyrazistość rozkładu dnia Szapara? — wtrąca pułkownik.

— Tak, właśnie to. Powiedziałbym — pokazowo jasny rozkład dnia, który po takim upływie czasu dał się łatwo odtworzyć...

— Jak to majorowi gładko się mówi... łatwo. Dlatego łatwo, że to Cieślik załatwiał ten interes. Trzeba wiedzieć, ilu to ludzi i jak długo ustalało te „łatwe” fakty — nie może wytrzymać Cieślik. —
Benedyktyńska robota, wrogowi nie życzę...

— Ja w tej chwili nie oceniam waszej pracy, poruczniku. Oceniam sam fakt przejrzystej chronologii tego jednego, odległego dnia Krystiana Szapara. Fakt, że jednak pozbierałeś te informacje — chwała ci za to — wynika z tego, że wielu różnych ludzi widziało Szapara, miało z nim kontakt w wielu miejscach i sytuacjach. On przez cały dzień, nie jestem pewien w tej chwili, przypadkiem czy celowo, był na oczach ludzi. Zgadzasz się ze mną? Inaczej figę byś ustalił razem ze swoim genialnym personelem.

Wywiadowca tym razem zgadza się bez komentarzy.

— Tak — przyznaje Lis. — Na dwie godziny zszedł ludziom z oczu i już, mimo niewątpliwych talentów, nic o nim nie może powiedzieć służba X.

— Na te dwie godziny mógł mieć zapewnione alibi u Joanny Morąg — głośno myśli inspektor.

— Tylko że Joanna Morąg nic nam już więcej nie powie — stwierdza pułkownik.

— Założenie pierwsze — mówi inspektor. — Przyjmujemy: Krystian Szapar jest członkiem gangu. Ma pięknie ułożony dzień. Na krytyczny czas umawia spotkanie z Joanną w pobliżu miejsca napadu. Jeżeli dziewczyna nie jest wtajemniczona w jego bandycką działalność, to postępuję tak, jak postąpiła. To znaczy wychodzi nie doczekawszy się spotkania, o czym poinformowała oficera dochodzeniowego...

— LebiegQ, nie oficera dochodzeniowego — nie może dać wywiadowca.

— To już słyszeliśmy, Cieślik — uśmiecha się powściągliwie major. — Drugie założenie: jeżeli Joanna była wtajemniczona w plan gangu i zgodziła się dać alibi, co jest raczej mało prawdopodobne, nie wyszłaby w żadnym wypadku z kawiarni. Poza tym nie zgłosiłaby się do milicji jako świadek.

- Mogła się przerazić w ostatniej chwili — wtrąca Cieślik.
- Ale wówczas uciekłyby z kawiarni słysząc strzały, a nie wychodziłaby pięć minut wcześniej — stwierdza inspektor.
- Ten gang jest za mądry, aby budować alibi na tak niepewnych podstawach, jak świadectwo dwudziestoletniej dziewczyny o takich właściwościach psychicznych... — mówi Lis.
- Ooo... pułkownik nawet ją rozpracował charakterologicznie? — zjadliwie dziwi się Cieślik.
- ...do tego zakocłianej w mężczyźnie, który nie ma nic wspólnego z gangiem — ciągnie I.i.s. — Ta dziewczyna w jednym tylko przypadku, moim zdaniem, mogłaby pomagać, tuszować, milczeć lub nawet fałszywie świadczyć. Otóż gdyby zamieszany był w tę sprawę kochany przez nią mężczyzna.
- Tak postąpiłaby większość kobiet — oświadcza Cieślik. — Pułkownik już zupełnie wykluczył Larsta z tej imprezy?
- Zupełnie.
- Ale czuprynkę zgolił — przypomina Cieślik.
- Pozostaje trzecie założenie — Lis pomija milczeniem uwagę wywiadowcy. — Dziewczyna jest umówiona w kawiarni z kimś, kto nie ma nic wspólnego z gangiem. Przypadek sprawił, że napadu dokonano w pobliżu kawiarni, położonej zresztą po drodze do Opery. Mężczyzna nie przychodzi — Joanna nic może c/ckać, bo spóźni się do teatru. Wychodzi z kawiarni — strzały — ucieczka do bramy — spontaniczne zgłoszenie się do milicji. Złożenie zeznań. Na spektakl jest już grubo za późno. Gdzieś po drodze spotyka Szapara i dalej *vide* ustalenia Cieślika. Naszym zadaniem jest stwierdzić, w jakiej okolicy spotkała Szapara i czy Szapar był tam przypadkowo, czy po mokrej robocie pod Składnicą — kończy Lis.
- Dawajcie, poruczniku, alibi Szapara na dzień postrzelenia Joanny — żąda inspektor.
- Znowu uderza oficerów pokazowa jasność rozkładu dnia dziennikarza. I znów luka na czas wypadku.
- Ani przed wypadkiem, ani po nikt go w teatrze nie widział — mówi wywiadowca.
- Szapar zna Operę, nie jest tam zupełnie obcy, zawsze może mieć pretekst, żeby uzasadnić swoją obecność, do tego na generalnej próbie — zauważa major. — Gdyby go ktoś zobaczył, zostałyby po prostu na sali i w najgorszym wypadku byłby obciążony takimi samymi podejrzeniami jak pięćdziesiąt obecnych tam wówczas osób. Ta masa osób na sali była wkalkulowana przez mordercę w koszty ryzyka. Jeżeli zabójcą jest Szapar, on wliczył te osoby na wypadek,

gdj'by go jednak widziano... założył, że byłby jednym z pięćdzie. się- ciu podejrzanych. Raczej trudno byłoby go podejrzewać najbardziej. Wszystkim było wiadomo, że ogromnie lubił dziewczynę.

— Ona go nie chciała — zauważa Cie.ślik. — Gorycz zawodu itede...

— Trudno podejrzewać, że usunie dziewczynę, raczej rywala... — rozważa major.

— Czekaj, jeżeli to członek gangu, to on musi mieć alibi na czas wypadku. M U S I — podkreśla pułkownik.

— Ja myślę, że on ma... — wtrąca Cie.ślik. — On je ma i na ten dzień, i na tamten.

— Ma — zgadza się Lis. — U innych członków gangu.

— Jeżeli w ogóle ma coś wspólnego z gangiem — zastrzega się major.

— Zrobiłeś się niesłychanie ostrożny — uśmiecha się **Z** przekąsem Lis. — Już nie zapalasz się do kolejnego śladu?

— Po tylu koncepcjach i tropach można ostygnąć, pułkowniku — broni majora Cie.ślik.

— Istnieje jeszcze jedna możliwość — podejmuje inspektor. — Joanna rzeczywiście nie wiedziała o działalności i planach gangu. Szapar umawia się z nią na określoną godzinę, bo z jego wyliczeń wynika, że w tym czasie będzie już po „robocie”. Przypominam: cała akcja trwała sześćdziesiąt sekund. Droga z miejsca napadu do kawiarni? Można ją przebyć w ciągu trzydziestu sekund. Ogromnie trudno, nawet w najlepszej wierze, stwierdzić, czy umówiona na spotkania osoba przychodzi dwie minuty przed czasem, czy po oznaczonej godzinie. Poza tym kobiety mają tendencję do spóźniania się. Plan mógł być taki, że Joanna po przyjsciu do kawiarni zastałaby Szapara oczekującego...

— Sądziś, że powstała nieprzewidziana trudność w obliczeniach gangu? — upewnia się Lis.

— Tak. Zawiodły wyliczenia. Przypadek, który jest w stanie popytać najbardziej precyzyjnie obmyślane plany.

— Zeznania dziewczyny w milicji, z czym się prawdopodobnie nie kryła przed bliskimi znajomymi — rozmyśla głośno pułkownik — nastraszyły Szapara... Mogły nastraszyć, jeżeli pochwaliła się, że widziała napastników. Przecież znała go dobrze... Mógł uznać, że jej sprostzeżenia są bardziej niebezpieczne, niż okazały się w rzeczywistości. Strach ma wielkie oczy.

— Poczul się sam, prawie rozpoznany — dodaje major. — W każdej chwili uzależniony od tej dziewczyny. Poza tym ciśnienie

psychiczne, świadomość, że stoi sam przeciwko milionom ludzi. To nie bagatelka takie samopoczucie. W takim stanie psychicznym można usiłować zlikwidować świadka lub nawet kilku świadków...

4

Inspektor umawia się z profesorem. Larst przyjmuje go w klinice. Ważnie wysłuchuje prośby inspektora.

— Panie profesorze, ogromnie nam zależy na uzyskaniu pewności, z kim była umówiona Joanna krytycznego dnia, w którym miał miejsce napad na Składnicę — wyjaśnia inspektor.

— Czy to ma związek z napaścią na nią? — dopytuje się Larst.

— Tak sądzę — mówi major. — Proszę sobie dokładnie przypomnieć, co pan robił tamtego dnia.

— Zaraz. To nie takie proste. Moje dni są tak wypełnione. Wrażenia i czynności nakładają się na siebie. Jestem w kłopotcie... będę miał trudności z zapewnieniem sobie alibi, panie majorze — lekko uśmiecha się Larst.

Bierze gruby terminarz, przerzuca kartki. Sprawdzając notatki mówi:

— Rano niewątpliwie około dziewiątej byłem już w klinice, tałt — zerka w zapiski — miałem konsultację z kolegami... ustaleniem diagnozy... musiałem być w klinice do dwunastej. Później wykład na Akademii Medycznej. Około trzeciej obiad w domu. Zaraz? To był wtorek, no — więc między drugą a trzecią byłem na basenie. Dwa razy w tygodniu chodzę na pływalnię. Co robiłem dalej? — głowi się Larst. Znowu sprawdza notatki. — Aha! Nagła operacja. Ciężki przypadek — powikłane złamanie czaszki. Tak, pogotowie dostarczyło pacjenta z wypadku drogowego. A później? Nie, chyba nie umawiałem się tego dnia z Joanną. Nie przypominam sobie.

— Może ma pan gdzieś zapisane? — ze słabą nadzieją podpowiada major.

— Nie — Larst lekko uśmiecha się. — Opinia o roztargnionych naukowcach jest mocno przesadzona, majorze. Nie muszę notować dat spotkań z kobietą...

— Bardzo mi zależy na ustaleniu tego faktu — powtarza Inspektor.

— Przykro mi — Larst bezradnie rokląda dłonie — ale nie mogę sobie przypomnieć; jak pan widzi, brak mi alibi. Sądzi pan, że Joannie może jeszcze coś grozić? — pyła z niepokojem.

— Wydaje mi się, że po utracie pamięci — z naciskiem podkreśla major — i-aczej nie powinno jej już nie zagrażać.

— Raczej? — powtarza Larst. — Pan niezupełnie jest tego

pewien.

— Nie mogę zaręczyć, panie profesorze — przyznaje major. — Podjąłem pewne środki ostrożności, aby zabezpieczyć ją przed ewentualną powtórna napaścią — dodaje niechętnie.

Larst przez dłuższą chwilę przygląda się inspektorowi. Rozważa coś, waha się, namyśla.

— Joanna jest trochę dziwna... — zaczyna niepewnie.

— Co to znaczy, panie profesorze? — nie rozumie inspektor.

— Sam nie bardzo potrafię to określić — ostrożnie ciągnie Larst. — Widzi pan, czaSami, to są chwile, odnoszę wrażenie, że ona z jakichś przyczyn udaje niepamięć. Proszę mnie dobrze zrozumieć, to są tylko wrażenia, ja mogę się mylić.

— Nie ma naukowych metod stwierdzenia ponad wszelką wątpliwość jej właściwego stanu? —• dowiadyuje się major i przypomina sobie rozmowę z Cieślikiem po tej aw'anturze z labędziem Lohengrina.

— Nie ma. Mózg ludzki w znacznej swej części pozostaje dla nas jeszcze tajemnicą.

— Przypuszcza pan, że Joanna symulowała niepamięć?

— Nie. To znaczy nie od początku. Być może, że w jakimś momencie nastąpił ten pożądaný i oczekiwany prze?e mnie przełom. I ona się do tego nie przyznała, udając stan poprzedni. Być może — głośno myśli Larst — że przypomniał! sobie tylko część swego życia. Nie wiem, nie mam na to przekonywujijcych faktów, mimo że obserwuję ją uważnie.

— Jak pan sądzi, z jakiego powodu lub powodów Joanna nie przyznaje się do tego? — pyta major.

— Niestety, na to pytanie nie znajduję logicznej odpowiedzi. Nie widzę żadnych rozsądnych przyczyn, dla których miałaby to robić. Joanna ma do mnie zaufanie.

— Może boi się?

— To panu tak się może wydawać, majorze — uśmiecha się z pobłażaniem Larst. — Pan jest pod wrażeniem swoich poszukiwań, pragnie pan potwierdzenia swoich założeń...

—[^] Chciał pan powiedzieć: skrzywienie zawodowe — uśmiecha się inspektor. — Ale co pan zaobserwował? Co pana uderzyło w jej zachowaniu, że nabral pan wątpliwości...

— Już panu mówiłem, że brak mi faktów. Czasami to jest jakiś gest, wyraz twarzy. Czasami jedno słowo, które mi podsuwa takie przypuszczenia. Właściwie jest tylko jeden fakt — profesor opowiada majorowi o ukrywaniu przez Joannę ćwiczeń baletowych. — Ale to można tłumaczyć W różny sposób — ciągnie Larst. — Może nie chce, abym ją namawiał do podjęcia pracy w Operze — dodaje zamyślony — co bez przerwy i to w sposób natrętny robił jej ojciec.

— Ojciec zgodził się na odejście Joanny z domu? — major decyduje się jednak na to pytanie.

— Tak — obsesowe pytanie majora wprawia Larsta w zakłopotanie. — Tak — powtarza. — Niesłychanie przeżywał i przeżywa wypadek Joanny, jej chorobę. Uważa dziewczynę za niepełnowartościową. Załamało go to tak, że się ciężko rozchorował. Leczyłem go nawet u siebie w klinice. Uległ bardzo silnej depresji psychicznej. Później przyszedł stan krańcowego wyczerpania nerwowego i zupełnej apatii.

— Wyleczył go pan?

— Niezupełnie. Oczywiście nie ma porównania ze stanem, w jakim przyszedł do kliniki. Na resztę potrzeba czasu i przede wszystkim pogodzenia się z losem. Poradziłem mu, żeby gdzieś wyjechał, zmienił otoczenie, warunki.

— Jak pan się zapatruje na moją rozmowę z Joanną? — sonduje Korosz.

— No cóż, przeciwwskazań lekarskich nie mam. Osobiście, jeżeli to możliwe, wolałbym tego uniknąć — mówi ze skrywaną niechęcią Larst. — Jeżeli pan uważa rozmowę za konieczną — proszę. Nie sądzę, aby to coś dało.

Larst żałuje, że podzielił się z inspektorem swymi wątpliwościami.

Joanna przyjmuje spokojnie wizytę inspektora. Fakt, że jest on przedstawicielem milicji, nie robi na niej żadnego widocznego

wrażenia. — Naszyjnik z hebanu

— Jerzy, czy ja coś przeszkrobałam? — żartobliwie zwraca się do profesora.

— Pan chce bliżej poznać okoliczności twęgo wypadku, Joanno — wyjaśnia Larst. — Spróbuj wysłuchać pana uważnie. Może coś sobie przypominisz?

Major jest niezadowolony z tego wstępu. Usiłuje zainteresować dziewczynę pytaniami. Właściwie nie spodziewa się usłyszeć od niej nic istotnego, ale uważnie śledzi jej zachowanie, ruchliwą, wyrazistą tv/arz.

Joanna siedzi naprzeciw inspektora, wtulona w oparcie fotela. Przygląda się swej dłoni, gładzi hebanowy naszyjnik. Druga dłoń bezwładnie spo-^zywa na oparciu fotela.

Po każdym pytaniu inspektora namyśla się przez chwilę; gest palców przebiegających po ogniwie naszyjnika jest szybszy, niecierpliwy.

— Nie wiem, nie pamiętam... nie wiem... — ciemne oczy, uniesione teraz na majora, patrzą prawie natarczywie. Dłoń zwiera się na naszyjniku, nieruchomieje.

Następne pytanie. Znowu chwila głębokiego namysłu, oczy obserwujące gest palców dotykających na.szyjnika.

— Nie wiem... — głos dziewczyny matowieje, staje się rozdrażniony, później monotony, apatyczny.

— Pan mnie męczy — przerywa Joanna kolejne pytanie i spojrzeniem szuka pomocy u Larsta. — Czy już nigdy nie będę miała spokoju — w głosie brzmi żal i ledwo hamowany wybuch. — Zawsze znajdzie się ktoś, kto mi musi przypominać o moim nieszczęściu? Zerwałam z Operą, z dawnymi znajomymi, nawet ojca unikam z tych powodów — głos drga wysoko, histeryczną nutą. — Czy pan myśli, że mi łatwo żyć z takim upośledzeniem?

Joanna zrywa się gwałtownie z faterla. Palce wykonują szybkie, nieopanowane ruchy wokół naszyjnika; dziewczyna jest blada.

— Przepraszam — opanowuje się i siada z powrotem na fotel. Szuka papierosa i drżącymi palcami podnosi go do ust.

Inspektor wraca do Komendy z uczuciem absolutnego zamętu. Wydaje mu się, że wszystkie jego hipotezy są błędne, wszystkie założenia i domysły fałszywe, że zabrnął w ślepy zaułek po następnym zwodniczym, nieprawdziwym tropie.

Gdzie leży błąd? — rozmyśla.

— To wszystko jest pozbawione sensu — zwierza swoje wątpliwości pułkownikowi Lisowi.

— Nie łam się, Andrzeju — pociesza go przełożony — nie muszę

cię przekonywać, że dochodzenie, śledztwo rzadko bywa efektywnym fajerwerkiem. Natomiast jest dużo żmudnej, v,'cale nie błyskotliwej, nie przynoszącej natychmiasto-¹ wych efektów pracy. Masa materiału informacyjnego, wśród którego człowiek błądzi jak ślepy. Opór i niechęć ludzi, którzy mogliby coś wniesić, a z różnych względów nie wnoszą nic. Kręactwa, kłamstwa, przemilczanie prawdy w imię własnych, drobniotkich czasami interesików, w imię źle pojętej solidarności, pomocy. Czasami jest to chęć ukrycia intymnych spraw, które przy okazji mogłyby ujrzeć światło dzienne.

— Na ogół staram się szanować ludzkie sekrety.

— Nie zawsze to się udaje —■ przerywa Lis. — Z drugiej strony są świadkowie, którzy dadzą się pokroić w paseczki, mówiąc w najlepszej wierze, że to, co widzieli, było białe, a potem okazuje się, że uwzględniając wszelkie okoliczności widzieli brązowe. Co ci będę mówił, sam o tym wiesz. Trzeba jednak to ciągnąć i z powodzi błędnych ocen, informacji starać się wyłowić prawdę. Dokładnie sprawdzać każdy szczegół. Porównywać te fragmenty.

— A jeżeli puściłem coś bardzo istotnego? — męczy się major.

— Co mianowicie?

— Nie wiem. Mam takie uczucie, że coś przeszło koło mnie, czego nie zauważyłem, na co nie zwróciłem uwagi.

— Coś, czegoś, uczucie! Nie znoszę metafizyki — obrusza się Lis. — Jeżeli jesteś zmęczony, to idź się przespać. Na pewno skojarzysz sobie to „coś” i wtedy należy zrobić to jeszcze raz, jeszcze dziesięć razy, dokładnie i precyzyjnie.

— Teraz mi się wydaje, że wypadku Joanny nie można logicznie powiązać z Szaparem — powtarza z uporem major.

— Dawaj jeszcze raz to jej przesłuchanie — mobilizuje się Lis.

Znowu z taśmy rozbrzmiewa jasny głos Joanny — oficerowie słuchają tych słów po raz nie wiadomo który.

— Jeżeli ona była tak blisko, jak iiam sugeruje — inspektor włącza magnetofon — to czy jest możliwe, ażeby nie rozpoznała Szapara, jeżeli to on brał udział w napadzie?

— Andrzeju, tam było dość ciemno, a nie zapominaj o tym, że gdy padają strzały, ludzie nie są skłonni do rozglądania się, a szczególnie do kontemplacji fragmentów aparycji strzelających. Wtedy przeważnie biorą nogi za pas, a głowa sama wciska się w ramiona. To samo zrobiła Joanna i trudno się temu dziwić.

— Gdyby go rozpoznała lub wydał jej się podobny... to przecież

w kilka minut później — inspektor cofa taśmę i znów uruchamia magnetofon — nie miałyby takiej czystej, spokojnej barwy głosu.

— Mam wrażenie, że ona nikogo nie rozpoznała — stwierdza Lis.
— Jestem o tym prawie przekonany. To tylko gang miał wątpliwości i... ty.

— To trwało sześćdziesiąt sekund — upiera się Korosz. — Całą minutę. Minuta to jednak trochę czasu.

— Owszem, dla sędziego moto-crossu — oświadcza Lis. — Dla człowieka bardzo spostrzegawczego, z dobrym wzrokiem, ale pod warunkiem, że nie będzie przy tym zajęty przede wszystkim własną skórą, aby ją gdzieś schować.

— Jednak podała pewne szczegóły — mówi bez przekonania major.

— Psychologia zeznań, Andrzeju — przypomina z pobłażaniem Lis. — Nie zapominaj o tym. Przypomnij sobie prosty test: zgrupuj dziesięć osób i pokaż im jakiegoś człowieka, a później każ im go opisać. Rzadko znajdują się dwie osoby, które zgodzą się co do szczegółów.

— Nie sądzę, aby Joanna celowo kłamała opisując bandytów — namyśla się inspektor.

— Ja jestem przeświadczony, że ona we własnym mniemaniu nie kłamała — mówi Lis. — Niewątpliwie przez króciutki czas widziała sylwetkę, po chwili nałożyły się na to jej wyobrażenia, może uwagi zebranych w bramie ludzi. Nim dotarła do nas, miała już jakiś zamknięty obraz, składający się po części z własnych, a trochę z cudzych opinii. Gdy składała zeznania, miała w pełni zarysowaną postać i gotowa byłaby przysiąc, że było właśnie tak, jak ona to zapamiętała. Przeanalizuj zeznania wszystkich siedemdziesięciu świadków, którzy utrzymują, że widzieli moment strzelaniny we wnętrzu Składnicy PKO — mętlik, kasza i w ogóle... rozpacz.

— Sądzę, że bandytom również nieobca jest psychologia zeznań — podkreśla inspektor.

— Chcesz powiedzieć, że znając niedoskonały mechanizm spostrzegania u ludzi, powinni być spokojni, że nie zostali jednak rozpoznani.

— Jeżeli rozważali to tak spokojnie i chłodno jak my, to musieli dojść do podobnych wniosków, lecz jeśli mieliby działać pod wpływem nagłego strachu, to zabiliby Joannę natychmiast, a w każdym razie wkrótce po napadzie na Składnicę.

— Zabójca nie mógł tego rozważać tak jak my, Andrzeju. To też psychologia. W tym wypadku psychologia napastnika. Sprawca,

nawet o najchłodniejszej, racjonalnej i logicznej umysłowości, zawsze będzie pod presją kompleksu zagrożenia. Poczucie niebezpieczeństwa i zagrożenie karą śmierci może łatwo doprowadzić do nowej zbrodni.

— Z bardziej błahych powodów mordują — wzdycha inspektor. — Ale to nie jedyne tajemnice tego śledztwa. Kto potrafił w mistrzowski sposób włamać się do biurka v/ domu Larstów? W willi było cztery osoby i pies...

— Pies jest jeszcze młody, nie ma roku, i głupi.

— Wszystko jedno, nawet uwzględniając głupotę psa musiałby to być „skakier”—mistrz. Takie włamanie to nie bagatelka i nie każdy włamywacz potrafi je przeprowadzić, nie usuwając przy tym psa.

Głupiego, bo głupiego, ale który może narobić hałasu za trzech brytanów. Kto będzie ryzykował ujadanie kundla w takiej sytuacji?

— Andrzeju pułkownik kiwa z politowaniem głową — sprawa wygląda o wiele prościej. Za bardzo wierzysz pięknej kobiecie i to ci komplikuje rozumowanie.

— Róża Larst kłamie?

— Łże jak najęta. Przecież ona kłamie bez przerwy. Na swoją korzyść, i na swoją niekorzyść, jak popadnie. Przecież tym stekiem kłamstw obciąża siebie z jakąś niepojętą konsekwencją. Nie rozumiem jej postępowania. Babka przecież inteligentna, a już tak się zaplątała w piramidzie horrendalnych, coraz głębszych łągarstw, że przykro to czytać. Czy ona jest taka naiwna, czy nas uważa za ostatnich idiotów. A może sądzi, że jej olśniewająca uroda pada nam na mózg. Rozumiem jeszcze, że ciebie posądza o zaćmienia umysłowe, ale dlaczego mnie?

— Możesz mieć rację — przyznaje major, pomijając milczeniem przytyki pułkownika.

— Więc mówię ci, że żadnego włamania do sekretarzyka nie było — ciągnie z przekąsem Lis. — To włamanie uległo się wyłącznie w jej przerażonej głowie. Później tak się przywiązała do tej myśli, że w końcu w nią uwierzyła.

— Sądzisz, że nosiła pistolet przy sobie?

— W dalszym ciągu v/ torebce, jak cały majdan innych rupieci; przepraszam, wykwinnych drobiazków. Może nawet nie bardzo pamiętała, że Koliber w ogóle tam jest. To nie znaczy, że w ogóle nie pamiętała, gdzie on jest. Ale na przykład zaginięcie puderniczki zauważyłaby od razu, bo to dla niej rzecz niezbędna, przedmiot pierwszej potrzeby, a Koliber? Brak pistolecika mógł długo ująć jej uwagę.

— Chcesz powiedzieć, że pistolet skradziono jej wcześniej niż w

dniu wypadku? — upewnia się inspektor.

— Tak mi się wydaje. Nie mam chęci dociekać tego. To nie jest najistotniejsze.

Krystian Szapar je bardzo spóźniony obiad w dworcowej restauracji. Dzisiaj miał zupełnie zwariowany dzień. Niespodziewanie otrzymał polecenie wyjazdu, zaliczkę. Jak zwykle w takich wypadkach zageściły się sprawy wymagające natychmiastowego załatwienia. Zabrakło czasu na obiad.

— Pociąg ekspresowy do Wrocławia podstawiono na tor drugi przy peronie pierwszym — informuje głos z megafonu.

Szapar pośpiesznie kończy jedzenie i wychodzi z restauracji. W następnej sali — bar drugiej kategorii. Tłok.

W kącie gv/arnej sali nad pełnym kuflem samotny mężczyzna w ciemnozielonym lodenie pali papierosa, obserwując dwuskrzydłowe drzwi do restauracji. Na widok wychodzącego Szapara odwraca się, jakby raził go blask bezcieniowych lamp.

Szapar przeciska się przez ruchomy wąż podróżnych oczekujących w kolejce po piwo. Mężczyzna w lodenie pozostawia nie tknięty kufel i nie śpiesząc się zdąża w stronę peronów.

Megafony znowu zawiadamiają, że pociąg pośpieszny do Wrocławia został podstawiony na tor...

Szapar idzie wzdłuż składu pociągu, poszukując wagonu pierwszej klasy. Mężczyzna w zielonym lodenie stara się nie stracić z oczu wysokiej sylwetki Szapara.

Szapar znika w drzwiach wagonu. Człowiek w lodenie nieporuszony trwa w cieniu kiosku na sąsiednim peronie.

Wskazówki oświetlonych tarcz dworcowych zegarów zbliżają się do godziny odjazdu wrocławskiego pociągu. Mężczyzna w lodenie przeciodzi na właściwy peron i znika w drzwiach ostatniego wagonu.

Szapar znajduje zupełnie pusty przedział. Gdy pociąg rusza, wyciąga się wygodnie na miękkiej ławce.

Jest godzina dziesiąta wieczorem. Mężczyzna w lodenie przebiega puste korytarze wagonów. Gdy dociera do wagonu pierwszej klasy, ostrożnie, coraz ostrożniej sprawdza wnętrza mijanych przedziałów. Półmrok panujący w nich nie ułatwia mu penetracji.

Pociąg nabiera szybkości, przecina ciemności ślepiami reflektorów. Zostawia za sobą spokojnie oświetlone okna osad, skape zagajniki i monotonne płaszczyzny mazowieckich rów-, nin. Z dudnieniem przelatuje mosty spinające brzegi rzek.

Przedział obok Szapara jest niemal pusty. Siedzi w nim jeden tylko młody mężczyzna, który raz po raz zapada w niespokojną

drzemkę. Zapala papierosa, walczy z ogarnia-
jącą go przemożną sennością. Wreszcie wychodzi na koi-y-
tarcz, szuka konduktora. Spotyka go w sąsiednim wagonie sprawdzającego bilety.

— Panie konduktorze, jadę do Ostiowia — zawiadamia.

— Obudzić pana? — domyśla się konduktor, zwracając sprawdzony bilet.

— Chciałbym o to prosić — podróżny wciska w dłoń zaszkoczonego konduktora dwadzieścia złotych.

— Nie trzeba — broni się funkcjonariusz PKP — i tak pana obudzę, który przedział?

Pasażer wymienia przedział i wciska wreszcie banknot w dłoń konduktora.

— Widzi pan, że mną nie tak łatwo, jak usną — tłumaczy. — Sen mam jak drwal. Nie daję się obudzić i jestem przykry. W domu to mnie nikt nie chce budzić — wzdycha. — Nastawiam dwa budziki jeden po drugim, dopiero jakoś wstają...

— Proszę się nie martwić, obudzę.

— Żeby nie wiem, co robił — oświadcza pasażer — proszą mnie nie słudzić i wysadzić mnie w Ostrowiu.

— Załatwione.

Uspokojony podróżny wraca do przedziału i układa się do snu. W wagonach zapada cisza. Sennie palą się żarówki na korytarzach, sennie postukują koła pociągu. Mężczyzna w łodzie nie wychodzi na korytarz i cmiąc papierosa łowi wzrokiem ruchomą ciemność za oknem.

Pośpieszny zbliża się do Ostrowia — powoli wytraca szybkość, z daleka nadbiegają maleńkie punkciki świateł dworca — mrugają zielone oka semaforów.

Konduktor z pomocnikami idą obudzić pasażera o śnie drwała. Często "przypadek" rzadzi losem i pokrzyżuje najprzemysłniejsze plany.

Krystian Szapar na wpół obudzony nie rozumie, czego od niego chce mężczyzna, który energicznie potrząsa go za ramię.

— Ostrów — słyszy.

— No to co z tego, odczep się pan — mamrocze rozszalały. Pociąg zatrzymuje się na stacji.

Konduktor z pomocnikami nie mają czasu na dyskusję. Chwytają opierającego się Szapara, który zupełnie nie rozumie, o co chodzi, i wyprowadzają z przedziału.

— Jadę do Wrocławia — broni się ze złością. — Co robicie, do cholery!

— Ostrów — powtarza z tępym uporem konduktor i lioluje delikwenta do drzwi wagonu.

Szapar bez trudu dałby sobie radę z obydwoma funkcjonariuszami PKP — którzy nie są atletami — ale ich upór i zdecydowanie, rzecz dzieje się błyskawicznie — tak go zaskakuje, że w końcu zupełnie dezorientowany pozwala wystawić się na peron.

Człowiek w lodenie obserwuje tę scenę z przeciwnego końca korytarza. Widząc, że Szapar znalazł się jednak na peronie, wyskakuje z nim z ruszającego już pociągu.

Zbaraniały Szapar przygląda się czerwonym światłom ostatniego wagonu oddalającego się ekspresu. Dalej nic nie rozumie. Był moment, że mógł jeszcze w/skoczyć z powrotem do ruszającego pociągu, lecz myśl o dziwnj-^ch konduktorach przykuła go do peronu.

Bezmyślnie spogląda na tarczę dworcowego zegara, bezmyślnie odnotowuje późną godzinę nocy i bezmyślnie ogląda puste, skąpo oświetlone perony.

Człowiek w lodenie, ukryty w mroku, obserwuje z daleka jego zachowanie. Szapar rusza wreszcie w stronę dworcowej poczekalni. Pusto, cicho. Kilka skulonych postaci śpi na ławkach. Wyblaknięte plakaty, specyficzny koloryt i styl starych, prowincjonalnych dworców. W jednym oświetlonym okienku kasy drzemie kasjer. Szapar budzi go. Dowiaduje się, że następne połączenie do Wrocławia — trzy przesiadki — będzie o siódmej rano. Nie ma sensu czekać na to połączenie.

I tak nie zdąży na zamknięcie festiwalu, który odbędzie się jutro przed południem. Dobiega pierwsza w nocy.

Szapar jest zdecydowany na powrót do Warszawy. Połączenia ze stblicą do rana także nie ma. Wychodzi przed dworzec — ciemno — pusto. Wraca.

— Czy są tu w ogóle taksówki? —■ hamując rozdrażnienie nagabuje rozespanego kasjera.

Kasjer podaje telefon, pod który można zadzwonić i zamówić taksówkę.

Szapar, zdziwiony tym nie znanym w Warszawie europejskim udogodnieniem, dzwoni. Niebawem zjawia się przed dworcem liierowca taksówki. Rozpoczynają się targi za niemały kurs do Warszawy. Kierowca chce zarobić, ale boi się tego nocnego kursu i nieznanego pasażera.

Szapar rozumie wreszcie wahanie tamtego.

— Proszę — wtyka mu do ręki dowód osobisty.

Człowiek w lodenie pod osłoną ciemności posępnie obserwuje tę scenę. Zorientował się, że tamten postanowił wracać do Warszawy. Nie czeka już na dalszy rozwój sytuacji. Chce wejść na dworzec, ale cofa się w ostatniej chwili i rezygnuje z zamówienia taksówki w podobny sposób.

Zdecydowany już, oddala się. od dworca — roztapia w ciemności nocy. Później samotnie idzie szybkim, wyrównanym marszem szosą w stronę Warszawy.

Co się stało? — myśli. — Co pomieszało moje wyliczenia? Dlaczego wysiadł tutaj? Dlaczego tak brutalnie wysadziła go z pociągu

obsługa? Dlaczego nie czeka na pociąg, boi się? Czyżby coś przeczuwał? Niemożliwe! Na czyje zlecenie działali konduktorzy? Jak wj^marzona okazja, trudno byłoby wymy- ■ślić, pi-zewidzieć lepszą sytuację niż u tej miéscinie. A tak? Wymknął mi się z rąk. Czyżby ludzie mieli przecucie, intuicję. Co się odwlecze... — błąka mu się znane przysłowie. Nie, w tym wypadku zwłol^a może równać się katastrofie. Nie mogę czekać, ona zginie... — Ogarnia go niepokój. Strach każe mu przyśpieszyć kroku, gna go w noc po pustej szosie.

>

Wreszcie na horyzoncie — daleko jeszcze — nikle światełka jakiejś osady, wsi, miasta?

Człowiek w lodenie niezmordowanie maszeruje wprost l:u nim.

Miasteczko. Czworobok rynku, który przecina warszawska szosa. Wysokie jarzeniowe lampy panują nad tą pustą płaszczyzną. Stłumiony gwar zza oświetlonych szyb zawieszonych kretonem w „picassy”. Restauracja.

— Gospoda numer jeden — odczytuje szyld mężczyzna w lodenie. Przez chwilę zastanawia się, czy nie pchnąć tych drzwi.

Na rynek zajężdża samochód z oświetlonym napisem „Taxi”.

Mężczyzna odwraca się spod drzwi baru i trochę chwiejnym krokiem podchodzi do taksow'ki.

— Muszę się dostać do Warszawy — mamrocze.

Szofer taksuje go nieufnym wzrokiem.

— Nie pojedę — zdecydowanie potrząsa głową.

Pasażer, sprawiający wrażenie niezbyt trzeźwego, namawia, perswaduje, prosi.

Taksówkarz jest na razie nieugięty, chce w^ygrać cenę. Dochodzi wreszcie do wniosku, że jeden samotny pasażer nie może być znowu tak groźny.

— Placę z góry i to dobry kurs — mężczyzna w^yciąga plik banknotów.

Szofera fascynują równiutko ułożone pięćsetki. Jeszcze przez chwilę przygląda się niepewnie pasażerowi — chce do ostatka wyśrubować cenę.

— Dobrze — zgadza się wreszcie — ale pan siada przy mnie.

— Jeżeli o to chodzi — uśmiecha się mężczyzna w lodenie — może być pan spokojny, nie rabuję szoferów na szosie, zapewniam pana. Kierowca otwiera przed nim drzwiczki wozu.

— Chciałbym jednak bardzo szybko znaleźć się w Warszawie — oznajmia pasażer. — Za pośpiech leci oddzielna premia — dodaje i usadawia się obok kierowcy. Po chwili zapada w drzemkę.

Wóz niknie po pustej szosie w stronę Warszawy. Rzadko strzałka szybkościomierza schodzi poniżej dziewięćdziesięciu.

Mężczyzna bez zbędnych słów rozstaje się z szoferem na placu Zawiszy w pobliżu Dworca Głównego.

Miasto jeszcze nie obudziło się na dobre. Jest pora przedświtem, godzina zupełnego bezruchu. Nawet mleczarze do- sypiają jeszcze swój kwadrans. Tylko karawany wozów podwarszawskich ogrodników przecięły już miasto i docierają jak co dnia do placów, gdzie o szarówce trwa „zielona giełda”.

Człowiek w lodenie przemyka ulicami. Chce dotrzeć do celu jeszcze przed nastaniem dnia.

Przez moment z namysłem ogląda wysoki punktowiec. Wejść do niego można z dwóch różnych ulic, przez cztery wejścia umieszczone z dwóch stron budynku. Jedenaście pięter — sto pięćdziesiąt lokali mieszkalnych. Cztery windy po dwie na każdej klatce schodowej.

Drzwi od klatek schodowych dozorca na noc zamyka — medytuje człowiek w lodenie; zna obyczaje tego domu. Lokatorzy mają klucze od drzwi wejściowych.

Przez chwilę obserwuje okolice domu — bada wzrokiem każdy załomek muru sąsiednich zabudowań. Nikogo. Najbliżej stoi nowy dom — podciągnięty dopiero pod dach. Mężczyzna bacznie ogląda pusty teraz plac budowy, betonowe pasy kondygnacji nie wykończonego budynku. Jeszcze raz przenosi wzrok na uśpione, zaciągnięte storami okna zamieszkałego domu, który go tak absorbuje. Czas nagli, za chwilę może obudzić się dozorca.

Teraz.

Kilkoma krokami przemierza przestrzeń dzielącą go od punktowca. Lekki trzask przekręcanego klucza i skrzyp zawiasów.

Mógłby ten dozorca naoliwić zawiasy — myśli mężczyzna w lodenie, ostrożnie zamykając drzwi.

Winda. Przypadek mu sprzyja. Klatka windy akurat jest na parterze. Wchodzi i naciska guzik dziesiątego piętra. Widzi swoją twarz odbitą w lustrze dźwigu. Jest spokojna — nie znać na niej nie przespanej nocy.

Przyzwyczajenie — wzrusza ramionami i odwraca się od swego odbicia. Czuje, jak spływa na niego spokój. Zupełny spokój, w którym mózg pracuje jasno, precyzyjnie, który daje pewność rucliów, zdecydowanie.

Zna ten zimny, prawie obojętny spokój, który zapewnia bezbłądność działania.

To jest improwizacja — myśli wsłuchując się w szmer windy. —

Improwizacja jest rzeczą dobrą, jeśli przypadek sprzyja.

Nie spotkałem dotychczas nikogo — rejestruje równocześnie. — Nie spotkać tylko nikogo na piętrze. Jeżeli spotkam?... Mało prawdopodobne. Ale jeżeli spotkam — to na dziś trzeba zrezygnować.

Winda zatrzymuje się. Człowiek w lodenie ostrożnie wychodzi i zostawia uchylone drzwi dźwigu. Cicho, nie robiąc szmeru staje pod drzwiami mieszkania i naciska przycisk dzwonka.

Dwa krótkie urywane sygnały, następujące jeden po drugim, i trzeci dłuższy — przerwa. Odczekuje nashuchując chwilę nie szmerów z wnętrza mieszkania, tylko ewentualnych odgłosów z budynku. Cisza. Znow dwa krótkie urywane sygnały i trzeci dłuższy.

Szelest kroków we wnętrzu mieszkania. Krótka jak mgnienie chwila wahania kogoś we wnętrzu i drzwi uchylają się bezszelestnie.

Krystian Szapar z lekkim zdziwieniem i jakby z odcieniem ulgi wypuszcza męzczyzną *uj* lodenie do wnętrza mieszkania.

— Chodź — zaprasza. — Stało się coś, że cię nosi po nocy? — dowiadyuje się na wstępie.

— Nic specjalnego — mówi człowiek w lodenie. — Przechodziłem tędy, wstąpiłem po drodze... Zrobisz mi kawę?

— Rozbieraj się — tłumii ziewanie Szapar, chce mu pomóc zdjąć płaszcz.

— Poradzę sobie — protestuje tamten i wiesz loden na wieszaku w przedpokoju.

Szapar wychodzi do kuchni — drzw/i do przedpokoju są otwarte — i stawia czajnik na gazie.

— Weź sobie coś do picia — woła do tamtego — butelki są tam, gdzie zwykle. Zaraz będzie kawa, zjesz coś? — odwraca się do tamtego.

Gość Szapara marudzi przy płaszczu, szukając czegoś w kieszeniach. Ocenia odległość dzielącą go od gospodarza.

Jest ode mnie dwa razy silniejszy — ocenia muskularną sylwetkę Szapara. — Zaskoczenie. Tak, niech przygotuje coś do jedzenia.

— Zjadłbym coś — odpowiada na pytanie — ale coś dobrego... — namyśla się, co chciałby zjeść. Znajduje wreszcie to, czego szukał, wyciąga chustkę do nosa, wolno, pedantycznie przekłada ją do Itieszeni marynarki.

— Anchois, sardynki, mam kawior — wylicza gospodarz. — Są koreczki, łosoś, węgorz, wędlina. Jajecznicza?

— Czarny Itawior? — dowiadyuje się gość.

— Czarny też... To co?...

— Otwieraj te pudełka, wszystkiego po trochu — decyduje gość.

Szapar odwraca się tyłem do niego. Wyjmuje zapasy z lodówki. Na szerokim parapiecie okiennym otwiera puszki Icon- serw. Jego wysoka sylwetka wypełnia sobą okno, przysłonięte firanłą z pasiastego płótna.

Mężczyzna jeszcze raz ocenia odległość. Błyskawicznie odczepia z wewnętrznej kieszeni zielonego lodenu jakiś przedmiot. Zaciska w dłoni. Dwoma miękkimi, bezszelestnymi susami zbliża się do Szapara.

Teraz — sygnalizuje szybka, chłodna myśl.

Rozmach ramienia uzbrojonego w podłużny worek wypełniony ubitym piaskiem. Z głuchym odgłosem prymitywne to narzędzie spada na głowę gospodarza. Ten, tracąc równowagę, robi dziwnie wolno półobrót i na ugiętych nagle nogach osuwa się na bok.

W szeroko rozwartych oczach wyraz bezmiernego zdziwienia. Dopiero, za moment twarz przebiega skurcz bólu, wściekłości i strachu. Osłabłą ręką chwyta za parapet, usiłuje się dźwignąć, w drugiej dłoni zaciska nóż do Ivonserw, jalt gdyby to narzędzie mogło mu posłużyć do obrony.

Napastnik jest szybki — następny cios błyskawicznie spada na głowę Szapara. Jeszcze jeden i jeszcze. Napastnik uderza celnie, z zimną, bestialską furją. Młóci jak potworna maszyna.

Szapar z ciężkim westchnieniem bardzo utrudzonego człowieka wali się na ziemią. Padające ciało wydaje głuchy łoskot. W konwulsyjnie zwartej dłoni zaciska rękojeść śmiesznie małego nożyka do konserw.

Napastnik odrzuca worek, sypie się z niego grudami wilgotny piasek. Ręka wyszarpuje zza paska spodni połyskujący dw/ustronnym ostrzem nóż. Nieruchomo leżące ciało otrzymuje kilka pchnięć stalowej klingi.

Morderca podnosi się znad podłogi. Z posępną uwagą ogląda swoje dzieło. Uskakuje w bok przed wążutką strużką krwi, która toruje sobie drogę po nierównościach podłogi. Za nią płyną następne strumyczki.

Morderca ostrożnie wycofuje się do przedpokoju i starannie zamyka drzwi do kuchni.

W łazience bez pośpiechu ogląda swoje dłonie i ubranie. Lustro odbija bardzo bladą twarz, zroszoną drobnymi kropelkami potu. Przeciąga ręką po policzkach, które pokrywa mgiełka zarostu.

Przechodzi do pokoju — czysty brzask wstającego pogodnego dnia pastelową różowością barwi szyby okna. Morderca dociąga story.

Szybko nastający dzień przenika do mieszkania przez sploty tkaniny.

Napastnik ciężko siada na fotel — zegarek stojący na pomocniku przy tapczanie wskazuje piątą rano. W mieszkaniu panuje niczym nie zmacona cisza.

Z klatki schodowej napływają odgłosy budzącego się do mu. Szmer windy, kroki na schodach, powolne, pracowite kroki zatrzymują się na podeście kondygnacji.

Napastnik wyteża słuch — napięty, słturczony jak do skoku.

Pod drzwiami szelest kroków i dźwięk stawianej butelki.

Mleko dla pana Krystiana — przemyka przez myśl mordercy. Kroki oddalają się, cichną — trzask drzwi i szum uruchomionego mechanizmu windy.

Trzeba przeczekać, aż dozorca rozniesie mleko — postanawia morderca. Medytuje, czy roznoszenie mleka odbywa się od najniższych pięter, czy też zaczyna się od najwyższego. Tego nie przewidział, nigdy nie zwracał na to uwagi — błąd.

Przychodzi odprężenie nerwowe. Ogarnia go zmęczenie. Sięga na półkę. Wie, gdzie Szapar trzymał zapas alkoholu. Przez chusteczkę ujmując butelkę i pociąga kilka łyków. Odstawia butelkę.

Rozmyśla — przeszkadza mu i denerwuje tykanie budzi- Ica, pracowicie odmierzającego minuty. Wymyka się do przedpokoju — nasłuchuje i uchyla szybko drzwi. Wstawia butelkę z mlekiem i na powrót rygluje drzwi mieszkania.

Teraz retusz lokalu — decyduje. Naciąga rękawiczki: fru- w'ają rozrzucone papiery, listy, dokumenty, wypatroszone biurko prezentuje wnętrze wszystkich szuflad. W otwartej szafie nieład porzucanych ubrań, bielizny, drobiazgów. Wreszcie wystawia na stolik i blat biurka butelki z trunkami. Tłucze kieliszki, rozsiewa na podłodze odłamki szkła. Wylewa do muszli zawartość kilku butelek. Nie potłuczono kieliszki płucze koniakiem, lepki, gęsty likier rozlewa na biurku, stoliku.

Po chwili pokój wygląda jak naw^iedzony przez tornado.

Morderca szuka pieniędzy. Wszystkie znalezione banknoty zabiera ze sobą. Zabiera również książeczkę PKO, na której widnieje wkład kilku tysięcy złotych.

Ocenia wygląd pokoju i narzuca na siebie płaszcz. Wchodzi jeszcze do łazienki, aby przejrzeć się w lustrze po raz ostatni. z niezadowoleniem przeciąga dłonią po twarzy. Zarost na policzkach nie jest już ciemną mgiełką. Kępki szczeciny sprawiają, że wygląd mężczyzny stał się niechlujny, zaniedbany.

Wyglądam podejrzanie — myśli. — Niczym oprych.

Chwyta elektryczną maszynkę leżącą na półce pod lustrem i dokładnie goli policzki — potem oczyszcza ją skrupulatnie i odkłada na miej.sce.

Nasłuchuje pod zamkniętymi drzwiami. Ale odwraca .się jeszcze i zagląda do kuchni. Nieruchome ciało Szapara spoczywa tak, jak je zostawił. Przymyka drzwi i wyslizguje się na klatkę schodową. Zamyka na klucz mieszkanie Szapara. Szybko wspina się po schodach na jedenaste piętro. To jest najgroźniejszy moment. Natknie się na ludzi czy nie? Teraz zupełnie zdany jest na łaskę przypadłtu.

Jak duch przebiega kondygnację jedenastego piętra — nikogo. Teraz dziesięć stopni wiedzie na poddasze, na którym urządzone są pralnie, suszarnie dla całego domu. Korytarz prov;adzi do następnej klatki schodowej. Przebyć ten korytarz pustego poddasza nie zauważony przez nikogo. A nuz jakaś skrzętna pani dornu rozwiesza właśnie bieliznę — wtedy zostanie zauważony. To może być zapowiedzią kłeski.

Robi mu się gorąco. Serce przyśpiesza rytm uderzeń.

Czyżbym się bał? — myśli z niemłym zdziwieniem. Boi się rzeczywiście.

Lekko, bezszelestnie stawia kroki, przebiega korytarz, czujny, wrażliwy na każdy szmer.

S'epe szczęście towarzyszy mu przez te sekundy — które wydają mu się wiekiem — korytarz strychu jest zupełnie pusty.

Dopada drugiej klatki schodowej. Pudełko windy wisi na jedenastym piętrze. Wpuszcza klucze od mieszkania Szapara w otwór windy.

Przez moment myśli, że dźwig jest uszkodzony. Nie. Działa. Z cichym szuihem posłusznie niesie go w dół, na sam parter.

Teraz już tylko kilka kroków i wychodzi wprost na ulicę. Po kilku minutach jest jednym ze śpieszących się przechodniów ruchliwych Alei Jerozolimskich. Wtapia się w tłum.

8. Brakujące ogniwo

Pociąg pośpieszny hamuje na stacji Wrocław Główny. Pasażer, który za cenę dwudziestu złotych miał być wysadzony w Ostrowiu, wpada do przedziału służbowego z dziltą awanturą.

Przerażenie konduktora dosięga szczytu, gdy uświadamia sobie, że w Ostrowiu wysadził siłą jalwiegos zupełnie innego, Bogu ducha winnego człowieka.

Jak to się mogło stać? — nie może sobie darować. Cierpnie mu skóra na myśl, że tamten niewinnie wyrzucony w Ostrowiu poskarży się w dyrekcji. Nie ulega najmniejszej wątpli- w'OŚci, że złoży na

niego zażalenie.

Tymczasem funkcjonariusz służby X, któremu powierzono obserwację Szapara, rozgląda się po wrocławskim peronie. Nie rozumie, co się stało, czyżby tamten rozpoznał go i ulotnił się?

Nie, to niemożliwe, nie przypomina sobie, aby zrobił jakiś błąd. Zdrzemnął się w przedziale, to prawda. Ale przecież Szapar jechał do Wrocławia — to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Oficer czuje się nieswojo.

Festiwal pantomimy — uspokaja siebie. Znajdzie się, w końcu to sprawozdawca teatralny. Trudno przypuszczać, żeby akurat teraz robił coś takiego, co może interesować milicję. Na pewno jest w drodze do hotelu — odgania od siebie niepokój.

Pędzi do łolcau wrocławskiej służby X.

— Chłopaki, pomóżcie — prosi dyżurnego i wyjaśnia, ● co chodzi.

„Chłopaki” natychmiast zaczynają działać. Sprawa jest jasna. Mieli przejąć obserwację Szapara na terenie Wrocławia. Otrzymali poprzedniego wieczoru szyfrówkę z Warszawy. Dyżurny mobilizuje do poszukiwań całą zmianę. Gdy zdarzy się, jak mówią: „zaginięcie obiektu”, wywiadowcy są ogromnie solidarni.

— Nie martw się, koleś, znajdzie się — pociesza dyżurny. — W jaki sposób klient ci się zerwał?

— Byłem chyba zbyt pewny, że holuje do Wrocławia — wzdycha podkomendny Cieślika.

Po godzinie sprawa wygląda bardzo niedobrze. „Obiektu” nie ma na terenie Wrocławia. Wywiadowca zaszepia się i bierze słuchawkę linii specjalnej.

Dyżurny warszawskiego oddziału służby X notuje wiadomość.

— Dwadzieścia jeden, jeden, dwanaście, zero... — zapisuje dyktowaną szyfrem relację tamtego.

— Niech Wrocław kontynuuje poszukiwania — decyduje. — A ty siedź w ich lokalu i czekaj na dyspozycje — poleca pechowemu koledze po zanotowaniu informacji.

Spogląda na zegarek — jest nieprzyzwoicie wczesna godzina. Waha się przez chwilę, czy budzić Cieślika. Sprawa jest poważna — o zaginięciu obserwowanego niezwłocznie musi być poinformowany szef wydziału.

Porucznik Cieślik po przeczytaniu szyfrogramu wpada we wściekłość. Wściekłość Cieślika przejawia się nieco inaczej niż u innych. Porucznik staje się małomówny, wyraża się okragłymi

zdaniem, okazuje się, że władza dobrą polszczyzną, głos ma ściszony, uprzejmy.

Podkomendni chodzą wtedy jak na sprężynach i starają się unikać kontaktów z szefem.

Cieślik nie daje za wygraną. Z mapą kolejową w rękę wyznacza trasę wrocław/skiego pośpiesznego. Z rozkładu jazdy wynotowuje godziny i minuty postoju pociągu na stacjach.

Inny pracownik sprawdza, czy rzeczywiście jechał zgodnie z planem.

Okazuje się, że pociąg nie miał opóźnień — cały czas jechał zgodnie z rozkładem. Porucznik wzywa nową zmianę swoich ludzi. Najpierw obstawia Warszawę — może wrócił?

Szybkie samochody wiozą wywiadowców do najbliższych miejscowości, gdzie stawał pociąg.

—Trasa jak tasiemiec — żżyma się Cieślik łącząc się z Wrocławiem. Prosi, aby wrocławscy koledzy rozesłali ludzi do miejscowości, gdzie zatrzymuje się pociąg na trasie ich województw/a.

—Załatwione — uspokaja Wrocław.

—A ten mój baranek niech wam da zdjęcia delikwenta. Zróbcie odbitki i podajcie sztafetą dalej.

—Odbitki gotowe. Wysłałam ludzi na trasę, zawiadamiaj ościenne województwa — pogania wrocławski kolega.

Cieślik myśli, że niepotrzebnie przypominał o tych odbitkach. Przecież to pierwsza czynność, jaką zarządzi dyżurny każdej grupy X na alarm hasła „zginął obiekt”. Znowu idzie w ruch linia specjalna.

—Warszawa — Cieślik — zgłasza się porucznik. — Chłopaki, koleżeńska przysługa. Zginął „obekt”... Podaję trasę. Zdjęcia idą sztafetą z dwóch stron od Warszawy i Wrocławia.

Niebawem wszystkie ośrodki służby X w łódzkim, **w** poznańskim, na trasie wrocławskiego pociągu starają się pomóc stołecznemu wydziałowi służby X.

Niespodziewana, nadprogramowa robota? Tak. Solidarność. Jutro podobne niepowodzenie może zdarzyć się jednemu z tych wojewódzkich wydziałów i wtedy Cieślik rzuci do pomocy, bez zbędnych słów% cały swój wydział.

Uspokajają się telefony, dzwonki linii specjalnych — milczą radiostacje. Zapada męcząca, napięta oczekiwaniem cisza.

Cieślik nie może usiedzieć na miejscu. Czas wlecze się nie-miłosiernie leniwie.

Wreszcie meldunki z trasy. Zgłasza się Wrocław. Nie, nie natrafili na ślad Szapara. Co chwila brzęczą sygnały — poszczególne grupy

meldują wprost z penetrowanych stacji — że nie natknęli się na ślad „obiekta”.

— Co, do cholery, chyba nie wyskoczył z pociągu w biegu — złości się Cieślik.

Sygnal linii kolejowej. Przy telefonie melduje się Ostrów Wielkopolski. Dzwonią wprost ze stacji, przekazują wiadomość cyfrowym szyfrem.

— Jest. To znaczy był — Cieślik zamienia się w słuch. Myśli, że ma jednak odrobinę szczęścia. Taksówkarz widział nawet dowód Szapara i odstawił go pod samiutki dom w Warszawie.

Czego Szapar szukał w Ostrowiu? — głowi się porucznik.

Z samego rana melduje się u Korosza. Z przyjemnością przyjmuje filiżankę mocnej kawy. Nie wspomina o tym, że od piątej rano jest na nogach.

— Szapar nie dojechał do Wrocław/ia — zawiadamia inspektora. — Wsiadł w Ostrowiu. Co wy na to? Po kiego diabła wysiadł?

— Wiadomo, co tam robił? — pyta major.

— Wiadomo — z nonszalancją stwiei'dza porucznik, jak gdyby to było zrozumiałe samo przez się. Nie wspomina ani słowem o tym, że aby to stwierdzić, od piątej rano w/ trybie alarmowym pracowały cztery województwa.

Porucznikiem nie kieruje chęć ani chęć przywłaszczenia cudzych sukcesów. Nikt, kto bierze udział w takiej akcji koleżeńskiej pomocy, bez koniecznej potrzeby nie zawiadamia swoich przełożonych o perypetiach „zgubienia obiektu” i sposobie poszukiwań. To są blaski i cienie ich pracy, nie ma czym się chwalić, skoro rzecz się szczęśliwie skończyła.

Upływa dzień i drugi — funkcjonariusze służby X, zmieniający się na służbie pod domem Szapara, informują niezmiennie;

— „Obiekt’ nie opuszcza mieszkania,

Cieślika z początku to irytuje: co to znaczy? Młody mężczyzna, który pracuje, ma obowiązki zawodowe i powiązania towarzyskie, przez dwa dni nie wychodzi z domu?

Podejrzliwie indaguje wywiadowców. Może znowu im umknął?

Z tego kombajnu — Cieślik ma na myśli dom, w którym mieszka Szapar — można wyjść na dwie różne ulice.

Uwagi Cieślika w tej materii są zbędne — funkcjonariusze sprawujący opiekę nad Szaparem doskonale znają rozkład domu. Wieczorem następnego dnia porucznik zostaje poinformowany, że redakcja, z którą współpracuje Szapar, jest zaniepokojona jego

nieobecnością. Nie wrócił poprzedniego dnia z obiecany materiałem, nie ma go ani we Wrocławiu, dokąd miał wyjechać, ani nie pokazał się dotychczas w Warszawie.

Porucznika ogarnia niejasny niepokój. Szuka sposobu niezbitego stwierdzenia, czy Szapar rzeczywiście jest w domu. Pospolity sposób z pomyłką telefoniczną zawodzi — telefon Szapara nie odpowiada.

Cieślik jedzie do Zakładu Kryminalistyki wprost do kolegi z działu badania dokumentów.

— Potrzebuje depeszę — zawiadamia lakonicznie.

— Co ma być w tej depeszy?

— Cokolwiek. Telegram może być z Wrocławia do... — wymienia adres robiąc błąd w numerze mieszkania i zniekształcając o jedną literę nazwisko Szapara. — Na wszelki wypadek potrzebuję taką atrapę, oczywiście nikomu jej nie doręcze.

— Nasze falsyfikaty są prawdziwsze od oryginałów — skromnie zapewnia ekspert tonem człowieka wygłaszającego slogan reklamowy.

Po niedługim czasie Cieślik otrzymuje żądany telegram. Sekretarka bierze od niego pokwitowanie. Porucznik musi jeszcze napisać, kiedy przyśle oświadczenie, w jaki sposób została zużyta i zniszczona.

Wszystkie falsyfikaty, wykonywane przez Zakład, mają bardzo skrupulatnie prowadzoną dokumentację.

— Biurokraci — wykrzywia się Cieślik stawiając swoją cyferkę pod notatką. — Gdyby to przynajmniej było pięćset dolarów, no to jeszcze rozumiem.

Do Szapara porucznik idzie sam. Z przewieszoną przez ramię wypchaną torbą, w służbowym uniformie wygląda na rasowego listonosza.

Jeżeli nie będzie go w domu — myśli o Szaparze — to pozostaje dozorca, sąsiedzi. Czegoś muszę się dowiedzieć.

Depesza — układa sobie tę scenę. — Chwileczkę, pomyłka. Przepraszam, ale w dowodzie jest SZAPAR, a mój adresat jest SzEpar i numer mieszkania błędny. Szaparowi nie mogę oddać depeszy adresowanej do SzEpara. Trudno, listo- nosz-biur okra ta.

Wspina się po schodach — nie chce korzystać z windy. Skoro ma okazję obejrzeć ten dom, to musi ją wykorzystać. Wreszcie dziesiąte piętro. Ale porucznik mija je i idzie dalej; ogląda jedenaste piętro, później strychy. i przejścia do następnej klatki. Wszystkie te pomieszczenia zna z planu, ale lubi mieć praktyczny pogląd na powierzone mu obiekty.

Wraca pod drzwi Krystiana Szapara. Naciska dzwonek — w

mieszkańciu cisza, tylko terkot dzwonka.

Spojrzenie porucznika pada na trzy butelki z mlekiem, stojące rzędem pod drzwiami.

Nie ma go w domu — stwierdza, gapiąc się na butelki. — Co za porządny dom, nikt przez trzy dni nie skusił się na mleko. Ale mój pechowy klient jest amatorem mleczka. Osesek, doi litr mleka dziennie. A może to porcja na jeden dzień? Brr! — niemożliwe. Porucznik organicznie nie znosi mleka i nie bardzo jest w stanie wyobrazić sobie człowieka, który wypijałby trzy litry mleka dziennie.

Nie, jednak wygląda na to, że faceta nie ma od trzech dni. Trzeba porozmawiać z dozor...

Uwagę Cieślaka przykuwa coś, co przerywa mu zupełnie rozważania nad mlekiem i dozorcą. Porucznik pochyła się i odsuwa wycieraczkę, która szczelnie przylega do drzwi. Słomianka opornie daje się odciągnąć ze swego miejsca.

Od strony drzwi na jej jasnej powierzchni wąska, brunatna plama. Porowaty beton podesty pod wycieraczką też zabarwiony jest na brunatno. Jakaś ciecz wypłynęła spod drzwi, wsiąkła w brzeg wycieraczki i zakrzepła na betonie pod nią.

Co to jest? — nie chce uwierzyć, nie chce rozpoznać porucznik.

Przerażająca pewność jeży mu włosy na głowie. Co to jest? — powtarza w myślach i zdrapuje trochę tej zakrzepłej masy.

Myśli mkną niczym zwariowany film. Nie, nie może się ludzić — biunatna masa rozpada mu się w palcach roztartą na proszek — zbyt dobrze wie, co to jest.

Jeszcze raz energicznie wali do drzwi.

— Poczta, telegram — wjdziera się.

Odpowiada mu złowroga cisza.

Dziwny jest ten listonosz, który wypada rła ulicę i zatrzymuje nadjeżdżającą taksówkę. Jedzie do lokalu kontaktowego służby X. Musi zmienić mundur listonosza. Nie wolno bez koniecznej potrzeby paradować w uniformach służby państwowej — to żelazna zasada wywiadowców.

Potem zjawia się w gabinecie majora Korosza. Inspektor po jego minie widzi, że stało się coś bardzo ważnego.

— Szapar nie żyje — zawiadamia porucznik.

— Zwariowałeś, Cieślak! — denerwuje się m^jor.

— Jeszcze nie — stwierdza ponuro wywiadowca i opada na fotel.

Później dokładnie relacjonuje, nie pomijając żadnego szczegółu, perypetie, jakie mieli z zaginięciem „obiektu”, sztafetę wydziałów służby X czterech województw na trasie przebiegu wrocławskiego

pociągu.

— Może się mylicie?

— Chciałbym się mylić. Cholernie chciałbym się mylić — i posepnym przekonaniem powtarza wywiadowca.

Inspektor patrzy na Cieślika; klnie szpetnie. Nie robi żadnych wymówek szefowi służby X. Sprawa jest poważna — stała się rzecz nieodwracalna.

Inspektor zawiadamia Lisa. Pułkownik zjawia się natychmiast. Wysłuchuje wiadomości z względnym spokojem. Spod krzaczastych brwi obserwuje Cieślika.

— Cieślik, jeżeli tak dalej pójdzie, to ten gang w^ręczy sąd, prokuratora, nie mówiąc już o nas —■ Lis tym samym spokojnym tonem rzuca przez zęby przekleństwo.

— Jego nie zrobił gang — zapewnia Cieślik. — W każdym bądź razie nikt z tych, których zlecono mi do obserwacji. Nikt więcej nie uszedł naszej uwadze oprócz Szapara.

— Jestem wam niewymownie wdzięczny, że nikt oprócz Szapara. Drobiazg — mówi ze złością Lis. — No, dobrze, o służbie X będzie potem. Teraz trzeba zająć się tym rewelacyjnym odkryciem samego szefa służby X. Rzeczywiście to była krew?

— Rzeczywiście — wzdycha Cieślik. — I nie sądzę, aby zabito tam królika w przedpokoju.

— Dzwoni do dzielnicy — rozkazuje Lis majorowi. — Niech wyśła dzielnicowego. Wiesz; dzielnicowy, dozorca, ślusarz. Zwykła procedura. Niech dzielnicowy powie, że zameldował mu listonosz, że spod tych drzwi wycieka krew, a lokatora nie ma. Otworzyć mieszkanie — sprawie nie nadawać rozgłosu.

Komendant dzielnicy zostaje poinformowany. Major dzwoni do Zakładu Kryminalistyki, aby mieli pod ręką ambulans techniczny i ekipę ekspertów.

Wloką się minuty oczekiwania. Ciężkie milczenie przygniata oficerów. Inspektorowi żal jest Cieślika. Zna porucznika z wieloletniej współpracy. Nie wyobraża sobie lepszego wywiadowcy. Poza tym lubi tego żywego, wesołego chłopaka najchętniej mówiącego warszawskim slangiem. Mimo wszystko nie podejrzewa go o niedbalstwo czy lekkomyślność.

Wreszcie sygnał selektora. Oficerowie spoglądają na siebie. Inspektor w milczeniu wysłuchuje krótkiej informacji.

— Zgadza się — stwierdza odkładając słuchawkę. — Szapara nie żyje.

— Jedziemy — decyduje Lis.

— Mogę pojechać? — pyta Cieślik.

Na ogół wywiadowcy nie biorą udziału w takich pracach ani nie pokazują się w miejscach, gdzie milicja działa oficjalnie. Lis przez moment waży odpowiedź.

— Chodź — przyzwalający gest.

Na miejscu zastają już pracujących techników dochodzeniowych. Korosz z Lisem oglądają każdy szczegół, starając się nie przeszkadzać w zabezpieczaniu śladów. Cieślik jak rasowy ekspert śledzi pracę techników i nic nie uchodzi jego uwagi.

Oficerowie przechodzą do kuchni. Korosz pochyla się nad ciałem. Ogarnia spojrzeniem rozstawione konserwy, przygotowany chleb, kawę. Na wpół otwarte pudełko *anchois* i mały nożyk do konserw w zaciśniętej ręce zabitego. — Bestialski mord — podchodzi do niego lekarz ekipy dochodzeniowej. — Cztery pchnięcia nożem, a przedtem kilka ciosów tym — trąca nogą wąski worek, z którego sypie się wyschnięty już, żółty piasek.

Ogłędziny dobiegają, końca, zwłoki zabrano już do Zakładu Medycyny Sądowej. Technik dochodzeniowy wspina się do pawlacza, znajdującego się pod sufitem w mikroskopijnym przedpokoju. Jakiś nieostrożny ruch, niezbyt statyczny taboret — i funkcjonariusz, łapiąc równowagę rozłożonymi ramionami, ląduje na podłodze. Padający taboret trąca butelkę z mlekiem, która przewraca się i pęka.

Cieślik jak żbik rzuca się do rozbitej butelki. Ostrożnie zbiera stłuczone szczątki, zgarnia w probówkę zsiadłe mleko z podłogi.

— Łamago ostatnia, na taborecie nie umiesz stać? — nie może darować technikowi. — Ta butelka może być ważna — dodaje, skrupulatnie opakowując szczątki.

— To już czwarta taka ważna — technik rozciera potłuczony łokieć. — Trzy były pod drzwiami.

— Odsuń się, mleczna ofiario — żąda Cieślik. — Zrobię za ciebie ten pawlacz. — Porucznik wspinia się na taboret.

— Coś nabroił, żeś taki gorliwy? — prycha technik i przygląda się poczynaniom Cieślika.

Na półce pawlacza jakieś rupiecie, pudełka. Pod spodem szara tektura, na załamaniach oklejona pasami płótna.

— Trzymaj — Cieślik podaje technikowi stertę pudełek, aby móc dostać się do tej tektury.

Technik przykuca i grzebie wśród pudełek, inwentaryzując ich zawartość.

Rozłożona w pokoju tektura okazuje się wielką tarczą strzelniczą. Oficerowie grupują się wokół Cieślika.

Czarne spirale dysku są ponumerowane. Centrum kręgu pocętkowane drobnymi ukłuciami tak gęsto, że papier w tym miejscu jest podarty. Cała tarcza pokłuta jest w różnych miejscach, ale im bliżej środka, tym nakłucia zagęszczają się, tworząc dziwaczne arabeski.

Funkcjonariusze stoją w milczeniu, przyglądając się tarczy świadczącej o sportowych zamięowaniach jej właściciela.

— Strzały loftkami — major Korosz przeciąga dłonią po płaszczyźnie dysku. — Poszukajcie loftek, nie sądzę, aby była w tym domu wiatrówka.

Z przedpokoju wchodzi technik. W milczeniu kładzie obok tarczy otwarte metalowe pudełko pełne różnobarwnych pędzelków.

Pułkownik Lis zanurza rękę w pudełku. Na rozpostartej dłoni leżą puszyste kitki zakończone ostrymi, ciemnymi pręcikami.

— Żółte, czerwone, szafirowe — zauważa Cieślik.

— To rzadkość taki straszak do loftek — mówi technik dochodzeniowy, podając Lisowi połyskujący pistolet.

— Produkują w Wiedniu — Korosz bierze od pułkownika straszak. — Można to dostać u nas w komisach. — Wybiera czerwoną loftkę i umieszcza w lufie straszaka.

— Pac — czerwona kitka nieruchomieje wstrzelona w tarczę. Korosz oddaje pistolet technikowi.

Cały zabezpieczony w mieszkaniu Szapara materiał jedzie do Zakładu Kryminalistyki. Eksperci różnych specjalności odkładają zaczęte prace i bez zwłoki przystępują do analiz, ekspertyz i innych badań nad dostarczonym materiałem porównawczym.

To dochodzenie nie może czekać.

Dopiero późnym wieczorem major Korosz dostaje próbki, omówienia porównawcze i wilgotne jeszcze zdjęcia na kartonowych tablicach ekspertyzy. Cała ta naukowa część opracowań piętrzy się pokaźną stertą na biurku inspektora.

Pułkownik Lis przysuwa sobie plan pytań, który inspektor opracował podczas oczekiwania na dokumentację.

Korosz wertuje ekspertyzy. Przegląda protokół z sekcji włók przysłany przez Medycynę Sadową.

— Przyczyna zgonu: złamanie podstawy czaszki i złamanie kręgów szyjnych. Uszkodzenie węzła unerwień dysponującego drogami oddechowymi — informuje major. — Już to wystarczyłoby,

aby spowodować śmierć, właściwie przez uduszenie. Ponadto cztery pchnięcia nożem, szerokość ostrza._ Głębokość ran klutych... Przecięcie tchawicy i aorty. Każde z tych pchnięć wzięte oddzielnie jest, śmiertelne.

— Aorta. Stąd to okropne wykrwawienie — zauważ* Lis. — Dalej.

— Śmierć nastąpiła cztery doby temu. Dokładnej godziny zgonu nie ustalono.

— Posłałeś po tego taksówkarza z Ostrowia? — pyta Lis,

— Jeszcze przed południem rozmawiałem z komendantem powiatowym. Jeżeli facet nie przysnął, to lada moment powinien być.

— Ślady? — wraca do ekspertyz pułkownik.

— Marnie ze śladami — krzywi się Korosz. — Ani jednego odcisku palca. Oczywiście poza palcami denata.

— Na takie ślady nie liczyłem — mówi Lis. — Bardzo bym się zdziwił, gdybym się dowiedział, że stwierdzono chociaż jeden ślad tego rodzaju.

— W zasadzie jest jeden ślad, tylko wątpię, czy pozostawił go morderca.

— Jaki?

Korosz rozkłada tablicę poglądową ekspertyzy. Na zdjęciu przekroje jakby potężnych metalowych prętów. Inspektor wyjmując arkusz maszynopisu, najeżony fachowymi terminami.

— Badanie zarostu — mówi inspektor. ■— Tutaj — lekko uderza raport — stwierdzają właściwości i cechy włó.sów zabitego. Rzecz w tym, że na maszynie do golenia ustalono, obok zarostu Szapara, zarost innego mężczyzny, o zupełnie innych właściwościach chemicznych, fizycznych...

— Możesz nie wyjaśniać w drobiazgach — uspokaja Lis. —• Wierzę, że Zakład zna się rów,'niez na rodzajach męskich bród. Ta maszynka nie była umyta?

— To elektryczna. Dokładnie ją wyczyszczono —■ wyjaśnia inspektor —■ tak jak może wyczyścić najbardziej pedantyczny człowiek. Ale nikt nie czyści przedmiotów codziennego użytku pod mikroskopem elektronowym. No, a pod mikroskopem znalazły się te dwie różne cząsteczki. Wystarczyło do stwierdzenia...

— Rozumiem — zatrzymuje go pułkownik. — Rozumiem: że to dwie różne męskie brody. Tylko... żeby morderca golił się na miejscu przestępstwa? Nieprawdopodobne, cholera.

— Może to wynikało z sytuacji? — zastanawia się major. — Może

ogolił się przed zamachem?

— Chociaż... — rozważa Lis. — Przecież bez przerwy mamy do czynienia z nieprawdopodobnym...

— I ciągle się dziwimy — wtrąca major. — Po prostu nie można się przyzwyczaić do okrucieństwa zbrodni. Każde morderstwo, mimo wszystko, napawa mnie grozą i zdziwieniem...

— Mógł się, drań, ogolić — idzie za swoją myślą Lis — mimo że mnie to się wydaje absurdalne. Nie ulega wątpliwości, że miał czas nie tylko na ogolenie się, ale także na kąpiel i przepierkę. Facet mvisi być prawdziwą bestią, żeby obecność trupa czy potencjalnego trupa nie przeszkadzała mu w zwykłych czynnościach.

— Zimna precyzja, wyrachowanie, premedytacja — zgadza się inspektor.

— Premedytacja na pewno — mówi Lis. — Czekaj, ja to sobie wyobrażam tak: Do Szapara przychodzi człowiek, którego on zna...

— I od którego nie spodziewa się niczego złego, przed którym nie ma się na baczności — wtrąca major.

— ...tak, którego się nie boi. Szapar przygotowuje coś do jedzenia. Śniadanie? Kolacja? Powiedzmy; przekąska. Stoi w tej ciasnej kuchni, odwrócony tyłem do drzwi. Akurat otwiera konserwę. Jego gość niespodziewanie ogłusza go „łamiągówką”. Szybkie ciosy — chłopak pada. Dobija go nożem. Koniec. Dalej: gość albo czegoś szuka...

— Ani śladu pieniędzy w mieszkaniu Szapara — zauważa major.

— No, więc chyba zabrał jakąś gotówkę. Ale ten bałagan w mieszkaniu, te wypatroszone sprzęty — wydaje mi się pokazowy. Potłuczone kieliszki, których nikt nie dotykał, rozlana wódka i w ogóle. Dość teatralna dekoracja, chyba na nasz użytek, żeby było trudniej zgadnąć, czego facet szukał. Metodyczny nieporządek, który ma spraw/ić na nas v,raże- nie orgii.

— Pokazowy retusz — zgadza się major. — To może jednak być rabunek.

— Jeżeli był w gangu, mógł swoją dole trzymać v/ domu.

— Nie sądzę, żeby trzymał w PKO — wzrusza ramionami Lis. — A jak wyglądają jego oszczędności w PKO, sprawdzałeś?

— Tak — mówi major. — Od mniej więcej roku wkład dziesięć tysięcy złotych. Czasami drobne sumy podejmował, czasami je dokładał. Rabunek dla dziesięciu tysięcy złotych, niedostępnych, bo złożonych na książeczkę?... No, cóż? Też możliwe.

— Książeczkę znaleziono?
— Nie. Wygląda na to, że padła łupem mordercy.
— Natychmiast obstaw PKO — domaga się Lis. — My się tu sugerujemy wielkimi sprawami, porachunkami wśród członków gangu, a może okazać się, że to przyniósł mord dla dziesięciu tysięcy złotych, które bandzior zechce dzisiaj lub jutro podjąć gdzieś w jakimś Kłaju, jeżeli już nie podjął w ciągu tych czterech dni. Trzeba to sprawdzić w PKO.

Niebawem oficerowie dowiadują się na pewno, że dotychczas nikt jeszcze nie zgłosił się po odbiór pieniędzy z książeczki oszczędnościowej Krystiana Szapara.

Natomiast zgłasza się kierowca, który wioził Szapara do Warszawy w pamiętną noc. Szofer jest spłoszony, przez całą drogę robił rachunek sumienia i wreszcie wyszło mu, że nic innego, tylko chodzi o te opony, które kupił niedawno po wcale korzystnej cenie. Człowiek, który mu je zaferował, bardzo się śpieszył i widać było, że chce się pozbyć towaru jak najszybciej. Oddawał tanio, nie targował się. Kierowca taksówki taktownie nie pytał o pochodzenie opon.

Wyleżą mi te tanie opony bokiem — martwi się taksówkarz. Tylko dlaczego pytali, o której dwudziestego marca wróciłem do domu? Większa kradzież? Afera, w którą wpakowałem się przez te cholerne gumy?

Inspektor znowu pyta go o dzień dwudziesty marca. Szofer opowiada drobiazgowo, coraz bardziej zaniepokojony.

No więc trafił mu się o pierwszej w nocy kurs do Warszawy, nawet nie bardzo chciał jechać. Bał się, mało to taksówkarzy zabili na szosie? Po tym, jak facet pokazał dowód, to pojechał. Zawiózł go... — podaje dokładny adres Szapara. Przypomina sobie, jak się gość nazywał — uważnie

zajrzał w ten dowód. Potem wrócił do Ostrowia. Nie, u pasażera w mieszkaniu nie był.

— Szapar nie mówił, skąd się wziął w Ostrowiu? — indaguje major, przyglądając się wystraszonej twarzy mężczyzny, jego rozbieganym, niespokojnym oczom.

Czy on może być mordercą? — medytuje i mimo woli przenosi wzrok na wielkie, mocne, porośnięte ciemnym włosom dłońe tamtego.

— Nie, nie mówił. W ogóle mało się odzywał — na czole taksówkarza pojawiają się kropelki potu. Zgarnia je wierzchem dłoni.

— Kto może potwierdzić, że pan nie wstąpił wówczas do mieszkania swego pasażera? — dopytuje się inspektor.

— A po co miałbym wstępować? — z lekkim zdziwieniem odpowiada szofer, ale po chwili zaczyna mu świtać, że tu, zdaje się, nie chodzi o parę opon, tylko o coś znacznie gorszego, o czym wiedzą tamci, a o czym on nie ma pojęcia.

— O której pan wrócił do Ostrowia?

Szofer wymienia godzinę i już nie umie opanować lęku.

— Kto to może potwierdzić?

— Żona.

— I kto jeszcze?

— Nikt więcej. Panie majorze, pan tak krąży i tak mnie przydusza o świadków na tę noc. Niech pan mnie nie straszy, stało się coś poważnego?

— Stało — stwierdza inspektor. — Pana pasażer został tamtej nocy zamordowany, a pan... — przygląda się spoconej twarzy szofera, jego rozbieganym oczom — nie może podać alibi.

Przesłuchanie jest skończone.

— On mi nie wygląda na członka gangu ani na sprawcę przypadkowego morderstwa, mimo że się cholernie boi. Ale wyjaśnić to trzeba — zwraca się Lis do Korosza, gdy zostają sami.

— Zdaje się, że mamy w przybliżeniu godzinę morderstwa.

Taksówkarz twierdzi, że Szapar wysiadł przed swoim domem t;zecia piętnaście. Dozorca zapewnia, że roznosi mleko przed piątą. W przedpokoju stała butelka z mlekiem, czyli Szapar jeszcze tego dnia wziął mleko, to znaczy około piątej jeszcze żył.

— Butelkę z mlekiem mógł wstawić morderca — oświadcza Lis.

— Po co?

— Żeby mieć jeden dzień względnie zabezpieczony. Stojąca pod drzwiami butelka zwraca uwagę na nieobecność gospodarza. A tak — dwudziestego był zabezpieczony.

— Jak by nie było z tą butelką mleka, możemy założyć, że

mo”derstwo zostało dokonane w bardzo wczesnych godzinach rannych dnia dwudziestego marca, po powrocie Szapara z Ostrowia. Wydaje mi się, że klucz do tej sprawy tkwi w tym pozornie bezsensownym przerwaniu podróży w Ostrowiu. Tylko jak się dowiedzieć, po co on tam wysiadł?

— Bilet miał do Wrocławia? — upewnia się Lis.

— Tak. Nawet go znalezione w kieszeni jego płaszczka. Decyzja opuszczenia pociągu w Ostrowiu musiała zrodzić się nagle, w trakcie podróży. Jeśli wierzyć Cieślikowi, nasza obstawa nie .spłoszyła go.

— Vv to wierzę — krzywi się Lis jak pod wpływem bólu zęba. — Nasza obstawa — zupełnie spokojna, że klient jedzie do Wrocławia — spała w najlepsze w przedziale. A niech go cholera — mówi o wywiadowcy. — Mu.si go Cieślik przekwalifikować. W żadnym wypadku nie ścierpię dłużej takiego wywiadowcy. Jego obowiązkiem było nie stracić Szapara z oczu.

— Przecież nie poszedłby za nim do mieszkania, Heniu — usiłuje perswadować major.

— Nie będę roztrząsał, co by’łoby gdyby — ucina Lis. — Powtarzam: tego wywiadowcy tolerować nie będę. Skończyłem.

Inspektor już nic nie mówi. Zbyt dobrze zna pułkownika. Rzadko wydaje tak bezwzględne decyzje.

— Słuchaj — wraca do tematu Lis — trzeba prze.słuchać obsługę pociągu, którym jechał Szapar, i współpasażerów z przedziału. Może Szapar kogoś spotkał w pociągu i to zdecydowało, że wysiadł w Ostrowiu, Może ktoś z obsługi lub innych podróżnych zauważył ten fakt.

— Trzeba — przyznaje inspektor, lecz nastawiony jest sceptycznie.

Major porozumiewa się z Dyrekcją Okręgowych Kolei Państwowych. Ustalenie składu personelu wrocław/skiego pośpiesznego nie nastęrcza większych trudności. Gorzej jest z pasażerami. Dyspozytor przegląda plany i raporty.

— Dziewiętnasty marzec, skład wrocławskiego pociągu o godzinie... — informuje majora. — Prowadził maszynista..., pomocnik..., kierownik pociągu..., konduktor... — podaje nazwiska i numery służbowe ekipy kolejarskiej.

Inspektor dowiaduje się jeszcze, że tej załogi nie ma w Warszawie, bo akurat znowu poprowadzili pociąg do Wrocławia.

Major nie może czekać na ich powrót. Zawiadamia Dyrekcję Kolei, że zmuszony jest we Wrocławiu porwać całą załogę.

Dyrektor coś tam mówi, że milicja dezorganizuje mu pracę, a

później wszystko będzie na Polskie Koleje Państwowe, ale w końcu ulega argumentom majora — Korosz obiecuje mu spełnienie wszystkich jego żądań.

— Dostanę suchą i przewiewną całą? — ■ uśmiecha się dyrektor. *f*

— Szybsze interwencje jednostek MO na dworcach, lepszą współpracą z SOK — improwizuje major. — No i dozągonna wdzięczność.

O piątej rano następnego dnia na konduktorów pociągu czeka na peronie funkcjonariusz wrocławskiego komisariatu dworcowego. Grzecznie, lecz stanowczo pakuje zdeorientowanych kolejarzy do samochodu i odwozi na lotnisko.

— Podróżuj LOTEM — radzi sierżant z komisariatu dworcowego wręczając im bilety. — Milicja stawia ten komfortowy środek lokomocji. Powodzenia!

— Ale co się stało? — chcą wiedzieć kolejarze.

— Nie wiem — mówi zgodnie z prawdą milicjant. — Warszawa za wami tęskni.

Na Okęciu w Warszawie na płycie portu lotniczego też czeka na nich funkcjonariusz milicji i odbiera jak dobrych znajomych. Nic nie wyjaśnia poza tym, że jadą teraz do Komendy Głównej Milicji.

W drodze na Puławską obsługa pociągu zaczyna robić pośpieszny rachunek sumienia. Nie, nic takiego nie przypominają sobie, czym mogłaby się interesować Komenda Główna Milicji.

Major niezwłocznie zaczyna przesłuchania. Asystuje temu Lis, który nie wtrąca się do rozmowy — słucha. Taśma magnetofonu jest w nieustannym ruchu; nie wiadomo dlaczego ten fakt najbardziej peszy świadków.

Inspektor określa w szczegółach rysopis Szapara i spostrzega, że z jednym konduktorem dzieje się coś dziwnego. Przybladł i zamilkł zupełnie przerażony.

— Pan do b r z e zna tego człowieka — inspektor akcentuje to: dobrze.

— Ale skąd, panie majorze — konduktor broni się przed tą znajomością gestem uniesionych rąk. — Ja go wcale nie znam — zapewnia z bolesciwym grymasem.

Major przygląda się kolejarzowi. Ten człowiek sprawia wrażenie, że wspomnienie Szapara nasuwa mu jakieś przykre skojarzenia.

— Jednak pan go zna — stwierdza inspektor.

— Pech! — kwili konduktor. — Cholerny pech — powtarza. — Ale dlaczego nie dyrekcja, tylko Komenda, i to jeszcze Główna,

Milicji? To on wniósł zażalenie do milicji? — dowiaduje się z przerażonym zdziwieniem.

Major myśli, że Szapar nie wniósł i nie wniesie już żadnego zażalenia.

— Proszę pana, w tym pokoju pytania zadają tylko ja. Słucham o pechowym spotkaniu z pasażerem.

Kolejarz, trąc dłonie, opowiada ze szczegółami o przygodzie pasażera, który miał sen jak drwał, nie ukrywa nawet, że przyjął od niego dwadzieścia złotych.

— Panie, co ja przeżyłem od niego we Wrocławiu — wzdycha na zakończenie opowieści.

Inspektor z niedowierzaniem przygląda się konduktorowi — rzecz zakrawa na anegdotę albo głupie kłamstwo, klecone naprędce pod wpływem strachu.

— Jak to możliwe — nie dowierza major. — Co to bracia-bliźniaki, że pan ich nie rozróżnił?

— Sam się nad tym głowię — wzdycha bezradnie kolejarz — i nie wiem, jak to było możliwe. Jedno jest prawdą: wysadziłem nie tego, który mnie o to prosił i zapłacił.

— I nie opierał się? Przecież to silny mężczyzna.

— Opierał się — przyznaje kondvktor — ale tamten uprzedzał, że może nie chcieć wj^siadać i nawet przeklinać, więc nie zwracałem uwagi. Pociąg jest pośpieszny, w Ostrowiu zatrzymuje się krótko, to nie miałem czasu na perswazje.

— Ale to przecież silny mężczyzna — podkreśla major. — Gdyby nie chciał, to przecież nie uległby panu.

— Ja go budziłem z pomocnikiem. Ale gdyby tak zupełnie nie chciał, i mnie, i pomocnikowi dałby radę — przyznaje kolejarz. — No, ja nie wiem. On tylko tak trochę nie chciał i w końcu dał się wystawić na peron. Wie pan, co ja sobie teraz myślę? On zbaraniał. Wie pan: noc, pierwszy sen, łapią człowieka i wloką do drzwi, nie bardzo wyjaśniając,,
o co chodzi. Można zgłupieć?

Inspektor myśli, że rzadko kto tak kompletnie zgłupieje. Chociaż? Jeżeli ktoś ma na sumieniu poważne przestępstwo, to osłupienie może być podszyte lękiem, niepewnością, z czyjej inicjatywy kolejarze to robią i czy to na pewno są kolejarze?

— Pan mi tu opowiada nieprawdopodobne historie — mówi do konduktora.

— Jakby mnie to ktoś opowiedział, to też bym nie uwierzył —

godzi się z rezygnacją przedstawiciel PKP.

— Kto to może potwierdzić?

— Młodszy konduktor, no i ten gość, co naprawdę chciał wysiąść w Ostrowiu — mówi kolejarz.

— Czy ktoś jeszcze, tam wysiadał?

— Wysiadał jeden człowiek. Nawet z tego samego wagonu. Pociąg ruszał, jak on wyskoczył.

— Może to jakiś znajomy Szapara, nie zauważył pan? — podpowiada inspektor, prowokując konduktora do kłamstwa.

— Nie wiem. Widziałem tylko, jak wyskakiwał.

— Z bagażem?

— On nie miał żadnego bagażu.

— Dobrze go pan widział?

— Tak sobie. Ale że bagażu nie miał, to zauważyłem. Obsługa wrocławskiego pociągu zostaje zwolniona do domu.

Inspektor porozumiewa się z Dyrekcją Kolei i w prasie pojawia się ogłoszenie.

Dyrekcja Okręgowych Kolei Państwowych wzywa obywatela, wobec którego konduktor pociągu Nr... w dniu... na trasie... nie wywiązał się z podjętych zobowiązań, w celu złożenia wyjaśnień w sprawie dyscyplinarnej. Prosi się również o złożenie zeznań inne osoby, które mogłyby coś wniesić do tej sprawy.

Wiadomość tę powtarza również radio.

Następnego dnia z samego rana referat skarg i zażaleń DOKP zawiadamia inspektora, że zgłosił się mężczyzna w sprawie ogłoszenia. Major natychmiast jedzie do Dyrekcji.

Pan Bonczek — inspektor Urzędu Skarbowego, referuje Koroszewi .słowo w słowo to, co major .słyszał od konduktora.

Inspektor myśli, że wzrostem pan Bonczek przypomina Szapara. Ale niczym poza tym.

— Co grozi temu konduktorowi? — dopytuje się pan Bonczek.

— Wydalenie z pracy — improwizuje major.

— To jednak za surowa kara — ocenia skarbowiec. — Zdarza się, nieszczęścia chodzą po ludziach. Ostatecznie ten konduktor nie zrobił tego ze złej woli. Ode mnie nawet nie chciał przyjąć pieniędzy, a potem oddał i przeproszał — lojalnie oświadcza pan Bonczek.

Inspektor myśli, że ten skarbowiec nie jest mściwy i w ogóle nie wygląda na człowieka mającego coś wspólnego z groźnym i bezwzględny gangiem.

Po powrocie na Puławską powtarza swoją opinię Lisowi.

—Jedno jest pewne, że konduktor nie wymyślił tej historii — stwierdza major. — Popatrz, Heniu, jaka jest potęga przypadku. Lamaliśmy sobie głowę nad tym, po co Szapar wysiadł w Ostrowiu Wielkopolskim. Miałem tysiąc podejrzeń na ten temat, jedno bardziej rewelacyjne od drugiego, a to po prostu pechowy konduktor wystawia na peron nie tego faceta.

—Poszukajmy tego, co wysiadł w Ostrowiu bez przymusowego lądowania — przypomina Lis.

—Tak. Trzeba to wyeliminować — zgadza się inspektor. — Znowu ogłoszenie Dyrekcji Kolei?

—Myślę, że nie ma co ich nadużywać, niech to sprawdzi Cieślik — poleca pułkownik.

Porucznik jedzie do Ostrowia osobiście. — Wydział zostawił na opiece Ireny, swego zastępcy.

—Cieślik wziął sobie na kiel — uśmiecha się Lis.

—W zasadzie mamy do sprawy Szapara trzy elementy — sumuje major. — Wyjaśniony pobyt w Ostrowiu. Tarczę z loftkami i zarost obcego człowieka na jego maszynie do golenia.

— Wszystkie te trzy elementy można wytłumaczyć zupełnie niewinnie — stwierdza Lis.

— Tylko pobyt w Ostrowiu, który okazał się być przypadkiem.

— Tarcza i loftki? To może mieć każdy człowiek o zacięciu sportowym — nie zgadza się pułkownik.

— Może — zgadza się inspektor. — Ale wówczas o jego koniku wie najbliższe otoczenie. Człowiek z hobby mówi

o swoich upodobaniach. Weź wędkarzy...

— To specjalny, patologiczny gatunek kłamiwych gadu-łów — uśmiecha się Lis, który sam jest namiętnym wędkarzem.

— ...samochodiarzy, zbieraczy znaczków, nawet strzelców — ciągnie major — i skoczków spadochronowych. Pomijając już grupę osobników maniakałnych, którzy swymi opowiadaniem doprowadzają otoczenie do rozpacz, każdy taki facet od czasu do czasu mówi o swoich zainteresowaniach. A Szapar to ukrywał. Mało tego, stworzył przekonanie, że strzelnica, pistolet czy w ogóle straszak to dla niego czarna magia i w ogóle abstrakcja. Dlaczego ukrywał?

— Dlaczego to ukrywał? — powtarza pułkownik.

Zjawia się Cieślik i oświadcza, że w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego marca nikt obcy nie był widziany w Ostrowiu ani na dworcu, ani w hotelu, ani w prywatnych pokojach noclegowych, ani w

restauracji.

— A nikt z mieszkańców Ostrowia nie wracał tym pociągiem z Warszawy? — wypytuje inspektor.

— Nie.

— To pewne, poruczniku?

— Blacha, mur — przekonuje wywiadowca. — A jednak, jeżeli ten kolejarz nie ma zwidów, nie był wtedy na bani

1 widział wszystko pojedynczo, to historia może być ciekawa... — namyśla się wywiadowca.

— Załóżmy, że konduktor nie miał majaków — przerywa major.

— To pozostaje domysł, że to mógł być morderca — stwierdza Cieślik.

— Ciekawe... — zastanawia się pułkownik. — Jak to motywujesz?

— Gang lub jego szef — zaczyna wywiadowca — z jakichś względów', o których nic nie wiemy, zdecydowali o usunięciu Krystiana Szapara. Zaplanowali załatwienie go we Wrocławiu, może na trasie pociągu. Facet jedzie za nim. Pilnuje go. Przypadek: Szapara wystawiają z pociągu w Ostrowiu. Morderca już ma pomieszane .szyki, ale wyskakuje i śledzi go dalej, czekając na odpowiedni moment. A tu ucho od śledzia. Szapar nie rusza się z dworca i fiuut pruje do Warszawy taksometrem. Facet za nim...

— Sam ustaliłeś, że śladu po nikim w Ostrowiu nie ma — przerywa pułkownik; ale rozumowanie Cieślika zaciekawia go i trafia mu do przekonania.

— Ten fakt potwierdza moją wersję — mówi wywiadowca. — Jakby pułkownik zamierzał kogoś zamordować, to pchałby się w oczy ludziom w takim pipidówku? Bo ja nie. Po mnie nie byłoby śladu.

— Zgoda — kiwa głową Lis. — Zaręczam, że po mnie też nie.

— Gdy morderca zorientował .się, że Szapar wraca do Warszawy, pojechał za nim...

— W jaki sposób? — chce wiedzieć major.

— Pierwszy wóz na szosie — mówi Cieślik. — Chociaż?... Nie. W nocy nie każdy wóz zabierze mężczyznę. Nie... najbliższa miejscowość... tak bym zrobił... Ale ze mnie baran! — Cieślik uderza się dłonią w czoło. — Przecież powinienem obskoczyć najbliższą mieścinę i dopiero wtedy tu się zameldować. Wszystkie mieściny na warszawskiej trasie w promieniu co najmniej trzydziestu kilometrów. Można się od- meldować? — wywiadowca podrywa się z miejsca.

Cieślik znowu wraca na trasę Ostrów — Warszawa, aby potwierdzić lub obalić swoje założenie. Po dotarciu do mia- sieczka Z.,

pierwszej osady leżącej za Ostrowiem w kierunku Warszawy, sobie tylko znanymi sposobami po kilku godzinach wistala miejscowe stosunki i bardzo wiele wie o tutejszych taksówkarzach. Pewną pomocą służy mu lokalny posterunek milicji.

Wreszcie porucznik dociera do kierowcy, który pamiętnej nocy wioził do Warszawy człowieka w zielonym lodenie.

Wywiadowca zawiadamia o tym telefonicznie Korosza, a potem wyciska wszystkie siły ze służbowego Volkswagena, goniąc do Warszawy.

Nieco później, pełen triumfu i niecierpliwości, oczekuje wraz z majorem na kierowcę z osady Z., którego funkcjonariusze Komendy Powiatowej z Ostrowia wiozą samochodem.

Kierowca nie jest speszony, gdy siada przed biurkiem majora.

Zapytany stwierdza od razu, że jego pasażer wysiadł na ulicy Towarowej, w pobliżu Dw/orca Głównego. Podaje rysopis, sposób ubrania.

— W jakim mógł być wiekwi? — interesuje się inspektor.

— Czterdzieści pięć lat, może nieco więcej — waha się taksówkarz.

Specjalista rysownik szkicuje na kartonie zarys twarzy człowieka opisywanego przez kierowcę.

— Włosy gęste i mocno szpakowate — uzupełnia kierowca, patrząc na ołówek rysownika.

— Może te mocno szpakowate włosy sugerują panu wiek pasażera? — niepokoi się inspektor.

— ■ Nie. On miał grubo po czterdzieście — zapewnia kierowca. — Siedział obok mnie przeszło dwie godziny; nie powinienem się mylić.

Ekspert podaje mu gotowy rysunek. Szofer przygląda się i zwraca uwagę na kilka szczegółów, które, jego zdaniem, powinny wyglądać inaczej. Zmieniają zarys brvv^i, wj^raz i rysunek ust, linię włosów. Powstaje z tego portret starszego mężczyzny o kwadratowym podbródku i wąskich, nieco skośnych oczach.

Inspektor rozsypuje plik fotografii na biurku. Między tymi dwudziestoma odbitkami są zdjęcia ludzi podejrzanych przez milicję o udział w sprawie kryptonim Ypsilon.

Szofer przygląda się fotografiom.

— Żaden z nich — stwierdza po namyśle.

Major podaje mu następną serię odbitek. Cieślik przygląda się

rysunkowi.

— Zgorzkniały pedant — opiniuje, wpatrując się w narysowaną twarz.

Wlepia oczy w ten szkic, coraz bardziej zdziwiony. Wydaje mu się, że ten człowiek kogoś mu przypomina. Ależ tak, na pewno. Ta twarz wycieniowana miękką kredką nie jest mu obca. Gdzie on widział podobnego mężczyznę?

■— Czyja to fizys? — zastanawia się głośno, męczy go i drażni to podobieństwo, którego nie może sobie z nikim skojarzyć.

Nagle w pamięci wywiadowcy jak na taśmie filmowej zarysowuje się taki kadr:

Szpitalny korytarz, uchylone drzwi gabinetu ordynatora. Larst nie zamyka za sobą drzwi, pozostają rozwarte. W głębi fragment ma. sywnego biurka. Na pierwszym planie, obrzeżona ramą drzwi, postać mężczyzny zagłębiona w fotelu. Łokieć oparty o poręcz skórzanego klubu, wsparta o dłoń, ściągnięta twarz szpakowatego mężczyzny. Podobny nieco wyraz znużenia i goryczy, gęsta czupryna, wąskie oczy z zarysem worków pod nimi.

Inspektor już od dobrej chwili obserwuje spod oka Cieślika, który, trwa pochylony nad szkicem z rosnącym wyrazem niedowierzania i osłupienia na twarzy.

— Wiem — mówi wolno wywiadowca, przenosząc spojrzenie na inspektora.

Kierowca wychodzi z gabinetu.

—To Morağ — stwierdza Cieślik, dziobiąc palcem w rysunkowy portret.

Zaskoczony inspektor mierzy wywiadowcę oczyma, niepewny, czy się nie przesłyszał.

—Fatalny błąd w założeniach — mówi Cieślik. — Fatalny... Tylko jak, do cholery, podejrzewać zbolalego tatusia. Ale numer, rany! Przecież on ani przez minutę nie miał obstawy. Ani przez sekundę nie zajmowaliśmy się tym klezmerem. Chory, zropaczony ojciec, na pograniczu rozstroju nerwowego. Co on może jeszcze zdziałać?

—Przecież nie .strzelał do własnej córki, to niemożliwe... — protestuje inspektor.

—Ja nie mówię, że strzelał do Joanny... ale to bandzior, to jeden z nich — zapala się Cieślik.

Wywiadowca rzuca się do selektora, telefonuje do lokalu służby X.

—Natychmiast obstawić Grzegorza Morağ — podaje adres. —

Chłopaki, ten gość bez waszej wiedzy nie ma prawa oddychać.

—Cieślik, nie mylisz się? — nie może uwierzyć major, ale nie protestuje.

—Trzeba pokazać szoferowi zdjęcie Morąga — mówi porucznik — to się major przekona. Co ten typ mógł zdziałać! — nie może darować Cieślik. — A my jak ślepi, nic się kupy nie trzymało... każde założenie dziurawe, sypie się. Teraz rozumiem, brakowało ogniwa.

—Jeżeli rzeczywiście Morąg zabił Szapara... — głośno myśli inspektor. - - Cieślik, muszę mieć próbkę jego zarostu.

—Zrobi się — mówi wywiadowca — to betka...

Inspektor myśli, że nie ma nawet zdjęcia Morąga.

Personel Cieślika, ostro poganiany przez swego szefa, którego rozsądza ciekawość i emocja, zdobywa potrzebną odbitkę.

Zaniepokojony już przedłużającym się pobytem w Komendzie szofer z Z. ogląda wreszcie trzydzieści fotografii różnych mężczyzn, wśród których znajduje się zdjęcie raga.

Cieślik wstrzymuje oddech, gdy w napiętej ciszy kierowca pochyla się i wodzi wzrokiem od fotografii do fotografii. Porucznikowi niesłychanie dłuży się czas. Zniecierpliwiony odchodzi w róg gabinetu, aby nie odezwać się do szofera, nie poganiać go i przypadkiem nie zasugerować.

— Ten — mówi wreszcie szofer.

Cieślik jednym skokiem rzuca się do rozłożonych zdjęć. Taksówkarz wskazuje fotografię Grzegorza Morąga.

Po odkryciu zabójcy Szapara pułkownik Lis chmurnym milczeniem pokrywa zaskoczenie. Nawet on, stary wyga, nie podejrzewał, że ojciec Joanny może mieć związek ze sprawą kryptonim Ypsilon.

— Zdaje się, Andrzej — mówi po chwili — że sytuacja nareszcie jest jasna.

— Nie wzięliśmy pod uwagę ojca. Zresztą jak tu podejrzewać zbolełego tatusia — major powtarza słowa Cieślika tłumacząc się bardziej przed sobą niż przed Lisem.

— Potęga sugestii — przerywa Lis. — Sens uczuciowy słowa „ojciec” pomieszał nam szyki. Wszystkie elementy były słuszne, wszystkie podejrzenia wzięte oddzielnie — trafne, lecz bez tego ogniwa, bez Morąga całość nie miała sensu. No dobrze, o tym później — reflektuje się. — Wydaj polecenie natychmiastowego zatrzymania Grzegorza Morąga. Ja tymczasem załatwię u prokuratora nakaz aresztowania.

Podkomendni Cieślika zatrzymują Morąga w godzinę później i

niewzłocznie przewożą go na Puławską.

Gdy wchodzi do gabinetu majora Korosza, przygarbiony, ze ściągniętą, udreńczoną twarzą, wygląda na człowieka złamanego, który doszedł do kresu, przeżył już swoje piekło.

Patrząc na niego Korosz broni się przed uczuciem litości sądząc, że ten zmaltretowany człowiek powie wszystko, a udokumentowanie całości będzie sprawą prostą.

Gdy zaczyna przesłuchanie, spostrzega, jak bardzo się mylił. Ma przed sobą partnera przebiegłego, zdecydowanego do obrony za każdą cenę.

Rozmowa z Morażem trwa wiele godzin. Pułkownik Lis czeka cierpliwie u siebie. Ma żelazną zasadę nieingerowania w czasie przesłuchań prowadzonych przez jego inspektorów.

Wreszcie Korosz telefonuje, że na razie przesłuchanie skończone.

— Włącz magnetofon i otwórz okno — żąda pułkownik wchodząc do gabinetu majora, w którym jest szaro od dymu.

— Odmówił zeznań na taśmę — informuje major. — Protokół podpisał. Czytał go przy tym dobrą godzinę, analizował każde słowo.

— Dobrze, dobrze — przerywa Lis. — Do czego się przyznał?

— Z początku do niczego — mówi major. — Złamany człowiek, chory. Diagnoza lekarska; depresja Nie rozumie, czego milicja od niego chce.

— Dalej — niecierpliwi się Lis.

— Załamał się po przedstawieniu dowodów — dałem mu do przeczytania protokół ekspertyzy zarostu, zeznanie świadka, skonfrontowałem go z taksówkarzem, opisałem szczegółowo przebieg jego trasy z Ostrowia do Warszawy krytycznego dnia, zeznania kolejarzy, no i odciski palców z maszynki do golenia oraz niedopałek, który zostawił w popielniczce u Szapara. Nie widziałem powodu, żeby się z nim bawić, skoro dowody są pewne...

— Jak na nie zareagował?

— Zdenerwował się bardzo. On nie zdawał sobie sprawy, że zostawił tyle śladów. Zamilkł, a później przyznał się do zamordowania Szapara. Podpisał to w protokole.

— Motywy? Jak motywuje to zabójstwo?

— Szapar, odpalony konkurent do ręki jego córki, usiłował zamordować Joannę. Okaleczył ją na całe życie. Joanna i jej kariera to sens życia Moraża, wobec tego pomścił jej kalectwo. W sposób bezczelny stwierdził, że morderstwo popełnił w amoku, ponieważ jest chory psj[^]chicznie, co już dawno stwierdził profesor Larst. Zażądał badania psychiatrycznego, Na koniec zaczął

symulować stan kompletnej depresji i rozmowę uznał za skończoną.

— Mimo wszystko jego zachowanie i ten pozornie naiwny motyw zabójstwa nie jest tak głupio pomyślany, jakby się wydawało — stwierdza Lis. — Uporczywie trzymając się tej wersji, jeżeli inne dowody nie wyjdą, a jemu się zdaje, że nie wyjdą — może wybronić głowę. Rozmawiałeś na temat sprawy Ypsilon?

— Nie. Zorientowałem się, że facet jest twardą sztuką, bez dowodów nie przyzna się do niczego. Rewizja w jego domu nie dała dotychczas nic. Próżna mowa, nie chciałem wyklądać kart na stół. Niech się męczy domysłami na temat, co jeszcze wiemy.

— Słusznie — przyznaje Li5. — Pawła Olecha nie mieszał?

— Ani słowem.

— No, a ten sztylet, znaleziony na miejscu przestępstwa, którym dobił Szapara, skąd go wziął? Czyja to własność?

— Rozeznanie Cieślaka dobre. Morał potwierdza, że to własność Pawła Olecha, ale równocześnie twierdzi, że pOr życzył go sobie bez wiedzy właściciela. To wszystko.

— Swoją drogą ciekawe — zamyśla się Lis. — Nie ulega wątpliwości, że Szapara zamordował Morał, nie ulega również wątpliwości, że dokonał tego sztyletem Olecha. Musiał mieć w tym jakiś cel?

— Myślę, że początkowo zamierzał rzucić podejrzenie na Olecha. Na Olechu miało się zemścić praw/o — w taki sposób pozbywał .się ich obu. On nie udaje, miłość, czy jak to nazwać, do Joanny to jedyne ludzkie uczucie u tego twardego bandziora. Ale teraz, w świetle dowodów, doszedł do wniosku, że nie ma sensu w zabójstwo Szapara mieszać Olecha, bo może siQ to przyczynić do wyjaśnienia sprawy Ypsilon, a to równa siQ karze śmierci nie tylko dla Olecha, ale i dla niego.

— Przypadek zrządził, że cała ta godna trójka знаła obie kobiety — świadków napadu. Tego nie mógł przewidzieć żaden z nich — ciągnie Lis. — Swoją drogą ładnie musiał się czuć Morał, gdy w dwie godziny po napadzie, w którym brał udział, jego dziecko oświadcza mu, że było świadkiem i składało zeznania milicji. Ona wprawdzie niewiele widziała, nie mogła ich rozpoznać, ale mogła się przechwalać.

— Groźniejsza była Róża Larst.

— Tak im się przynajmniej wydawało — stwierdza Lis. — Jedno jest pewne, że najpierw zajęli się Różą Larst, a nie Joanną.

— Joannę w jakiś sposób chronił Morał.

— Nie uchronił przed „dobrymi” kolegami, a raczej przyjacielem od serca. Ale zanim zajęli się Joanną, już bez wiedzy Morağa, musieli dobrze pilnować Różę, aby przydybać ją samą w kuchni. Swoją drogą cholernie trudne zadanie. Łatwiej było ją zlikwidować w Operze; Olech miał tam nieograniczoną swobodę.

— Łatwiej, ale znacznie niebezpieczniej — mówi major. — Pamiętasz, nie dawał mi spokoju ten wyschnięty czajnik. Gdyby nie ten fakt, uznałbym, że to był jednak nieszczęśliwy wypadek. Piekielnie sprytne usiłowanie zabójstwa.

— Nie ma genialnych przestępców, są tylko nieudolni milicjanci — powtarza Lis swą ulubioną sentencję. — Każdy przestępca popełnia błąd, a błędy determinuje sytuacja.

— A jednak próba zamordowania Róży była przeprowadzona prawie genialnie...

— Owszem, bardzo precyzyjnie, ale żeby aż genialnie? Nie przeceniaj, Andrzeju — protestuje pułkownik. — Był to efekt cierpliwości gangu — tak uporczywie jej pilnowali, że mogli wykorzystać moment, w którym została sama, zemdlona, bezbronna. Działanie ich byłoby na pewno skuteczne, gdyby nie interwencja Larsta...

— Przede wszystkim psa Horacego, którego pomawiałeś o głupotę — uśmiecha się inspektor.

— Niech ci będzie: psa Horacego — pułkownik też odpo- ^ wiada mu uśmiechem. — Słuchaj starszego stopniem i nie przerywaj. Róża, schodząc do kuchni, kolosalnie ułatwiła zadanie mordercy, ponieważ kuchnia mieści się w półsute- renie...

— Przedwojenne budownictw^o — wtrąca major.

— ...zapala gaz, nastawia trochę wody w czajniku. Gaz pali się silnym płomieniem. Jest coraz goręcej i duszniej. Tancerka mdleje. Nie zdążyła nalać sobie herbaty. Morderca obserwuje to z zewnątrz, przez okno. Chce ją zgładzić i czeka na odpowiedni moment. Jest niepewny, czy Róża zemdląca, czy tylko zasłała; dziwi się nawet, że zemdląca, i widzi dla siebie niepowtarzalną okazję.

— W domu jest pies... — przypomina major.

— On o tym pamięta. Jednak ryzykuje otworenie wytrychem drzwi i wejście do domu. Sprzyja temu rozkład mieszkania. W pobliżu kuchni nikt z domowników nie śpi, korytarz jest długi, mury solidne — nieakustyczne. Wchodzi. Woda w czajniku zdążyła się już wygotować...

— Tak. Wówczas jeszcze służąca Larstów nie zabezpieczała łańcuchem drzwi, ponieważ domownicy wracali o różnych porach nocy. Larst zarządził zakładanie łańcucha dopiero wtedy, gdy Joanna zamieszkała u niego. Bał się o dziewczynę.

— Wracając do wypadku Róży — podejmują pułkownik — gdy morderca wszedł, zorientował się, że pies jest niegroźny, bo zamknięty na drugim końcu domu.

— Może o fakcie, że pies jest zamknięty, wiedział już przed wejściem do willi — dodaje major.

— Nieważne — strzepuje dłonią pułkownik. — Wracam do czajnika. Woda już się wygotowała. Morderca gasi płomień, otwiera kurek z gazem i na powrót stawia czajnik. Nie dolewa do niego wody, nie ma na to czasu ani pomysłu.

w takich okolicznościach najsprytniejszy nie ma czasu pomyśleć o takim szczególe. Wychodzi, przekręca klucz w drzwiach od wewnątrz. Wiadomo, że to wcale nie jest takie skomplikowane. Wychodzi i sprawa załatwiona.

— Tak. Tylko nie zapominajmy, że aby zamknąć drzwi od zewnątrz kluczem, który jest umieszczony po wewnętrznej stronie, musiał ten klucz przedtem odpowiednio ustawić w zamku, a więc go dotykać, a w rękawiczkach czy przez jakąś tkaninę można długo

ustawić bez efektu

— No, o to chodzi — zgadza się Lis. — I dzięki temu pochwyciliśmy pierwszą nitkę do kłębka. Olech nie sądził, że milicja jest tak dociekliwa, że będzie się zajmowała analizą klucza, tkwiącego od wewnątrz w wylamanych drzwiach.

— Po tym nieudanym zamachu Róża była nietykalna — mówi major. — Ryzyko ponowienia próby morderstwa było zbyt wielkie. Swoją drogą talenty lekarskie Larsta w obydwu wypadkach weszły im w paradę. W tej chwili jeszcze — Korosz zmienia temat — z trudem mogę uwierzyć, że do Joanny strzelał Olech. Znał ją od dziecka, nawet lubił.

— Musiał dojść do przekonania, że nie ma innego wyjścia — przyznaje Lis. — Gdyby nie jego „sylwetka psychiczna”, z czego tak natrząsał się Cieślik, chyba nie brałbym go pod uwagę. Przecież właściwie z początku było nic; „sylwetka psychiczna” nie wykluczająca potencjalnej możliwości popełnienia zbrodni, znajomość z Szaparem i obecność w Operze podczas wypadku Joanny. Przecież to tylko cienie pozorów...

— Mnie najbardziej myliło jego zachowanie w Operze podczas wypadku i w szpitalu. Doskonale zagrany spokój absolutnie niewinnego człowieka, który cierpi wraz z przyjacielem i jego córką — stwierdza major.

— Rzeczywiście facet ma nerwy jak postronki — przyznaje pułkownik. — Nie popełnił ani jednego fałszywego kroku przez tyle tygodni, a przecież nie miał pojęcia, że go obserwujemy. Najbardziej mnie zadziwia jego zachowanie podczas eksperymentu Larsta w Operze z Joanną. Wydaje mi się, że gdybym ja był na jego miejscu wówczas, w Operze, nie wytrzymałbym nerwowo. A on jak skała. Bezbłędny.

— Ciekaw jestem, o czym Joanna się dowiedziała, co zobaczyła, że stała się tak groźna dla bandy — namyśla się inspektor. — Przypuszczam, że Olechowi niełatwo przyszła decyzja zabicia córki współnika.

— Dowiemy się o tym od Joanny i Olecia.

— Cieślik jednak miał rację, dziewczyna odzyskała pamięć — stwierdza major.

— Larst też to stwierdził — wtrąca Lis.

— Ale znacznie później — mówi inspektor. — Wracając do Olecha: facet po eksperymencie idzie do dziewczyny, aby sprawdzić jej reakcję. Zdaje się, że ona już wtedy prz^-/ - pomniała po sobie. I co? Zleđa się aż tak, że nadał symulowała chorobę?

— Przypomnij sobie, co mówił Larst o jej zachowaniu —

przerywa Lis. — Uciekła z domu, nienawdziła ojca. Ojca! Wszyscy myśleliśmy, że to z powodu maniakalnego obstawania przy jej karierze, a dziewczyna miała uraz do baletu. Tymczasem ona po prostu wiedziała o ojcu to, czego my wówczas nawet nie domyślaliśmy się. Nie chciała mieć z ojcem nic wspólnego, ale również nie była w stanie zdradzić go przed milicją. Więź uczuciowa pozostała. Zmieniona, potargana, ale pozostała. Nie była w stanie przyczynić się do tego, aby ojciec poszedł na szubienicę. Dlatego nie mogła nikomu mówić o wspólniku ojca — Olechu.

«— Straszny to dramat dla dziewczyny — stwierdza major.

— Dlatego skazała się na rzekome kalectwo, którego jednak nie umiała konsekwentnie udawać.

— Co robimy z Olechem?

— Nic. Teraz on będzie coś robił, musi robić. Poczekamy na jego inicjatywę. Zatrzymanie Moraga należy zachować w ścisłej tajemnicy — poleca pułkownik.

— Szapar nie żyje — cała Opera huczy od sprzecznych komentarzy. Domyślam nie ma końca. Poza faktem, że został zamordowany we Własnym miesztaniu, żadne inne informacje nie docierają do tego środowiska; Brali bliższych szczegółów podnieca ciekawość, rodzi nieprawdopodobne opowieści. Jeszcze nie przebrzmiało echo wypadku Joanny Morąg, a już jest następna mrożąca krew w żyłach sensacja.

Milicja tym razem nie pokazuje się w Operze, mimo że Szapar był tam znany. Wprawdzie nie był ściśle związany z tym środowiskiem, ale przecież on właściwie nie był związany z żadnym środowiskiem. Współpracownik pism specjalistycznych bez stałego miejsca pracy — wolny strzelec.

Na Olecha wiadomość o śmierci Szapara spada jak grom. Zaniepokojony dzwoni do Morąga. Jego telefon już od kilku dni milczy. Olech jedzie do niego, mimo że paraliżuje go strach. Zachowuje środki ostrożności, jakby oczekiwał napaści ze strony przyjaciela.

Dom Morąga stoi zamknięty, głuchy; sprawia wrażenie nie zamieszkałego.

Olech wraca do siebie i zamyka się w mieszkaniu. - Bezskutecznie co godzinę wykręca numer telefonu Morąga. Obmyśla, co mu powie, gdy się z nim spotka sam na sam;

„Nie usiłowaliśmy zabić twojej córki, to nieprawda”. Chyba jednak on mi nie uwierzy? „Słuchaj, Jakub — Olech bez- v\`iednie posługuje się pseudonimem Morąga — to jednak nieprawda. To presja psychiczna bezimiennego społeczeństwa. Mówiłem o tym, przestrzegałem. Zabijeś Czarnego — trudno, tego już się nie da odrobić. To ponure nieporozumienie może nas wykończyć. Opamiętaj się, Jakub. Milicja poluje na nas jak na dzikie zwierzęta — musimy być solidarni, przecież jesteśmy przyjaciółmi od lat. Jestem nadal twoim przyjacielem”.

Olech jest prawie pewien, że to jego przemówienie nie 264 przekona Morąga. On mu już nie uwierzy, tak samo jak przestał wierzyć Czarnemu.

A więc Jakub poluje teraz i na mnie — zdaje sobie jasno sprawę Olech. — Nie zawiadomił milicji, uznał, że tę rozgrywkę na śmierć i życie przeprowadzi sam. Nie, nie ma co do niego dzwonić, trzeba walczyć o życie — decyduje Olech. — Trzeba zabić JakubJI, jeżeli sam

chcę żyć. Ale milicja idzie naszym tropem. Zlikwidowanie Jakuba może mnie oddać w ich ręce. Co robić? — myśli gorączkowo.

Już nie dzwoni do Morąga. Jest pełen najgorszych przeczuć.

Dlaczego nikt z milicji nie pytał mnie o nic po śmierci Szapara? — myśli. — Przecież wiedza, że go znałem. Dlaczego nie przyszli do Opery? Nic, głucha cisza, jakbym nie istniał. Co to znaczy? Czyżby już byli na moim tropie? Ale co oni mogą wiedzieć, jakie mogą mieć dowody poza domysłami?

Miota się po pokoju, nie mogąc się na nic zdecydować. Wie, że musi coś zrobić i boi się, że cokolwiek uczyni, będzie tego później żałował.

Trzeba się opanować — rozkazuje sobie. — Co się ze mną dzieje? — Nie chce zrozumieć, że jest to po prostu zwierzęcy strach.

Trzeba działać chłodno, rozważnie. Myślę, że Jakub nie zostawił śladów u Czarnego — uspokaja siebie. — Jakub jest pedantyczny, precyzyjny, sam przecież też chce żyć.

Myśl, że Morąg zamierza rozprawić się z nim bez interwencji milicji, napawa go otuchą.

Albo cię wykończę pierwszy — myśli o Morągu —• albo zwieję. Ale gdzie zwieję? Zielona granica? Nie mam ani grosza. Przecież te pitoiądze to bezwartościowy papier, a teraz wymieniać je na cokolwiek to zbyt wielkie ryzyko.

Podchodzi do telefonu, wykręca numer, słyszy obcy głos.

— Proszę Joannę — żąda.

— A... zobaczę, czy jest — odpowiada Anna, służąca Larsta.

Stuk położonej słuchawki, pogłos kroków, skrzyp podłogi — cisza. Trwa ta cisza, zdaje mu się, w nieskończoność.

— Nie ma — lakoniczne stwierdzenie. Połączenie zostaje przerwane.

Olech znowu się waha, gcrajjjkowo obmyśla plan działania. Gdzieś na uboczu świadomości dziwi się, gdzie się podziała jego precyzja, bezbłędność oceny, pomysłowość? No tak, tamto obmyślał miesiącami. Miał czasu tyle, ile chciał, i miał pomocników. Pewnych przyjaciół, zdawało się, że pewnych na śmierć i życie. Przecież byli związani tajemnicą, przeciw wszystkim. A jednak ta więź przysła jak bańka... Nie wolno było ruszać tej małej — myśli o Joannie. Morąg jest stracony, to obłąd. Ale przecież ta mała domyślała się wszystkiego, również nie sposób było żyć z taką świadomością, że jest się uzależnionym od jednego słowa tej dziewczyny. Tylko najpierw trzeba było zabić Larsta, a później...

Znów nakręca numer telefonu.

— Paweł — oznajmia komuś po drugiej stronie przewo- du. —
Masz klientkę?

— Już nie.

— Będę u ciebie wieczorem, ale bądź sama. Dobrze? — z
naciskiem akcentuje to: sarna.

— Czekam — odpowiada niski, śpiewny kobiecy głos.

Olech przynosi z kuchni małe, płaskie dłuto i długi pręt
zakończony haczykiem. Podchodzi do pieca z ozdobnych, zielonych
kafelków'. Piec jest nie używany — dawno_ założono centralne —
pozostałość z czasów, kiedy służył do ogrzewania dużego, wysokiego
pokoju.

Delikatnie podważa dłutem jeden z zielonych kafli, prószy się
nieco biały pył ze spajającej kafle zaprawy. Ceramiczna płytką
ustępuje, następną wyciąga już bez pomocy dłuta. W otwór zagłębia
długi pręt z haczykiem. Grzebie w czeluści
pieca, aby po chwili wyjąć zaczepioną haczykiem paczkę. Paczka jest
obwiązana mocnym sznurkiem, opakowana w pergamin, na którym
znaczą się ciemniejsze, tłuste plamy.

Jeszcze kilka razy zanurza hak w głębi pieca, za każdym razem
wychwytuje paczkę. Tyle że następne pakunki są mniejsze, obwiniete
w szary papier bez tłustych plam.

— Jedna... druga... trzecia... — liczy szeptem.

Umieszcza kafle na właściwym miejscu; Jakimś płynem smaruje
i rozciera spoiwo między nimi. Ciemniejsze obramowanie wilgotnej
masy wskazuje przez kilka chwil, gdzie s- j ruchome kafle, gdy masa
wysycha, nie widać już miejsca, przez które można dostać się do
skrytki w starym nieczynnym" piecu.

Olech ciasno ściąga sznurkiem wszystkie trzy paczki
i układa w walizeczce. Neseser z miękkiej skóry zamyka małym
kluczykiem.

Teraz już nic nie ma do roboty. Czek: a wieczoru. Popołudnie
dłuzszy mu się niemiłosiernie — nie opuszcza go uczucie ni spokoju.
Najbardziej go męczy przymusowa bezczynność.

Wreszcie zapada upragniony zmierzch — rozbłyskują li- tarnie.
Olechowi wydaje się, że jest okropnie w/ idno. Stanowczo za jasno.
Szybko nastaje wieczór.

Ociaga się z wyjściem. Niespokojny nasłuchuje. Wreszcie
rozumie, że dłużej nie może zwlekać.

Cicho opuszcza mieszkanie — zbiega po schodach. Każdy
następny podest, który musi minąć, wydaje mu .się groźną

niewiadomą.

Wychodzi na ulicę z uczuciem, jakby rzucał się do wściekle spiętrzonej, lodowatej wody, pod którą brak gruntu.

Zwykły uliczny ruch uspokaja go nieco. Olech, wmieszany w tłum, kluczy po ulicach. Nie wie o tym, że dwa cienie podążają za nim w ślad.

Po wielu ostrożności ach Olech dzwoni do drzwi; metalowa lśniąca tabliczka objaśnia:

BLANKA RIESS **cliiromantka**

Drzwi uchylają się i staje w nich drobna czarnowłosa kobieta, krucha i delikatna niczym statuetka z kremowej kości, wykonana przez chińskiego mistrza z bardzo odległej epoki.

Gdy Paweł Olech opuszcza mieszkanie współczesnej Pytii, jeden z cieni przylepia się znów do jego śladu i uporczywie kroczy drogą baletmistrza — Olech zdąża do domu.

Cieślik z kasyty ulicznej łączy się z majorem Koroszem, rozmawia umownym kodem.

Korosz zawiadamia Cieślika, że już wydaje odpowiednie dyspozycje.

— No, to ja idę sobie powróżyć — mówi Cieślik. — Odczekam jeszcze chwilę.

Wywiadowca spaceruje kilka minut, .wreszcie wchodzi do domu, w którym mieszka Blanka Riess. Naciska dzwonek. Szybkie, lekkie kroki za drzwiami, które uchylają się natychmiast.

Na twarzy kobiety małuje się lekki zawód i zdziwienie. Stoi w otwartych drzwiach niezdecydowana.

•— Chciałem... — mówi zmieszany wywiadowca.

Kobieta domyśla się, że ma przed sobą potencjalnego klienta.

— Po ósmej nie przyjmuję — uśmiecha się lekko.

— Bardzo mi zależy — jąka się Cieślik.

— No, to proszę — ustępuje Blanka i wpuszcza go przed sobą.

W pokoju wskazuje mu krzesło i wpatruje się, milcząc, w Cieślika niesamowitymi, ciężkimi oczyma. Zaczyna swoje misterium.

Cieślik jak zahipnotyzowany wlepia w nią spojrzenie; wygląda jak królik zafascynowany przez węża.

Porucznik robi najgłupszą ze	swych min.	W gardle nie-
bezpiecznie łaskocze <i>go</i>	śmiejch	—ale nie
	wypada z	roli

i wlepia się gapiowato w piękną wróżkę.

Po chwili przechodzi mu chęć do śmiechu i ogarnia go rodzaj podziwu.

Nielicha aktorka. — myśli z uznaniem. — Musi robić kolosalne wrażenie na klientkach. Sądząc po wnętrzu tego mieszkania, nienajgorzej jej się wiedzie.

Blanka tymczasem płynie po pokoju, zapala świece w srebrnych lichtarzach i gasi elektryczne światło— rozchodzi się zapach topionego wosku.

Zakrystia — myśli Cieślik, pociągając nosem.

— Z kart, z ręki czy z pierścienia? — pyta chiromantka; jej

śpiewny szept nadaje tajemnicze znaczenie tym zwykłym słowom.

— Az czego najlepiej? — chce wiedzieć Cieślik.

— Z pierścienia — oświadcza Blanka; ten rodzaj wróżby jest najdroższy.

— Nie mam pierścienia — zmartwiony Cieślik prezentuje nagie palce.

— Zaradzimy temu — chiromantka wyciąga z szuflady srebrną obrączkę i nakłada ją Cieślikowi na serdeczny palec. Małe kółeczko wchodzi zaledwie do pierwszego stawu na palec porucznika, ale wróżka uznaje to wudać za wystarczające, bo pierścionek z pluskiem opada na dno napełnionej wodą kryształowej kuli.

Porucznik cierpliwie patrzy na komedię z gaszeniem i zapalaniem świec. Spokojnie przyjmuje pouczenie, aby się skupił, ale gdy wróżka zapada w trans, wzywając jego los w okrag pierścienia, Cieślik energicznie chwyta ją za delikatne dłonie.

Blanka jest przestraszona.

— Ja pani powrózę — ofiarowuje się wywiadowca i, nie zważając na protesty, mówi patrząc uporczywie na kobietę.

— Pół godziny temu wyszedł z tego mieszkania człowiek, który przyniósł do pani walizką na przechowanie. Żeby nie było wątpliwości, o kogo chodzi, nazywa się on Paweł Olech. Widzi pani, rzetelnie przepowiadał, wprawdzie przeszłość, ale bez żadnych niedomówień. Proszę mi oddać tę walizkę...

— Proszę mnie puścić...

— Dobrze — Cieślik uwalnia jej dłonie. — Poproszę walizeczkę...

— Proszę wyjść.

— Służba wywiadowcza milicji — mówi Cieślik okazując odznakę. Blanka milknie[^]zaskoczona.

— Odda pani walizkę? Nie chcę robić rewizji, bo na ogół nie odbywa się to bez bałaganu. A tu tak jest ładnie.

Blanka nie odpowiada.

— Proszę się nie upierać. Chcę wierzyć, że pani nie ma pojęcia, jakie przedmioty są w tej walizce i skąd one pochodzą.

Blanka trwa w zaciętym milczeniu, tylko w czarnych oczach cień niepokoju.

Cieślik podnosi słuchawkę telefonu — dzwoni do Korosza.

— Są już?

— Jeszcze nie — informuje Korosz.

— Pani wróżka stawia bierny opór — zawiadamia Cieślik. — Nie chcę być przykry, nie widzę potrzeby. Proszę

o telefon, jak będzie po wszystkim. Wtedy będę mógł jaśniej

perswadować.

Inspektor zgadza się i wywiadowca znów zasiada obok kryształowej kuli. Blanka przygląda mu się z rosnącym zdenerwowaniem. Nie mówi nic.

Ciekną minuty — Cieślik niecierpliwi się. Niepokoi go brak wiadomości od inspektora.

Wreszcie sygnał telefonu — wywiadowca uprzedza odruchowy gest Blanki i podejmuje słuchawkę.

— Wszystko w porządku — zawiadamia major.

— Paweł Olech — mówi porucznik potrząc na kobietę —

został przed chwilą aresztowany za udział w napadzie rabunkowym. Zabił kilku ludzi, proszę pani.

Blanka zaciska dłoń. Czuje ucisk w gardle i przyspieszony rytm serca. Nie może uwierzyć słowom porucznika.

— Proszę zwrócić walizkę, którą do pani przyniósł, jeżeli nie chce być pani uznana za współniczkę.

Kobieta decyduje się wreszcie na wskazanie miejsca, gdzie leży walizka.

— Proszę się ubrać, musi pani pojechać ze mną — Cieślik otwiera walizkę i naddzierając papier na paczkach stwierdza ich zawartość.

Na Puławskiej zmartwiała Blankę Riess przekazuje oficerowi dochodzeniowemu, a sam wpada ze swym łupem do gabinetu majora, w którym jest także pułkownik Lis i profesor Larst. Nie zważając na obecność profesora, Cieślik wyrzuca zawartość neseseru na biurko Korosza.

Piętrzą się równo ułożone paczki banknotów. Z przetłuszczonego pergaminu porucznik wyłuskuje pistolety maszynowe, broń krótką i zapasowe magazynki pełne naboji.

— Dlatego Morağ mordował nożem — mówi Cieślik oglądając broń i urywa ze względu na obecność profesora.

Ale Larst chyba nie słyszał, zajęty rozmową z pułkownikiem Lisem w drugim kącie rozległego gabinetu.

— Bardzo nam zależy na jej wyjaśnieniach — Lis przekonuje profesora. — No cóż, moglibyśmy ją wezwać, ale nikt nie zaręczy, czy ona znów nie zasłoni się brakiem pamięci. Poza tym to rzeczywiście ogromny dla niej wstrząs. Myślę, że najlepiej jeżeli o tym wszystkim zawiadomi ją pan — najbliższy dla niej człowiek. — Czy możemy liczyć na pana pomoc, profesorze? Tylko pan może ją nakłonić do mówienia.

— Tak — zgadza się pobladły Larst.

Lis odprowadza go do drzwi. Profesor jedzie do domu. Nie bardzo może pomieścić mu się w głowie to wszystko, co usłyszał od pułkownika Lisa.

Joanna po zmienionym wyrazie twarzy Larsta poznaje, że coś musiało się stać.

— Joanno — mówi cicho Larst. — Twój ojciec został aresztowany.

Twarz dziewczyny gwałtownie blednie. Joanna nie mówi nic, nie zadaje zwykłych w takich razach pytań; za co? Dlaczego? Milczy, hamując łzy.

— Joanno, ty domyślałaś się? — Larst wpatruje się w jej twarz bez kropli krwi. Dziewczyna nie ucieka z oczyma. Powstrzymuje skurcz krtani i odpowiada na pytanie Larsta skinieniem głowy.

— Bałaś się?

— Bałam się też — dobywa wreszcie głosu. — Ale... to przecież mój ojciec... nie mogłam uwierzyć swoim domysłem.

— Kiedy zaczęłaś się domyślać? — gładzi jej dłoń ze współczuciem.

— Po wypadku... Właściwie już w szpitalu. Miałam wtedy dużo czasu, zaczęłam kojarzyć pewne fakty, drobiazgi... i...

i nie mogłam uwierzyć. Chwilami chciałam nie móc uwierzyć, chwilami ogarniała mnie wprost chorobliwa docieklivość, żeby dowiedzieć się, jak to jest. I śmiertelnie bałam się nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo.

— Kiedy wróciła ci pamięć? Powiedz mi prawdę.

— Wspomnienie naszyjnika skądśSrzyło mi przeszłość z te-
raźniejszością. Stało się to od razu. Przebudziłam się w nocy. Myśl o naszyjniku zelektryzowała mnie i... byłam już innym człowiekiem. Jak gdyby podczas snu ktoś zdarł ze mnie czarną płachtę... pamiętałam wszystko i myślałam, że umrę z przerażenia.

— Co sobie przypomniiałaś?

— Przede wszystkim Pawła Olecha. — Joanna skanduje drewnianym głosem to nazwisko. — Jak mnie mijał na korytarzu Opery... wtedy, w dzień generalnej próby. To on do mnie strzelił. Wydawało mi się, że mój ojciec w jakiś sposób zgodził się na to... sankcjonował moją śmierć.

— Dlatego uciekłaś z domu?

— To nie takie proste — usiłuje wyjaśnić dziewczyna. — Chwilami myślałam, że ojciec zgodził się z tym, a chwilami, że nic o tym nie wiedział... Może nawet męczyłabym się z nim pod wspólnym dachem, ale wtedy, pierwszego dnia po powrocie ze szpitala, w nocy, gdy padał deszcz, pod domem chodził Szapar, a później Olech. Bałam się, że oni mnie zabiją... Wtedy uciekłam nad ranem do ciebie.

— Rozumiem...

— Skojarzyły mi się różne fakty... Ojciec, Olech, Szapar u nas w garażu. Olech trzymał tam swój samochód. Oni, dawno, dawno, zamykali się nieraz w tyń garażu. Udawali, że reperują wóz. Nie zwracałam na to uwagi... ale wiedziałam, że przecież bez przerwy oni tego wozu nie reperują. Szapar przynosił taką tarczę — raz ją widziałam. Oni o tym nie wiedzieli. Sądziłam, że mają hobby strzelania do tarczy może z łuku? Może dziecinnym straszakiem? I że

wstydzą się takiej niepoważnej zabawy... Później — dzień napadu. Byłam w pobliżu. Widziałam sylwetkę uciekającego bandyty. Nie skojarzyłam jej wtedy z nikim znajomym. Skąd? Do głowy mi nawet nie przyszło... W kilka minut później spotkałam Szapara. Teraz wydaje mi się, że on był dziwny, ale wtedy uważałam to za normalne, przypadkowe spotkanie. Byłam przecież umówiona z tobą. Nie przyszedłeś wtedy. Byłam zła, rozstrojona i zajęta wyłącznie sobą. Rozmyślałam nad przeszkodami, jakie nas rozdzielają i w ogóle... Gdy powiedziałam ojcu, że byłam świadkiem w milicji, spojrział na mnie jak na umarłą. Może wtedy wydał już na mnie wyrok? A może oni zrobili to bez jego wiedzy? — dziewczyna milknie. Zduszonym szeptem dodaje po chwili:

— Jak ja mam żyć, Jerzy? Jak ja mam żyć... — podnosi na Larsta umęczone oczy.

Larst myśli, że teraz nareszcie rozumie właściwie to obsesyjne pytanie, które zadawała tylokrotnie.

— Córka bandyty — Joanna wypowiada te słowa z gorzkim zdziwieniem.

— Joanno, dzieci nie odpowiadają za czyny rodziców, podobnie jak rodzice nie zawsze mogą odpowiadać za czyny dzieci...

— Pamiętasz kolację w Spatifie? — przypomina Joanna.

— Pamiętam, Joasiu — gładzi ją po głowie Larst, chcąc tym gestem przekonać ją, że nic się nie zmieniło.

— To chyba wtedy się zaczęło — namyśla się dziewczyna. — To wtedy dojrzała decyzja o zgładzeniu mnie... Wiesz, u Olecha w domu podawałam kawę. Rozlała się, szukałam ścierki... w skrzyni pod ścierkami zobaczyłam pieniądze, mnóstwo pieniędzy; równiutko poukładanych paczek banknotów. Zupełnie bezmyślnie spojrzałam. Nawet jeszcze wtedy nie miałam żadnych skojarzeń. Po prostu rejestracja faktu: O, forsa! Tak jak się rejestruje: o, kot, o, krzesło. Nie wiem, jak to wyjaśnić. On wtedy wszedł do kuchni i zobaczył mnie nad otwartą skrzynią. Nigdy ze mną o tym nie rozmawiał.

— Joanno, powinnaś to wszystko opowiedzieć milicji — w tonie Larsta jest łagodny nacisk. Chce jeszcze dodać, że gdyby powiedziała to wszystko wcześniej, jej ojciec nie zdążyłby zabić Szapara. Ale nie może mu to przejść przez gardło.

— Nie chcę, nie mogę mówić o ojcu. To dla mnie za trudne, mimo że on jest... — nie dopowiada swej myśli.

— Nikt od ciebie nie żąda i nie będzie żądał obciążania ojca. Masz prawo odmówić wyjaśnień na temat bliskiej ci osoby. Powiedz tylko to, co wiesz o Olechu i Sza parze. Joanno, to jednak twój obowiązek, chociażby względem Róży. Do tej chwili ciąży na niej podejrzenie, że to ona chciała cię zabić.

— Dobrze — mówi bezbarwnym głosem dziewczyna — powtórzę to milicji.

SPIS ROZDZIAŁÓW

5
47
71
93
121
164
203
231
1. PRIMABALERINA
2. ZEMSTA?.....
3. CHIROMANTKA .
4. CORPS DE BALET

5. ROZPACZ
6. WIOSENNA BURZA
7. MĘŻCZYŻNA W ZIELONYM LODENIE
- BRAKUJĄCE OGNIWO